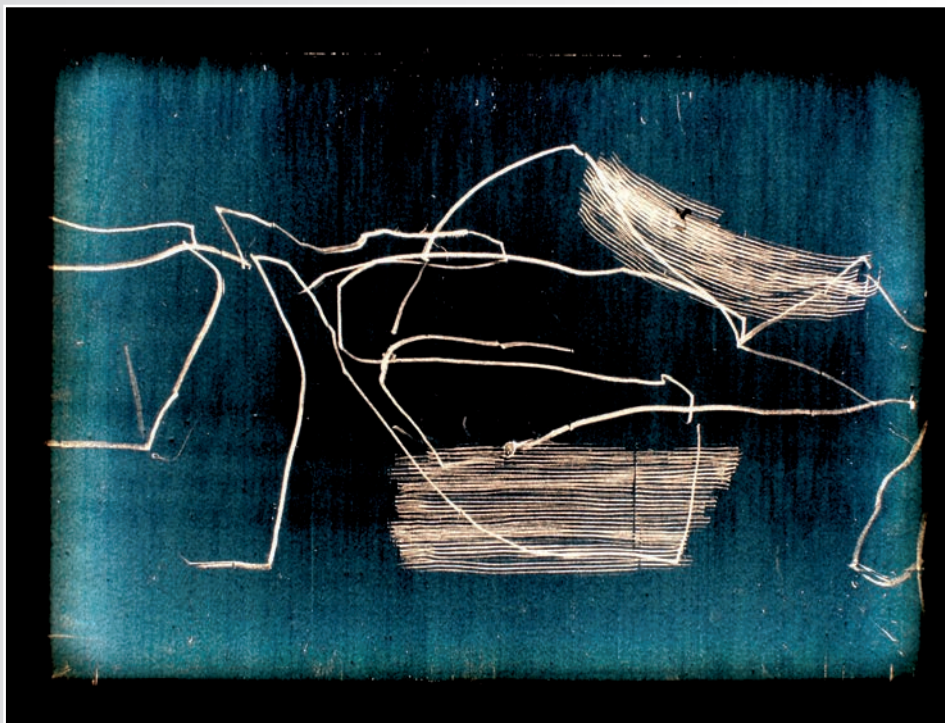


styczeń-marzec 2015

33

ISSN 2449-5328

częstochowski magazyn literacki
Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA”





Aleksandra Jakubczak, z cyklu Początek świat(ł)a, lightbox, 33,5x45x10, 2014

SŁOWO OD REDAKCJI	
<i>Na początku było SŁOWO</i>	3
POŻEGNANIA	
Rafał Socha, <i>Tadeusz Konwicki /1926-2015/</i>	4
POCZTYLION	
<i>Zdania i uwagi, czyli rzecz o sztuce prowadzenia dyskursu</i>	8
WYDARZENIA	
<i>Kalendarium: grudzień 2014 – luty 2015</i>	10
<i>Nagrody im. Józefa Łobodowskiego po raz pierwszy!</i>	10
<i>Dotacja dla Galerii.</i>	12
<i>Finał 36. Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej!</i>	12
GOŚCIE GALERII	
Bożena Gorska, <i>Dwa wiersze dla Galerii</i>	14
LAURÓW WIENIEC	
Julita Paprotna, <i>Wiersze z szuflady</i>	15
POEZJA – DEBIUT	
Mikołaj Zacharjasz, <i>Brutus i pedał</i> [cykl]	16
Barbara Strzelbicka, <i>Wygnanie z raju dzieciństwa. O wierszach Mikołaja Zacharjasza</i>	20
POEZJA	
Krzysztof Sawicki, <i>Okolice świata</i>	21
Janusz Orlikowski, <i>Wiersze</i>	23
Stanisław Szwarec, <i>Obrazki z Edenu</i>	24
Agnieszka Jarzębowska, <i>Przekładaniec</i>	27
Łucja Szota, <i>Wiersze</i>	28
Joanna Dymańska, <i>Głosy i szepty</i>	29
Eligiusz Buczyński, <i>Wiersze</i>	31
Jan Łączewski, <i>Mój rok</i> [część II]	32
Kazimierz Kowalczyk, <i>Kazimierza „Stolorza” Kowalczyka zakład przetwarzania i utylizacji</i>	34
<i>słów i myśli „Stara Wierszownia” [seria piąta]</i>	
PRZEKŁADY	
Gottfried Benn, <i>Podróże</i> [w przekładzie Bogdana Knopa]	38
PROZA	
Wiesława Owczarek, <i>Pierścionek</i> [z cyklu „Zguby”]	39
Marek Maculewicz, <i>Zapiski barmana</i> [fragment]	40
CONVERSATIO	
<i>Dobra książka się obroni...</i> – rozmowa Aleksandry Keller	



ze Zbigniewem Biernackim	46
NA SZTALUGACH	
Aleksandra Jakubczak	53
SZKICE, ESEJE, RECENZJE	
Ida Jadwiga Łubińska, <i>Esej o dobrostanie, czyli o filizance do połowy pełnej</i>	55
Arkadiusz Frania, <i>Czy prawda i czytelnik poszukują gwałtciela?</i>	61
Barbara Strzelbicka, <i>Z czego się śmiejemy na spektaklu „Sprzedawcy gumek”?</i>	64
<i>Ćpunka</i>	65
Barbara Rosiek, <i>Prawdziwa wolność to nie bać się</i>	67
Tomasz Niedokos, <i>Tajemnicze pytania, mgły i londyńskie kałuże. O tomiku Anny Marii Mickiewicz „London Manuscript”</i>	68
Agnieszka Złota, <i>Poezja (nie) poetycka w laboratorium sztuki – (trans) fuzja znaczeń w dziedzinę intertekstu</i>	69
Aleksandra Keller, <i>„Ze szkła” – zbiór wierszy Wiesławy Owczarek</i>	73
Sławomir Domański <i>Kafka nasz powszedni</i>	74
Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K	
Małgorzata Nowakowska-Karczewska, <i>Józef Wittlin /1896 – 1976/</i>	76
HISTORIA W GALERII	
Jan Łączewski, <i>Ulice Częstochowy</i>	83
Magdalena Syguda, <i>Legiony</i>	84
<i>Wyzwolenie Auschwitz</i>	85
RELACJE	
Maciej Skalik, <i>35 lat Tie Break – fotorelacja</i>	87
Elżbieta Jolanta Goła, <i>Za nami</i>	89
Z PODRÓŻY	
Agnieszka Jarzębowska, <i>Sevilla – stolica Andaluzji</i>	90
NOTY O KSIĄŻKACH	
Barbara Strzelbicka, <i>Czułość</i>	93
Rafał Socha, <i>Kredyt na żula</i>	93
Wojciech Kajtoch, <i>Szkice polonistyczno-rusycystyczne</i>	94
<i>W zwierniadle humanistyki. Konteksty historyczno – filologiczne,</i> <i>pod red. Magdaleny Sygudy i Agnieszki Złotej</i>	94
OBYWATEL FAKE	
Rafał Socha, <i>Dziewiętnasta godzina</i>	95
JEST JAK JEST	
Andrzej Niewinny-Dobrowolski, <i>Wersal w Realu</i>	99
NOTY O AUTORACH	
Julita Paprotna	15
Mikołaj Zacharjasz	19
Krzysztof Sawicki	22
Stanisław Szwarc	26
Łucja Szota	28
Joanna Dymańska	30
Eligiusz Buczyński	31
Gottfried Benn	38
Tomasz Niedokos	68

Na początku było SŁOWO... a słowo ciałem się stało. Nie w tym rzecz, by dyskutować z dogmatami wiary czy też dociekać źródeł kosmogonii, lecz by pojąć sprawczą siłę przemiany – tego pulsującego wciąż jądra energii, której podlega funkcjonowanie każdej najmniejszej cząstki świata. Jeśli słowo, a więc język jest jedynie wyartykułowaniem wyobrażonej idei, dzieło jest jej formą materialną – lecz pomiędzy nimi zachodzi „coś” bez mała pozazmysłowego, a jednak przemożnego i niepowstrzymanego, co fascynuje od zarania ludzkości i o czym pisał w „Metamorfozach” Owidiusz:

*W nową postać zmienione chcę opiewać ciała.
Bogi! Wasza to wszechmoc tych zmian dokonała.*

Wy, mój zamiar wspierając, od początku świata

Pieśń ciągną aż po moje doprowadźcie lata!

Cechą przemiany jest nietrwałość – dopóki forma ulega przeobrażeniom, dopóty istnieje. Cechą przemiany jest trwanie, bowiem poprzez zmienność – ten nieustanny ruch w obrębie idei, form, warunków, pokoleń – natura zawiera w sobie pierwiastek żywotności – poprzez zdolność do nieustannego ewoluowania egzemplifikuje się byt.

Przenieśmy kategorie filozofii na treść znacznie powszedniejszą – na literaturę. I tu bez mała od tysięcy lat trwa ten sam proces. Zmianie ulegają języki i znaczenia, a słowo służy różnorodnym ideom (dodaje wiarygodności ideologiom lub obala mity i złudzenia). Mimo to źródło jest trwałe – „Metamorfozy” są dziełem, z którym żaden inny utwór (z wyjątkiem Biblii) nie może się równać, jeśli chodzi o ilość motywów czerpanych zeń przez literaturę europejską wszystkich epok. Możemy mówić wieloma językami, możemy poszukiwać własnego sposobu na wyrażanie przeżyć, możemy tłumaczyć świat na wiele sposobów i przy użyciu różnorodnych środków, lecz wszystko to już kiedyś zostało ujęte w wersy przez Owidiusza.

W 33. numerze GALERII Przemianę uczyniliśmy tematem przewodnim. Tu na szczególną uwagę zasługują wiersze debiutującego na naszych łamach Mikołaja Zacharjasza – emanujące

wszystkim, co typowe dla przeobrażenia, a więc nietrwałość rzeczy, rozczarowanie wynikające ze zrozumienia i pierwsze – bolesne – próby określenia siebie. W poezji dojrzałej warto wniknąć w oryginalną lirykę Eligiusza Buczyńskiego. Wydaje się, że poeta igra z językiem, a jednak to tylko pozorna gra słowem, bowiem spoza fantazyjnych obrazów poetyckich wyłania się głębszy sens trwania i nieistnienia. Te pojawiają się także w opowieści o zgubionym pierścionku Wiesławy Owczarek. Czy coś, co zgubiliśmy bezpowrotnie, może się jeszcze odnaleźć? Być może odpowiedzi na to pytanie udzieliła Ida Jadwiga Łubińska w „Eseju o dobrostanie”. Ciekawym z punktu widzenia zmienności może wydać się także eksperyment z podwójnym przekładem wiersza Gottfrieda Benn – „Reisen” – w wykonaniu Bogdana Knopa. Choć zmiana ulega ilość słów, sensy pozostają stałe. Przyjrzyjmy się im także w nieco innej formie – w minimalistycznych, prostych i oszczędnych w swoim przekazie pracach plastycznych Aleksandry Jakubczak, które ilustrują niniejszy numer kwartalnika. I wreszcie rozmowa z częstochowskim antykwariuszem Zbigniewem Biernackim odsłania trudny byt książki w ludzkim świecie.

7 stycznia odszedł Tadeusz Konwicki – tym, którzy jeszcze trwają, pozostawił coś więcej niż tylko książki. W pożegnalnym tekście Rafał Socha rysuje niezwykle portret pisarza, który pomimo zmiennych kolein losu i historii pozostał wierny własnej ścieżce.

I miał rację Owidiusz, kiedy w zakończeniu „Metamorfoz” dumnie przepowiedział nieśmiertelność sobie i własnej twórczości. Parafrazując jego słowa, chciałoby się rzec, że jego dzieła nie zdołał zniszczyć ani gniew Jowisza, ani ogień, ani miecz, ani trawiący wszystko czas, a imię i niezniszczalna sława poety wciąż żyją i żyć będą póki trwa Ziemia i Słońce.

*Bo dokąd tylko dotrzesz, Rzymie pełen chwały,
Usta ludu wierszami mymi będą brzmiały.
A jeśli wieszcz posiada dar przeczuć rzetelny,
W blasku sławy żyć będą wieki – nieśmiertelny.*

W imieniu Redakcji CML „GALERIA”

Olga Winiarska

(Redaktor naczelna)

¹ Cytaty z „Metamorfoz” w tłumaczeniu Brunona hrabiego Kicińskiego. Przekład ten po raz pierwszy został opublikowany w latach 1825/1826 (uzupełniony w 1843), wznowiony zaś był w wyborze w roku 1953 w Serii II Biblioteki Narodowej.

Rafał Socha

TADEUSZ KONWICKI

/1926 – 2015/



Foto: <https://litclubtoronto.wordpress.com/2012/01/21/tadeusz-konwicki/>

W jednej ze swoich książek Tadeusz Konwicki pisze z charakterystyczną swadą i właściwą sobie kokieterią, że wróżka wywróżyła mu długie życie. Pisarz nie podaje jednak tej przepowiedni jako czegoś wybitnie krzepiącego, a właściwie czyni manewr dokładnie odwrotny – wieszczbiarską prognozę przedstawia nam jako bolesny obowiązek, który będzie zmuszony wypełnić. Można wprawdzie rozmaicie interpretować słowa przekornego narratora, tym bardziej że na niejednej stronie ewidentnie stroi on sobie żarty, naigrywa się bezlitośnie i gołym okiem widać, że aż do przesady kokietuje biednego czytelnika, lecz coś między wierszami każe się zatrzymać i zastanowić, czy też podana niby to mimochodem wzmianka o długowieczności faktycznie jest tylko i wyłącznie wyrachowanym trickiem, polegającym na droczeniu się

zawodowca z niewyroblonym, łatwowiernym, anonimowym odbiorcą?

Z prozą Konwickiego zetknąłem się po raz pierwszy dwadzieścia lat temu, w połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku – dokładnie w czwartej klasie ogólniaka. Tak się zbiegło, że był to też dokładnie ten sam czas, w którym pisarz odkładał pióro – jak się miało okazać: na zawsze. Nieprzymuszony, wciąż pełen pisarskiego nerwu – a przede wszystkim wciąż zdolny do prowadzenia niebywale celnych obserwacji i wykreślenia niebywale ciętych scen – nagle z pisania rezygnuje. Odcodzi na twórczą emeryturę, zarzekając się stanowczo, że zdania już nie zmieni i że nic już nie napisze, bo co miał powiedzieć – powiedział. I w prozie, i w filmie. Wystarczy, dość. Pole oddaje młodszym, zresztą teraz to już i tak wszyscy piszą, więcej mamy autorów niż czytelników, więc jaki jest sens, aby i on dalej ciągnął ten prozatorski wózek, który mu się na dodatek dokumentnie znudził i opatrzył? Czy to typowe postępowanie starzejącego się literata – nieodcinanie kuponów od uzyskanej sławy i pozycji? Dobrowolne usuwanie się w cień? Standard? Hm... Zamiast odpowiadać wprost, odpowiem raczej pytaniem na pytanie: a czy postać Tadeusza Konwickiego to postać szablonowa? Czy jego proza była kiedykolwiek w jakikolwiek sposób schematyczna – że już o filmach nie wspomnę?

No właśnie, Konwicki zawsze kroczył własnymi ścieżkami. Może wyłączając tutaj okres stalinizmu i niedojrzały, naiwny, młodzieńczy flirt z socrealizmem – artystą był zdecydowanie nieszablonowym, oryginalnym, umykającym jakimkolwiek zaszufladkowaniom. Na szczęście to samo możemy powiedzieć o jego twórczym dorobku, który nie dość, że i jakościowo, i ilościowo uznać wypada za imponujący, to jeszcze wybitnie stymulujący do podejmowania własnych prób w zakresie działalności artystycznej, co przecież stanowi równie ważną cechę dobrej literatury (a w szerszym rozumieniu – sztuki). Czyż nie jest tak, że każdy piszący marzy sobie po cichu,

aby stać się czyimś guru, czyimś wzorem, czyimś twórczym natchnieniem? Ileż to milionów młodych muzyków na całym świecie zaczynało przygodę z nieśmiałym układaniem własnych kompozycji od zafascynowania kilkuakordowymi piosenkami Beatlesów?

Tak, tak, to właśnie dwadzieścia lat temu, pod wpływem licealnej lektury, ja też zapragnąłem pisać. Żadna z książek polecanych nam przez program nauczania – a także ambitną panią profesor – nie wywarła na mnie aż takiego wrażenia, jak „Mała apokalipsa”. Na kartach tej powieści, podobno politycznej, odkryłem raptem przyjaciela, chociaż polityką nigdy się nie interesowałem. Na dodatek urząd już mieliśmy inny, tamten bezlitośnie wyszydzany system socjalistyczny (wyszydzany poza cenzurą) zwał się (razem z ową cenzurą) – prawie jak most Poniatowskiego wali się na oczach bohatera – a zatem z autopsji człowieka wkraczającego w wiek dorosły znałem już właściwie rzeczywistość odmienną. Lecz tutaj chodziło o coś innego. O ni to groteskowe, ni to realistyczne spojrzenie na otaczający narratora świat, o zjadliwie-szydery humor, o postacie z krwi i kości, o trącające banałem wynurzenia szarego faceta przemierzającego szare miasto... I ten motyw wędrówki! Rzeczywistość nic nie miała tu do rzeczy. Tu chodziło po prostu o świat współczesny autorowi i jego autorskie przetworzenie, nic więcej. A ja pokochałem ten wywrócony klimat i osobliwe ślady absurdu – już od pierwszej strony, już od pierwszej scenki, już od pierwszego dialogu wiedziałem doskonale, że znalazłem bratnią duszę, która opowiada dużo bardziej wciągająco niż cała rzesza wtórnych kryminało- czy thrillerokletów. Opowiada przednio – a do tego jakże pięknym językiem!

Jak więc nietrudno przypuszczać – niedługo później sam wyruszyłem, tyle że nie na manifestację z kanistrem benzyny, a do miejskiej biblioteki z wolną przegródką w plecaku. Wyruszyłem w poszukiwaniu kolejnych książek pana Tadeusza. I...? I kiedy w końcu wpadł mi w ręce „Kalendarz i klepsydra” – „wi-

rusem” pisania byłem już zainfekowany nieuleczalnie. Nie miałem pojęcia, że istnieją na świecie takie książki! Że zasiadając do lektury, to właściwie tak samo, jakbyśmy zasiedli przy przysłowiowej wódeczce z autorem i podyskutowali sobie o życiu. Kto tak pisze? Kto się tak spoufala z czytelnikiem? Przecież to nie żaden dziennik, nie żaden pamiętnik, nie żadne tam wstydlive wspominki czy autobiografia. To najczystsza w świecie proza, pieprzna i zarazem kunsztowna – i choć pozbawiona fabuły, to jednak wciąga jak cholera, a fikcji w niej tyle samo, co i prawdy. Jednego od drugiego oddzielić nie sposób – i to do mnie trafiło, i to było genialnie ożywcze, i to był główny powód połknięcia pisarskiego bakcyła przez niżej podpisanego.

Przy okazji odkryłem pozostałe sylwy Konwickiego – najbardziej lubiane przeze mnie książki wileńskiego mistrza. Czy najlepsze? Najwyżej cenione? Nie, niekoniecznie, napisał przecież i ambitny tryptyk metafizyczno-egzystencjalny (ze słynnym „Wniebowstąpieniem” na czele), i serię książek tzw. politycznych (nie mającym wiele czasu na lekturę polecam choćby poruszający rozdział o Traugucie z „Kompleksu polskiego”), są urzekające książki młodzieżowe (jak sentymentalna „Dziura w niebie” czy „Kronika wypadków miłosnych”), mamy nostalgiczny romans „Bohin’”, jest „Czytadło” z bezlitosną – i jakże prędko poczynioną, bo już w okolicach roku 1991 – analizą przemian zaistniałych po upadku PRL-u, jest jeszcze kilka innych mniej znanych pozycji – i wreszcie pierwsza, partyzancka, rozrachunkowa powieść „Rojsty” z końca lat czterdziestych, którą ja osobiście darzę szczególnym sentymentem. Ta książeczka, bo pierwotnie miałem w swojej prywatnej bibliotece jedynie wydanie kieszonkowe, towarzyszyła mi w wojsku. Już solidnie zaczytaną zabrałem ją sobie na drogę jako coś w rodzaju amuletu – i później, nocami po ciężkich dniach zdobywania żołnierskiej wiedzy oraz poligonowych umiejętności w Szkole Podchorążych Rezerwy, delektowałem się kolejnymi

rozdziałami. Nie ukrywam, że to ta pierwsza powieść Konwickiego przyczyniła się w dużej mierze do powstania mojego debiutanckiego „Bażanta”. O ile autor „Rojstów” miał kiedyś powiedzieć, że są one czymś w rodzaju jego osobistej wersji słynnej wojennej książki Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian”, o tyle ja mogę śmiało powiedzieć, że „Jak zostałem bażantem” to taka moja wariacja na temat „Rojstów”, tylko że oczywiście nie partyzancka i nie na poważnie, a koszarowa i na wesoło...

Tadeusz Konwicki żył w bardzo ciekawych czasach. Trudnych, dramatycznych, ale i niezwykle frapujących, czemu dał świadectwo w swojej prozie oraz częściowo w filmach. Nie prowadził dziennika, nie potrafił (jak wspominał) pisać do szuflady. Chciał dzielić się swoimi obserwacjami ze współczesnymi, oddziaływać na nich, po prostu co myślał – przelewał na papier, nie szczędząc nawet przyjaciół (np. Stanisława Dygata w „Kalendarzu”). Kiedy go „złapało” – zaszywał się w swojej „nyży”, odwracał stare (jak przyznawał z rozbijającą szczerością – cudze!) maszynopisy i gryzmołił długo starym piórem po starym papierze. Rękopisy składał w Czytelniku albo w Iskrach, książki wpisywano w plan wydawniczy, po roku lub dwóch ukazywały się na rynku, za każdym razem będąc autentycznym wydarzeniem kulturalnym, a autor podobno już do tych wypuszczonych w świat dzieł nigdy później nie zaglądał. Nawet nie sprawdzał, czy wydrukowano mu dokładnie to, co faktycznie napisał. Oczywiście toczył nieustanne boje z cenzurą, inteligentne i uporczywe, lecz wychodził z nich na ogół zwycięsko (przepuszczenie „Wniebowstąpienia” w drugiej połowie lat sześćdziesiątych nazwano wydawniczym skandalem, który nakazał gomulkowskiemu cenzurze jeszcze baczniej przyjrzeć się kolejnym utworom niepokornego literata). Aż nadszedł czas, gdy drogi oficjalnej linii wydawniczej i artystycznej wizji (misji literackiej?) pana Tadeusza rozeszły się definitywnie. Było to już w epoce późnego Gierka, tuż po odrzuceniu „Kompleksu polskiego”, kiedy postanowił, że

dość kompromisów i że nie będzie dłużej walczył z wiatrakami – publikował odtąd w tzw. drugim obiegu, a warto wspomnieć, że to właśnie jego „Kompleks polski” zapoczątkował „modę” na wydawanie książek w podziemiu. Jak więc widać – wiele ścieżek przetarł Tadeusz Konwicki. Nie tylko w literaturze, w filmie także (np. mówi się, że „Ostatnim dniem lata” zapoczątkował zjawisko tzw. nowej fali). Ale czyż można się dziwić, że skoro podążał własnymi szlakami, to i te szlaki przy okazji przecierał?

Nie tak dawno temu wyszperałem w księgarskich katalogach dość opasłą pozycję z wyborem wywiadów, jakich Tadeusz Konwicki udzielił różnym mediom na przestrzeni kilkudziesięciu lat. Ponieważ wcześniej zapatrzyłem się w dwunastotomową kolekcję dzieł wybranych, liczącą w sumie siedemnaście powieści – jakoby odtworzonych na podstawie rękopisów, bez mitycznych „cięć” cenzorskich, w serii wydanej przez Agorę (plus bardzo wartościowy suplement, zawierający dysertację Jana Walca z 1975) – i byłem w zasadzie „na świeżo” po lekturze podstawowego katalogu, złożyło się idealnie. Książkę z wywiadami przeczytałem niejako „na deser”. I...? I pragnę powiedzieć, że lektura wciąga. Choć odniosłem wrażenie, że najwięcej miejsca poświęcono tutaj filmom Tadeusza Konwickiego, to i sympatycy literatury z całą pewnością nie powinni być zawiedzeni. Naturalnie wiele fragmentów chciałoby się zacytować, bo cytat to cytat, jednak rozsądek nakazuje umiar. Całkowicie odmawiając sobie zatem przyjemności przywołania słów mistrza, po długim namyśle postanowiłem wybrać te trzy, które szczególnie mi się spodobały:

„Właściwie sztuka ma jeden obowiązek: możliwie maksymalnie szczerego zapisu naszego pobytu na tej planecie. Wydaje mi się, że ta powinność jest nadrzędna, że nie ma innego, ważniejszego obowiązku. Dlatego obowiązuje nas dogłębna szczerść, choć oczywiście różnie można tę szczerść pojmować. Chodzi o to, żeby ten ślad po nas, zostawiany nie wiadomo

komu, był możliwie wiarygodny. Szczerść powoduje, że uważam za konieczne w swoim przypadku posługiwanie się autokompromitacją, to znaczy zasadą nieustannego podważania tego, co mówię, swoich racji. Po prostu dla bezpieczeństwa czytelnika, po to, aby czytelnik czytał krytycznie, aby z tego, co mówię, wybierał dla siebie te wątki, które zgadzają się z jego sposobem myślenia. Lękam się nieomylności, tego, co jest zakorzenione w polskiej literaturze – kapłaństwa, namaszczonego wieszczania, ponurego moralizowania”;

„Zostaje tylko to, co potrafimy stworzyć. Mnie się wydaje, że w ostateczności istotą literatury nie jest natrętna pedagogika, ale rodzaj współczucia, które mamy dla siebie i dla swoich bliskich. Może nawet literatura jest po to, żeby łatwiej było przeżyć swoje dramatyczne, a często tragiczne życie”;

„Mogę natomiast powiedzieć, jak rozumiem zadanie literatury. Owo naczelné zadanie to: zapisać wszystko, cośmy przeżyli. Sztuka jest formą zapisu wiedzy o nas samych. Wszystko inne – to rzeczy towarzyszące. Literatura stanowi w pewnym sensie encyklopedię ludzkości. Utrwala wszystkie nasze cechy – piękne i szpetne. Przyglądamy się sobie, odkrywamy siebie, badamy siebie... Trochę to banalne, prawda?”.

Może i banalne – ale czyż nie prawdziwe? Czyż nie utrafia w sedno? Czyż nie o to właśnie chodzi w zjawisku zwanym literaturą?

* * *

Na koniec wypada mi chyba przeprosić za sporą objętość powyższego tekstu, ale naprawdę nie dało się krócej... Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że i tak prawie niczego tutaj nie napisałem. Nic albo prawie nic, trawestując jeden z tytułów pana Tadeusza. A przecież o ulubionym pisarzu prawić mógłbym długo, konwencja pisma ma jednak swoje prawa, toteż tyle musi wystarczyć. Oczywiście nie jestem zawodowym kulturo- czy literaturoznawcą, zwykły naturyszczyk ze mnie, dlatego

pogwałciłem prawdopodobnie przy okazji wiele zasad kreślenia notatek z cyklu „pożegnania”, ale mam nadzieję, że ustrzegłem się przynajmniej błędów rzeczowych, chociaż wszystko – rzecz jasna poza cytatami – pisałem „z głowy”. A ściślej: z głowy i od serca, gdyż poproszono mnie – jako autora miewającego inklinacje do nawiązywania we własnych kawałkach do prozy Konwického – aby było „od serca”.

Rafał Socha, styczeń 2015



Aleksandra Jakubczak, *Przetrawianie*,
technika własna, 10,5 x 9 cm, 2012

ZDANIA I UWAGI, CZYLI RZECZ O SZTUCE PROWADZENIA DYSKURSU

Drodzy Czytelnicy „GALERII”,
strony naszego kwartalnika wypełnione poezją i prozą wydają się zamknięte na prowadzenie dyskursu innego niż ten poświęcony sztuce składania słów w niebanalną treść. Lecz jak wyraziła się w jednym ze swoich wierszy Izabela Kołdej-Ptak – „pomiędzy poezją i prozą jest Czyściec”. Ów Czyściec – miejsce pokutne, miejsce żalu za grzechy pozbawione artystycznej finezji, wreszcie ciemny kąt banału, o którym nikt nie chce pamiętać – wydaje się dobrą metaforą dla przyziemnej skądinąd dyskusji nad przeczytanym, odkrytym i zdemaskowanym błędem w druku. Nam – Zespołowi redakcyjnemu „GALERII” – bez ceremonii i obchodów zależy na takiej wymianie opinii, gdyż tylko wtedy teksty stają się żywym źródłem myśli, prowokują do obrony racji, poprzez konfrontację osądów skłaniają do głębszego wnikięcia w treść. Dlatego z wielką radością, dnia 13 listopada 2014 roku, odebraliśmy mail, który publikujemy poniżej – niestety, bez zgody Autora na podanie danych osobowych do wiadomości publicznej – co nie zmienia faktu, że szanujemy i tę decyzję, i obywatelską postawę do przesłania nam uwag odnoszących się do tekstu Pana Jarosława Kapsy pt. *Zaduszki literackie* opublikowanego w 28 numerze CML „GALERII”.

Jednocześnie mail ów nie mógł pozostać bez odpowiedzi Pana Jarosława Kapsy. Owa wymiana poglądów dwóch szanownych adwersarzy stanowi dla nas niezwykle cenny sygnał, że „GALERIA” jako czasopismo literackie, ma swoich stałych Czytelników, którzy czytają uważnie i wspierają nas w dbaniu o zawartość merytoryczną magazynu. Co więcej, prezentuje wspaniałą lekcję prowadzenia polemiki z poszanowaniem racji swojego oponenta.

Z podziękowaniami za nadesłane oraz
zaproszeniem do lektury

Zespół Redakcyjny CML „GALERIA”

Od: ...

Data: 13 listopada 2014 09:39

Temat:

Do: galeria.litwa@gmail.com

Szanowna Pani Redaktor,
taka mała/nie mała rzecz zauważona przez przygodnego czytelnika Galerii. W numerze 28 krótki tekścik wspomnieniowy J. Kapsy o Mirosławie Falco Dąsalu, a w nim cytat zupełnie błędnie przypisany Waleremu Eliaszowi Radzikowskiemu. Tymczasem autorem słynnego dwuwierszu, pochodzącego z równie słynnej „Pieśni o ziemi naszej” jest Wincenty Pol. Utwór powstał w 1835 r., a więc raczej nie „przed ponad stu laty” – jak pisze JK. I jeszcze większe materii pomieszenie w końcówce tekstu. Lawina pod Everestem w 1989 r. porwała sześciu (a nie czterech wspinaczy), upadek przeżyło pięciu. Zatem – parafrazując – „nieufność krytyka/redaktora wobec tekstu powinna być całkowita”.

Z poważaniem
(imię i nazwisko autora do wiadomości
Redakcji CML „GALERIA”)

Jarosław Kapsa

ODPOWIEŹ NA LIST CZYTELNIKA

Częstochowa, 09 grudnia 2014 r.

Dziękuję za uwagi; dla każdego autora miłym jest Czytelnik uważnie odbierający tekst. Uwagi dotyczą faktów historycznych. Jednak to, co dla jednych jest tylko historią, dla mnie było ciężkim osobistym doświadczeniem. Pamiętam do dziś huśtawkę nastrojów, rozpaczliwą nadzieję, gasnącą bar-

dzo powoli. Nie było możliwości bezpośredniej łączności z bazą pod Mount Everestem, krople prawdziwych informacji mieszały się z różnorodnym szumem.

Zaczął się od dobrej wieści. 24 maja 1989 r. Eugeniusz Chrobak i Andrzej Marciniak zdobyli Mount Everest. Na zdobywców w obozie na przełęczy Lho La (6026 m) oczekiwała reszta ekipy atakującej: Mirek Dąsał Falco i Mirosław Gardzielewski. Plany zakładały, że obaj Mirkowie powtórzą atak na szczyt. Podczas zejścia zdobywców załamała się pogoda. Utracono łączność z Chrobakiem i Marciniakiem. Jak się później okazało, Eugeniusz obsunął się po grani i złamał nogę. Marciniak, próbując mu pomóc, założył zaimprovizowany nocleg na wysokości 7 tys. metrów. Chrobak zmarł z wyczerpania.

Walcząc z pogarszającą się pogodą, na przełęcz Lho La dotarł Zygmunt Heindrich i Waclaw Otręba. Mimo złych warunków cała czwórka podjęła decyzję o rozpoczęciu akcji ratunkowej. 27 maja w południe wspinali się kuluarem na wierzchołek Khumbutse. Zeszła lawina, porywając całą czwórkę. Podobno obaj Mirkowie i Waclaw Otręba zginęli na miejscu, a Zygmunt zmarł z uduszenia pod śniegiem pół godziny później. Andrzejowi Marciniakowi udało się prawie po omacku (dostał kurzej ślepoty) dotrzeć do obozu I na wysokości 5885 m. Tam był namiot, gaz, żywność – szanse przeżycia. 2 czerwca uratowała go ekipa prowadzona przez Artura Hajzera. Andrzej był jedynym z sześciuosobowej ekipy, który przeżył tragiczną katastrofę. Opowieść o niej zawarł, dopisując ostatni rozdział do książki Mirka Dąsała „Każdemu jego Everest”.

Nie ma, niestety, materii pomieszenia. Lawina zabrała czterech himalaistów, nikt z nich nie przeżył. Zginęli, bo szli na ratunek dwójce przyjaciół, z których przeżył tylko jeden. Była to najtragiczniejsza katastrofa w dziejach polskiego himalaizmu. Prywatnie, bardzo bym chciał, by Pan miał rację, by przeżyło pięciu... Może dziś piłbym piwo z Mirkiem, słuchając Cohena...

po Pana stronie. Słowa „w góry, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cie” napisał Wincenty Pol w 1835 r. Tylko co z tego wynikało? Nic. W 1835 r. nikomu z młodych mieszkańców Królestwa lub Galicji nie przychodziło do głowy, by celem swojego życia uczynić Tatry. Ta moda pojawiła się powszechnie na przełomie XIX i XX w. Możemy tu i powinniśmy przypominać pionierskie działania Tytusa Chałubińskiego. Lecz największym promotorem taternictwa stał się Eljasz Walery Radzikowski, zakochany w tych górach od czasu pierwszego spotkania w 1861 r., gdy miał 21 lat. Eljasz Radzikowski wydał w 1870 r. pierwszy przewodnik po Tatrach, wielokrotnie wznawiany. Z jego przewodnikiem góry odkrywało pokolenie młodopolskie. Hasło „w góry, w góry, miły bracie...” pojawiało się na litografiach i obrazkach Radzikowskiego powielanych jako pocztówki w masowych nakładach, zdobiących łamy popularnych pism. Stąd, szanując autorstwo słów Wincentego Pola, krakowskiego malarza czynię odpowiedzialnym za stworzenie mody na „tatrzańskość” – ideologii młodych ludzi szukających wolności (swobody). Mody, która odżyła niespodziewanie w szarych czasach PRL, porywając ludzi niepokornych takich jak Falco...

Dzisiaj, gdy Krupówki zaśmiecone są osobnikami wyhodowanymi na hamburgrach, gdy roją się pomysły olimpiad „w zarabianiu dutków”, gdy słowo „swoboda” nie kojarzy się ze szczytami Tatr, lecz dolinami galerii handlowej, polemika z uważnym Czytelnikiem, znającym polskie tradycje literackie, jest dla mnie wyjątkową przyjemnością. Dziękuję za to.

Jarosław Kapsa

W drugiej sprawie racja jest oczywiście

KALENDARIUM GRUDZIEŃ 2014 – LUTY 2015

3 grudnia - promocja książki Zbigniewa Zielińskiego „7 dywizja Armii Krajowej” w OPK „Gaude Mater”;

10 grudnia - promocja książki Barbary Major „Dionizos w glanach” w OPK „Gaude Mater”;

17 grudnia - promocja książki Jacka Łęskiego „Pokochać Ukrainę” w OPK „Gaude Mater”;

26 grudnia - zmarł Stanisław Barańczak;

28 grudnia - 35-lecie Tie Break w Filharmonii Częstochowskiej;

7 stycznia - zmarł Tadeusz Konwicki;

10 stycznia - Szopka Noworoczna Zbysława Janikowskiego w OPK „Gaude Mater”;

28 stycznia - wieczór autorski Barbary Strzelbickiej (promocja książki „Czułość”) w OPK „Gaude Mater”;

18 lutego - promocja książki Marcina Zegadły „Cały w słońcu” w OPK „Gaude Mater”.

18 lutego – 70. urodziny Bohdana Zadury

Rafał Socha

NAGRODY IM. JÓZEFA ŁOBODOWSKIEGO PO RAZ PIERWSZY!

Józef Łobodowski (1909 – 1988), wybitny poeta polski, przyjaciel Ukrainy, nieustrudzony i niezastąpiony tłumacz literatury ukraińskiej, został patronem nagrody przyznawanej tłumaczom literatury krajów Europy Środkowej i Wschodniej oraz popularyzatorom idei pojednania między narodami.

Już w latach 30. ubiegłego stulecia Józef Łobodowski odważnie i z pasją propagował pojednanie polsko-ukraińskie. Ambitnymi publikacjami młodego autora zainteresował się wojewoda wołyński Henryk Józewski, który zaprosił energicznego publicystę do Łucka i powierzył mu redakcję tygodnika „Wołyń”. Praca redaktorska Łobodowskiego ukierunkowana była na złagodzenie konfliktów polsko-ukraińskich na Wołyniu. Po wojnie, na emigracji swe zainteresowania translatorskie kierował Łobodowski na twórczość autorów, dla których słowo było orężem w walce o wolność ojczyzny. Do ośrodków emigracji ukraińskiej apelował o podjęcie wysiłków w celu rozpowszechniania zakazanej na Ukrainie literatury i publicystyki. Do-

robek translatorski piewcy pojednania polsko-ukraińskiego to poezja, proza, krytyka literacka, artykuły o charakterze naukowo-publicystycznym od epoki Rusi Kijowskiej do czasów najnowszych.

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Lublinie wspierane przez fundacje *Willa Polonia* oraz *Dla Pokoleń* – postanowiło przyznać, zgodnie z regulaminem, nagrody im Łobodowskiego za rok 2014 w trzech kategoriach:

- dla pisarza z krajów wschodnich, którego książka ukazała się w przekładzie na język polski.
- dla tłumacza literatury polskiej za przekład książki współczesnego, polskiego autora na jeden z języków Środkowej i Wschodniej Europy.
- dla popularyzatora idei ponadgranicznej współpracy na polu polityki, nauki, literatury i sztuki z krajów Środkowej i Wschodniej Europy.

Jury Nagrody w składzie:

Ks.prof.dr hab. Edward Walewander –
przewodniczący jury

dr hab. Janina Szcześniak – członek

prof. dr hab. Czesław Michałowski –
członek

prof dr hab. Jan Gurba – członek

dr Jan Sęk – członek

Stanisław Żurek – sekretarz

postanowiło nagrodą im. Józefa Łobodowskiego za rok 2014 uhonorować:

– **w kategorii pierwszej:** Wasyła Słapczuka (Ukraina), którego książki *Kobieta ze śniegu* (przekład: Iwona Wasilewska i Wojciech Pestka) oraz *Księga zapomnienia* (przekład: Wojciech Pestka) ukazały się ostatnio w języku polskim, a tłumaczy wyróżnić honorowymi dyplomami. Autor, członek Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy, doktor nauk filologicznych jest jednym z najwybitniejszych, współczesnych pisarzy ukraińskich „straconego pokolenia”, które krwią i życiem płaciło za imperialne ambicje komunistycznej Rosji. Za swoje dokonania twórcze został nagrodzony najwyższej rangi Ukrainką Nagrodą Literacką im. T. Szewczenki w 2004 roku.

– **w kategorii drugiej:** za przekład współczesnego autora polskiego na język ukraiński Olenę Kryształską (Ukraina). Tłumaczka zaprezentowała ukraińskiemu czytelniko-

wi tom gawęd polskiego autora Zbigniewa Włodzimierza Fronczka *Romans w Lublinie*. Znakomite tłumaczenie przyczyniło się do promocji polskiej literatury współczesnej za jej granicami, autor książki uhonorowany został Ukrainką Nagrodą Literacką im. Hrychorija Skoworody.

– **w kategorii trzeciej:** prof. dra hab. Feliksa Czyżewskiego, długoletniego dyrektora Instytutu Filologii Słowiańskiej, kierownika Zakładu Filologii Ukraińskiej UMCS za propagowanie na polu nauki, kultury, samorządności idei ponagranicznej współpracy polsko-ukraińsko-białoruskiej. Z inicjatywy profesora Feliksa Czyżewskiego od kilkunastu lat organizowane są sympozja naukowe poświęcone współpracy uniwersytetów, stowarzyszeń twórczych i samorządów z obszaru Ukrainy, Białorusi i Polski. Profesor Feliks Czyżewski jest także przewodniczącym Rady Programowej serii literackiej „Biblioteka Literatur Naszych Sąsiadów”, w której publikowane są przekłady współczesnej literatury ukraińskiej, czeskiej, białoruskiej, słowackiej i rosyjskiej.

Wręczenie Nagrody nastąpi w pierwszej połowie czerwca tego roku podczas uroczystej gali w Łucku – mieście nierozzerwalnie związanym z postacią patrona nagrody – Józefa Łobodowskiego.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

prezes,

Lubelskiego Oddziału

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
Oddział w Lublinie
20-112 Lublin, ul. Złota 3
NIP 712-280-88-08 REGON 014206302

DOTACJA DLA GALERII [PO RAZ DRUGI]

„Częstochowski Magazyn Literacki GALERIA” po raz kolejny decyzją Urzędu Miasta Częstochowy otrzymał fundusze na realizację w 2015 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

Zeszłoroczna dotacja pozwoliła Literackiemu Towarzystwu Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” na wydanie dwóch numerów kwartalnika. Obecna subwencja, opiewająca na sumę 6 tysięcy złotych, pokryje koszty wydania trzech kolejnych numerów „GALERII”. W ten sposób zyskujemy szansę na trwałe włączenie się w promowanie kulturalnych przedsięwzięć odbywających się na terenie miasta i regionu.

Kwartalnik „GALERIA” – jak dotąd – jest jedynym tego typu czasopismem w Często-

chowcie, którego idea jest prezentacja artystycznego dorobku (m.in. literackiego, plastycznego czy teatralnego) twórców związanych na trwałe z Częstochową, a także upowszechnianie wiedzy o historycznych wydarzeniach związanych z naszym miastem. Jednakże swoją tematyką stara się także wykraczać poza ramy lokalności – dlatego redakcja zaprasza do współpracy profesjonalistów z zakresu badań literackich czy historycznych wywodzących się z kadry naukowej oraz doktorantów Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. W ten sposób publikowane artykuły funkcjonują jako wiarygodne i rzetelne źródło wiedzy o literaturze i innych zjawiskach kultury.

Mamy nadzieję, że „GALERIA” będzie także dobrą wizytówką Częstochowy.

[opr. red.]

FINAŁ 36. OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU POETYCKIEGO IM. HALINY POŚWIATOWSKIEJ!

Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Haliny Poświatowskiej to jeden z najstarszych konkursów poetyckich w kraju, a jego założeniem programowym jest umożliwienie konfrontacji twórczości poetyckiej, promowanie utalentowanych poetów, integracja środowisk literackich i pobudzanie twórczej aktywności debiutujących autorów.

Przez 35. edycji Konkurs, którego głównym organizatorem (od 1991 r.) jest Regionalny Ośrodek Kultury w Częstochowie (dawniej Wojewódzki Ośrodek Kultury), stał się marką, a zdobyte wyróżnienie można uznać za prestiżowe. W gronie dotychczasowych laureatów znaleźli się m.in. Krzysztof Jaworski, Robert Mielhorski, Dariusz Sośnicki, Mariusz Grzebalski, Tomasz Majeran, Adam Wiedemann, Roman Honet, Barbara Gruszka-Zych, Szymon Kantorski, Bartosz Konstrat i Jacek Dehnel.

W tym roku, 21 marca, jury konkursowe w składzie – Justyna Bargielska, Grzegorz Jankowicz i Marcin Zegadło – spośród 413 zestawów wybrało utwory sześciorga finalistów w dwóch kategoriach.

W kategorii *debiut* zwyciężyli: I nagroda – Klaudia Pieszczoch (Paryż), II nagroda – Magdalena Sanocka (Szczecinek), III nagroda – Tomasz Duszyński (Złotoria). W kategorii *po debiucie* przyznano: I nagroda – Małgorzata Januszewska (Częstochowa), II nagroda – Maria Żywicka-Luckner (Warszawa), III nagroda – Dorota Ryst (Warszawa).

Finałowi towarzyszyły warsztaty poetyckie prowadzone przez Grzegorza Jankowicza oraz spotkanie autorskie z Justyną Bargielską w Regionalnym Ośrodku Kultury w Częstochowie, a wieczorem podczas uroczystego finału w Teatrze im. Adama Mickiewicza laureaci i zaproszeni goście mogli wysłuchać recitalu Janusza Radka.

[opr.ak]



36.
Ogólnopolski Konkurs
Poetycki
im. Haliny Poświatowskiej

FINAŁ 21 marca 2015

Źródło: <http://rok.czeszochowa.pl/events.php?GroupId=1&ItemId=207>

Bożena Gorska

DWA WIERSZE DLA GALERII

Radość

Ten słupek może by podeprzeć,
weranda rychło się zawali.
Spiekota. Obiadowe resztki
psy wylizują z rozentali.

Dopiero maj, a już jak ciepło.
Konwalie całkiem poszalały.
Szkoda, że chaszczce zasłaniają
widok na dumny jaśmin biały.

Babcia lubiła jego zapach.
Ile to będzie lat? Trzydzieści?
Jesienią runął tamten ganek.
Podłoga podejrzanie trzeszczy.

Ganki na wszystkie strony świata
kto widział? Plany powyznaczał
architekt pewnie już wiek temu.
Marzyła mu się ruska dacza.

Potem mieszkały tu dwie siostry,
z pokorą włokąc byt sierocy,
bo choćbyś nie wiem jak był mocny,
swojego losu nie przeskoczysz.

Jedna z nich ponoć do dziś nosi
na palcu mały szary kamień,
a duży szary – grób przykrywa
tej drugiej, pożegnanej z żalem.

Szykuje się nam piękne lato,
o ile znów się nie rozpada.
Da się to zebrać i poskładać?
Linia otwocka – czysta radość.

18.01.2013

Gdy poeci z wiatrem dziejów gnają,
a każdy jest bardem,
poetessy makatki haftują,
palce mają skłute, życie twarde.

Gdy poeci w wir historii lecą,
żeby słowem klęskę powstrzymać,
poetessy zupę z gwoźdźcia klecą,
obojętne na losu grymas.

Gdy poeci muzy adorują,
poją winem, bękotem, bełkotem,
poetessy długo w nocy lampę palą,
cienkie frazy nawijają na motek.

Gdy poeci zbiorki podpisują,
euforyczni, uwielbiani, zapędzeni,
poetessy w kufrze układają
wątłe ślady pobytu na ziemi.

24.11.2014

Bożena Gorska

Julita Paprotna

WIERSZE Z SZUFLADY

chciałabym zanurzyć język w twoim soliloquium
zasmakować myśli, tak bardzo nieobecnej
w twoich zaspanych źrenicach

spoglądając w twoje chłodne dłonie
nie potrafię wyczytać przyszłości

leżąc nieruchomo obok mojego stygnącego ciała
jesteś kamieniem, którego wnętrze nie kruszeje
przede mną

a ja jestem tylko kolejną rzęsą spadającą na
przyrządkowy policzek

teraz

wystarczy abyś mnie
zdmuchnął

Filo!

w ich „dwutysięcznym trzynastym”
kurwy sypią się z rękawa kaszmirowego
sweterka z sekend hendu.

ty, za wielkimi okularami, skrywasz swój wysoki
iloraz haiku.

ja każdego ranka nakładam warstwę
rozświetlającego twarz podkładu.
oni jeszcze nie wiedzą.

ja przeistaczam się w supermenkę
i ruszam na ratunek umierającemu
zaimkowi „tę”.

ja przedzieram się przez gęste trzciny historii
literatury.

brnę przez grząskie tereny SCS-u.
moczę nogi w strumieniach lingwistyki
kulturowej,
aż językowy obraz całkowicie przesłoni nasz
świat.

wszystko po to, by pewnego wieczoru
nie dać złapać się w pułapkę

„dokładnie”

zastawioną na mnie

w pauzie twojego niepodważalnego twierdzenia.
odpowiem: owszem!

i umrę czysta niczym poczmistrz z Tczewa.

oni prawdopodobnie nigdy tego nie usłyszą.

Częstochowa. Dworzec Główny PKP

zbliżająca się myśl o tobie
roztrąca migające światłocienie drzew
wysiadam z wagonu tanich linii kolejowych

noc rzuca mi się pod nogi
jak wyznanie życiowych wykołajeńców
lecz przyzwyczajony do ciemności
przechodzę obok niej obojętnie

przykurzone miasto ma zapach
frytek wytatuowanych na skórze własnej mapy

przechodzę na drugą stronę pierwszej alei
i wtedy dostrzegam małą ciebie
z rączkami wzniesionymi do ojcowskiej modlitwy

i już nie przeszkadza mi to,
że szary gołąb właśnie obesrał moją walizkę

Julita Paprotna

Julita Paprotna – urodzona 14 maja 1991 roku. Pochodzi z Praszki. Studentka filologii polskiej w Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Laureatka konkursów poetyckich (m.in. wyróżnienie za jeden wiersz w XI Konkursie Poetyckim dla Młodych Twórców im. Zbigniewa Dominiaka „Moje Świata Widzenie”, I miejsce w IV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Najpiękniejszy wiersz miłosny”, wyróżnienie drukiem w 20. Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Grand Prix i tytuł Nadwornego Poety UAM w konkursie „Wiersze z szuflady” w ramach studenckiej wiosny 2013 w Poznaniu). Publikuje w magazynie studenckim „Palimpsest”. Jest członkiem koła literackiego „Anafora”. Uwielbia prozę Chestertona oraz filmy Woody’ego Allena (i nie odczuwa przy tym schizofrenii).



Foto ze zbiorów Autora.

Mikołaj Zacharjasz

BRUTUS I PEDAŁ

[cykl]

MOJEJ PANI MATCE

*Wszystko, co było głębokim, powstało tylko z
rozpaczy ostatecznej i zwątpienia.*

Stanisław Ignacy Witkiewicz

Wiersze pochodzą z okresu 2011-2014.

Autokrytyka II

Trzy oznaczające czynność

Litery

Czasownik mówiący

Wszystko i nic.

Istnienie streszczone.

Słowo: Życ.

28.05.2012

Zapomniałem jak to jest
Życ bez trosk
I nie bać się uśmiechać
I nie bać się ufać
Zapomniałem! Przeze mnie
I przez to co mnie otacza
Zostały tylko uśmiechy na różne okazje
I twarze (zamiennie: maski)
Brak zaufania
Została wina
Moja wina.

15.11.2012

Radości!
Gdzie jesteś?
Wróć! Będę się uśmiechał
już nie będę się użalał
Nie zostawiaj mnie!
Ze smutkiem
nie zostawiaj
mnie samego.

17.01.2013

Bólowi

Tętnisz w moich żyłach
Krażysz we krwi
Jesteś.
Twoja słodka obecność
Przyprawia mnie o
dreszcze
Mój przyjacielu
Pulsując udowadniasz
że żyję
nie odchodź
Proszę

4.02.2013

Tato, tatusiu
noce są straszne
i ciemne
Wiesz?
Ponoć nadchodzi
Świt
Tato! Powiedz
że istnieję
i będzie dobrze
Tatusiu
Tak bardzo się boję
że gdy już
otworzę oczy
Nie będzie jaśniej.
8.04.2013

*Nieba prawie już nie było nad ziemią.
Padat tylko śnieg tak gęsty i zimny, że nawet
w grobach marzły ludzkie popioły.
Któż jednak powie, że za tymi chmurami nie ma
słońca?*
Aleksander Głowacki

Zemsta jest czerwona
Brutus wiedział
Jezus niekoniecznie
Pytanie kto wyszedł
na tym lepiej?
24.08.2013

duszne dni rutyny
słoneczne godziny lata
Tra ta ta tra tata
Ruchy maszyny
Bez zastanowienia
Bez okruszyny
Samostanowienia
Wpomnienia.
Przychodzą. Odchodzą.
Na raty, raty, raty...
kraty, kraty

Rozumu.
Schronienia.
Mojego więzienia.
Toną wśród nieprzerwanego
Szumu.... Szumu...
Słowa już odmienionego:
Strata, stracie, straty

Krzyczę: nie ma! Nie ma
TATY!

27.08.2013

Kiedyś wrócę mamie
za tydzień, dwa
może miesiąc,
może rok.
Przyjadę!
Będziemy się śmiać
siedząc razem w kuchni
przegadamy całą noc
ciesząc się swoją obecnością
nie myśląc o niczym.

Dym rozejdzie się szarym
kłębem po całym domu
zamglimy nasze problemy
Bezkarne drwiąc z
całego świata.

.....

Nie płacz mamusiu
nie kłamieć
wróć.

Prawda Objawiona

Z pytań i odpowiedzi
najbardziej zrozumiałe
są spójniki.

5.11.2013

Płynę w obłokach
moich myśli.
Zwiedzam splątane
pokoje.

Przemykam korytarzami.
Gładzę ręką
gładkie tafle
obrazów
Z uwielbieniem patrzę
na twarze szczerzące
się głupio ze ścian.
Gdzieś głęboko w piersiach
rozkwita mieniący się szkarłatem
soczysty kwiat...
Czuję się taki szczęśliwy.

13.11.2013

Pada.
Krople spadają z nieba.
Duże, zimne, pełne.
Spływają po mnie.
Leżę.
Przeszywa mnie dreszcz.
Moje ciało na ziemi,
która tak łaskawie mnie przyjęła.
Paznokcie
Wbijają się w miękki grunt.
Oddany sennie tej czynności,
wydrapuję słowa bez znaczenia.
Odczuwam.
Ciężką wilgoć powietrza,
mgliste wibracje uderzeń
leniwych, nieskończonych, miarowych...
Oczy łzawią,
niezrozumiale, słono
mieszając się z glebą.
Przymykam je, by
nie widzieć.

18.11.2013

*Moje największe uzależnienie – chęć przebywania
w towarzystwie drugiego człowieka...*

One

Panie miłości
mnie podarły
rozsarpały skórę
wydłubały mięso

poćwiartowały serce
podzieliły równo
z radością kata.
Oddałem wszystko.
Ozdobna skorupa,
fasada z rozciągniętymi wargami
Szklanymi oczami.
Tym się stałem,
a przecież ja
chciałem być
dobry.

18.04.2014

Kiedy pluli
myślałem deszcz
Kiedy drwili
czułem dreszcz
Kiedy ukrzyżowali
byłem szczerze
zdziwiony.

29.04.2014

Fejs

Mam setkę znajomych
dziesiątki lajków
nie mam do kogo
ust otworzyć

29.04.2014

Fejs II

Mam ich w *znajomych* na fejsie
– W autobusie chcieli mnie pobić.
Mam ich w *znajomych* na fejsie
– twarz mi chcieli ozdobić.
Dziwni ci znajomi
Co o lajki tylko dbają,
Dziwniejsi jeszcze ci znajomi
co na ulicy już nie znają
Głupi ci ludzie
Dla których internet jest panem
I głupszy jeszcze ci ludzie
Co mylą życie z ekranem.

29.05.2014

Barbara Strzelbicka

WYGNANIE Z RAJU DZIECIŃSTWA. O WIERSZACH MIKOŁAJA ZACHARJASZA

Wiersze Mikołaja Zacharjasza zawierają prawdę o jego pokoleniu; można wręcz powiedzieć, iż młody twórca mówi w nich głosem swojego pokolenia, czasem bowiem używa w lirycznym komunikacie formy *my*. Jest w tych wierszach zabawa słowami, ale nie zatrzymuje ona uwagi odbiorcy na powierzchniowej warstwie tekstu – warstwa formalna zatem pełni rolę służebną wobec sensu. Autor preferuje formy krótkie, czasem epigramatyczne. Na uwagę zasługują liczne odniesienie kulturowe w jego tekstach.

Motywym łączącym większość tekstów jest rozczarowanie światem, co w przypadku twórcy tak młodego jest zaskakujące, nie zgadza się bowiem z powszechną opinią o bez trosce i bezrefleksyjności młodości. Podmiot liryczny wierszy przeżywa ból, lęk i zagubienie w świecie, urządzonym przez dorosłych, a w którym przyszło mu żyć. Jest rozczarowany pustką emocjonalną i powierzchownością relacji, panującymi w dobie Internetu. Jego samotność wynika z niezrozumienia w świecie, w którym naturalna potrzeba bliskości z drugim człowiekiem jest odczytywana jako... rodzaj uzależnienia. Najdotkliwiej jednak przeżywa opuszczenie przez ojca, którego potrzebuje i do którego tęskni, choć czuje się przez niego zdradzony. Odejście ojca staje się początkiem wygnania z raju dzieciństwa, inicjacją wieku męskiego. Nie wiemy, w jakim sensie ojciec opuścił swego syna, ale nie to jest istotą sytuacji. Najważniejsze jest w niej to, że syn został sam w obcym mu świecie. Na dodatek czuje się odpowiedzialny za matkę, ale jest zbyt młody, żeby się nią zająć, więc na razie obiecuje, że kiedyś do niej wróci. Kiedy? Jak pozna prawdziwe życie. Bohater doświadcza życia nie tylko rozumem, ale również

sensualnie: wzrokiem, dotykiem. Doświadcza bólu, w tym fizycznego. Obserwacje otoczenia przynoszą rozczarowanie, które samo w sobie nie jest stanem złym, skoro przynosi poznanie prawdy. Może być jednak stanem przykrym, jeśli na przyjęcie prawdy nie jesteśmy gotowi. Rozczarowanie tymi zjawiskami, które przedstawia w wierszach Mikołaj Zacharjasz, dobrze wróży: im prędzej młody człowiek zdemaskuje wartości pozorne, tym szybciej stanie się dorosły. Wygnanie z raju dzieciństwa nie jest krzywdą, choć teraz dorosłość nie jest w modzie i ludzie w każdym wieku są zachęceni do poszukiwania w sobie „wewnętrznego dziecka”, co skutkuje szerzącą się infantyлизacją. Wiersze Mikołaja Zacharjasza są poważne, bo on już zrozumiał, że życie nie jest zabawą. Z wierszy wyłania się portret młodego wrażliwego człowieka, który poszukuje prawdy o sobie i o świecie. Pozostaje życzyć mu, by wytrwał w tych poszukiwaniach i by drogę jego rozwoju dokumentowała poezja.

Barbara Strzelbicka

Krzysztof Sawicki

OKOLICE ŚWIATA*

spowiedź

chciałbym spowiadać się wygodnie siedząc
 ale nie na poduszkach
 i z kartką na której wypisałem swoje grzechy
 i chciałbym wiersz Bogu odczytać
 wiersz ciężki jak grzech ciężki
 który ominąłem choć on też chyba grzeszy
 a nie może się wyświadczyć
 i żeby spowiedź była rozmową
 jak na ulicy
 bym Bogu mógł powiedzieć co u mnie słychać
 i żeby rozmowa była przyjacielska
 abym księdza się nie wstydził
 a potem żebym mógł się pomodlić
 pełną parą jak przed pierwszą komunią
 za prokuratora który list wstrzymał
 bo się bał słowa *sic*

grudzień'85

piosenka dojrzałego mężczyzny

nazywam się dojrzały mężczyzna
 dorosły do bohaterstwa i ojcostwa
 do nierobienia błędów ortograficznych
 z dojrzałymi klasycznymi kompleksami
 z potrzebą przytulenia się do kobiety
 ze zbroją twardego rycerza
 czasami głupkowatego Don Juana

a ja wycić chcę i płakać
 i nie mieć siły na dojrzałość
 i tylko w sobotnie wieczory
 śmiać się z zasmarkanych filmowych supermanów

styczeń'86

Piosenka królowej śniegu

Nie bój się Kay'u,
 chodź, chodź,
 kawałeczkiem szkła cię uspokoję,
 żebyś w nocy się nie zrywał
 i nie szukał snu w szafie.
 Ja ci dam,
 chodź,
 proszę,
 sen długi jak noc polarna.

Wiesz, a wszystko dlatego, że było za dużo
 chętnych
 do przeglądania się w wielkim zwierciadle
 i trzeba było z nim aż do nieba.

Śpiewałeś, żem czerwoną kufajką przyodziana;
 zobacz, jestem przecież cała biała.
 Śpiewałeś, żem szalona psychoterapeutka;
 zobacz, jam pani na lodzie,
 a królowej nie przystoi
 zacieranie rączek w czerwonej kufajce.

Chodź, Kay'u, chodź,
 na saneczkach dzieciennych świat podbijesz;
 będziesz mi paziem, ministrem, kochankiem.

Tylko pamiętaj –
 żadnych marzeń o cieple,
 słońcu i różyczkach.
 Zwierciadła będą zawsze.

Zobacz, ile mam skarbów w lodowatej powłoce;
 jest dinozaur wielki i marzenia ludzi,
 skarby ziemi i religie północy,
 miasta i z ubitym śniegiem drogi,
 jest nawet kamień z kosmosu.

Nie bój się, Kay'u,
 chodź, chodź,
 kawałeczkiem szkła cię uspokoję.
luty'86

piosenka berlińska

przy murze przy murze
 trzy psy szczekały
 mężczyźni tak stali patrzyli
 a nie było drzwi co by zaskrzypiały

za murem za murem
 dziewczyny czekały

*Berlin, sierpień'88*piosenka w zasadzie o tylko jednym
mieście z ważnym postscriptum

miast było kilka
 znałem kolory ich skrzyżowań
 pokrzykiwania podziemnych kupców
 i ich naziemnych braci
 przepocone upały
 chłód deszczu
 tramwaje autobusy taksówki i dorożki
 i inne elementy wnetrzna

ale sterczące filuternie kominy
okna i drzwi
na swoim miejscu
bezkresne strychy
i drzewa darowane z miłości
kochałem tylko w tym jednym mieście

p.s.
a dziwy to nad dziwy
bo ani się tu nie urodziłem
nie pokochałem pierwszy raz
i nawet pewnie tu nie umrę
lipiec 2004

piosenka urodzinowa

kiedy mówię wiersz o miłości
płaczę
czy to ja miłość obszedłem ukradkiem
bom jak złodziej
uporczywie skradający się
do ogrodu
za rzekami
za lasami
bom jak gnuśny starzec
węszący zapach Zuzanny
a może zabląkany rycerz
z przyciężkim mieczem
i cherlawym ramieniem
jak miałem ją wyśnić
przecież prorocy mówią
ona jest w tobie
a nie za siedmioma górami
i przyłbicą
nie pytaj nas
może lepiej zapłakać
Londyn, styczeń 2005 roku

*„Gdy ci umilkną,
kamienie wołać będą”*
tak trwali milczeli
a kamienie stanęły na baczność
bo trudniej jest głazy przeturłać
niż pozamieniać role
nawet te świeże
sprzed kilku dni
i było po wszystkim
po stworzeniu i po śmierci

tylko minister finansów
na zawsze pozostaje
z wielkim problemem aktywów
radości
śmierci
uwolnienia

*Warszawa, Wielki Piątek, 2 kwietnia 2010
roku*

Krzysztof Sawicki

* *Wiersze z tomu Krzysztofa Sawickiego „Okolice świata” (w przekładzie Wasyła Ślęczuka na język ukraiński, wyd. „Teren”, Łuck 2014).*

Krzysztof Sawicki – urodził się 17 stycznia 1955 roku. W 1980 roku ukończył filologię polską w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Od 1981 roku pracował jako dziennikarz i redaktor w prasie Solidarności w Białymstoku, następnie w Lublinie. Publikował m.in. w „Więzi” i „Tygodniku Powszechnym”. W stanie wojennym i aż do 1989 roku podejmował pracę redakcyjną i dziennikarską w wydawnictwach podziemnych, w tym w Archiwum Wschodnim. W 1989 roku współpracował z białostockim Wydawnictwem „Versus”, pracował też jako dziennikarz w biuletynie Solidarności w Białymstoku oraz w prasie poświęconej relacjom Polaków z Litwinami, Białorusinami i Ukraińcami. W 1990 roku został zatrudniony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a w roku 1991 objął stanowisko konsula ds. polonijnych w Ambasadzie RP w Moskwie. Następnie pracował w Wydziale Politycznym tej placówki (regiony Federacji Rosyjskiej). W latach 1995–1998 był zatrudniony w Wydziale Politycznym Ambasady RP w Ałmaty, gdzie sprawował także funkcję zastępcy ambasadora. W latach 2000–2003 pełnił misję konsula generalnego RP we Lwowie oraz pracował w MSZ, w Departamencie Współpracy z Polonią. W tym czasie odbył kilkumiesięczne wyjazdy do polskich placówek w Londynie, Moskwie, Mińsku, Kaliningradzie, Łucku. Od roku 2010 zatrudniony na stanowisku szefa zespołu polonijnego i promocyjnego w Konsulacie Generalnym RP w Łucku. W ciągu kilkudziesięciu lat pracy i zainteresowań skoncentrowanych na obszarze postsowieckim nawiązał szerokie kontakty z działającymi na Wschodzie środowiskami dziennikarskimi, artystycznymi, politycznymi, biznesowymi oraz z organizacjami pozarządowymi.

Janusz Orlikowski

WIERSZE

Cztery słowa

cztery słowa klucze
dar wdzięczność łaska raj
gdy na balkonie myśl była
o jutrzejszym piórze:

dar jeśli oczy dotykają rzeczy
a one w swej pierwszej postaci
i dłoń na kłamce do jutra
dziś i wczoraj to samo znaczy;
i głowy myśli chrobot
zamyka się w ciszę

wdzięczność jeśli uśmiech pomimo
że strach w nagłej chorobie
i śmierć panoszy się butnie;
za oddech chleb i poranek
stukot kobiecych obcasów;
za nie napisany esej

łaska jeżeli przyjęta
gdy z białej chmurki daimonion
ten na ramieniu dotyk
za nic i niesłyszalny głos;
kiedy zmienia się w przekonanie
a nawet nie jest
chwilą

raj gdyby czas byłby
trwającą aktualnością

Jest

żonie

jest we mnie ta kobieta
której na imię Lilith

pierwsza żona Adama
nie odeszła z Raju on
okazał się właściwym:
bez pożądania i w kontemplacji
rozkosz

i
nic nie wiedzieli o tym

wąż zgiął się w pól
wściekle wytrzeszczając oczy
połknął język

jest w Tobie ta kobieta
której na imię Lilith

ocalałe drzewo w nas

List do zdrowia

zdrowie – dotykam twoich życiodajnych dłoni
i palce niech twoje zagną się na moich... w ciszy
a tam – słychać tylko oddech spokojnego nieba
dobry uchwyt dla dni które mi zostały

blichtr pieniądze i władza
z nimi ci nie po drodze
to nie twoja przystań
gdy z pożądań kurczy się doba
i jak kij pchnięty w mrowisko
to ciągle – co dalej?
gdy mrówki zakręcone w sobie

ten pozew adrenaliny o rozwód
gdy stoisz sobie na przeszkodzie?
bo ty przecież możesz?

pieniądze i władza
obydwa końce tego samego kija
tak samo bolą
blichtr skurczy się jak nic
i nikt o nim nie powie

wiem i dlatego zdrowie
dotykam twoich życiodajnych dłoni
palce niech twoje zagną się na moich

moja głowa niech opowiada to twojej

Raj, który widziałem

nie widziałem raj u poza tym
gdy byłem w szpitalnym ogrodzie
dotykałem liści pni drzew i krzewów

dłoń kiedy wzniosłem ku górze
dotknąłbym chmur gdyby była dłuższa
czas – pustelnik życia nie był mi znajomy

tylko samo jest, obecność
tych liści pni drzew i krzewów
kwiatu nenufaru błyszczącego w wodzie
powietrze i słońce
zaciągałem do płuc ale bez pragnienia
a tylko dlatego – że są

byli tam też ludzie
ubrani, cywilni
nie z mojego raju
tylko niektórzy – jak ta łysa kobieta
w koniecznym turbanie na głowie
czy ten mężczyzna z przypaloną czerwienią
klatki piersiowej

nie widziałem raju poza tym
gdy wyszedłem pierwszy raz
do szpitalnego ogrodu

Ważność

dzień z rozpartym na ramionach słońcem
miarowym oddechem i spokojem oczu

większy wagą przebytej grozy
która – jeśli wróci jeszcze

ponownie skupi się w soczewce
jedynej potrzeby: życie

powiększenie niech trwa niczym wieczność
ogrodu bez skazy jabłka

takie są niektórych drzewa
wiadomości dobrego i złego

w nich sączy się ważność:
dzień

Janusz Orlikowski

Stanisław Szwarc

OBRAZKI Z EDENU

Coś w rodzaju elegii

Widziałem dzisiaj umieranie domu.
Był niemłody wprowadzie,
można rzec, w sile wieku.
Nawet dosyć zadbany.
Nie bronił się,
widać było jego wnętrzości i pamięć.
Jasną plamę po ślubnej fotografii na ścianie.
Umierał z tak zwanych wyższych powodów,
dając miejsce nowemu życiu
szkła i stali, ale
nazbyt to wyglądało na morderstwo
z premedytacją.

Jarmark

Chociaż straganu nie otacza krata,
do oczu łaszą się jak psy w schronisku.
Porzucone, sprzedane, zdradzone jak żona
z pozaprzeszłej epoki, dlatego niemodna.
Zniknęły drzwi zardzewiałego klucza
i srebrna puderniczka nie ma już torebki.
Ślubne zdjęcie już dawno wzięło rozwód z ramą,
która ofiarnym dymem z kuchennego pieca
uleciała do nieba rzeczy niepotrzebnych.
Nie opowiedzą o swojej historii
przerwanej nagle. Naszyjnik wiekowy
wiele mógłby nam zdradzić sekretów alkowy.
Jak rozpięty w pośpiechu zgubił koral, onyks,
może perła to była,
a może nie rozpięty, lecz w trawie zgubiony,
lub nie za swoją winę skazany na areszt,
tęsknił w ciemnicy szuflady za szyją...

Chociaż straganu nie otacza krata,
do oczu łaszą się jak psy w schronisku.
Kup – kiedyś znowu będą naszyjnikiem babci.

Kołobrzeg

Dziwne miasto.
Gwałtem zdobyte,
choć mówią, że wyzwolone.
Ciągłe nie zmartwychwstało,
zawieszane pomiędzy...

Owszem, nabrało ciała.
Tylko dusza
uleciała z dymem katedry i Strandpalast,
odpłynęła na ewakuacyjnych statkach,
rozsypała z napisem szwabachą na tynku
Franz Altman Bierstube.
Żadne tłumy turystów nie przywołają jej
dawnym językiem.

I gdzie tu miejsce dla nowej.
Kwartaly cmentarnych zieleńców.
Nagrobki bloków równymi rzędami.
Katedra ledwo wystaje z wielkopłytkowej trumny.
W Rosengarten parkują samochody.

Dusza miasta jest tak delikatna
w zapachu starych sieni innych niż,
w hałasie ulicy odmiennym,
wyjątkowym objęciu zakochanych
w zaułku jedynej starówki.

Dusza miasta jest delikatna.
Właściwie jej nie widać,
widać tylko jej brak.

Niektórzy lubią

Nie rozumiem zupełnie, czego chcą poeci.
Te głupawe zachwyty nad wronami na śniegu
ozdobione słowami jak seksowne majtki
z przezroczystą koronką. A jaki pożytek
w napisanym lesie z napisanej sarny,
kiedy są w Internecie całymi stadami
i te z lasu, jak żywe i inne... sarenki.
A ten wiatr, co króluje na sonej krawędzi
gór. Co za chała, nie lepiej w komórę
wrzasnąć na szczycie: „Jestem na Kasprowym.
Zimno tu, kurwa, stary, ale zajebiście”.
No bo tak, bo lubię te, jak im tam, turnie
i to niebo niebieskie. Po co zaraz lazur.

I co ten facet dostrzegł w zwyczajnym kamyku,
że niby patrzy okiem spokojnym, lecz jasnym.
Pewnie jest coś, cholera, ja pójde do piachu
a ten kamyk zostanie, co w środku – zagadka.
Czy naprawdę nie starczy, że Ziemia się kręci,
słońce wschodzi, zachodzi i ludzie się rodzą,
kochają, jedzą, robią szmal i w trumnę.
„Carpe diem” – niegłupi był, co tak powiedział.
Ten z dawnych czasów, no, nieważne który.
Skąd to wiem? Bo czytałem. Nie, nie tylko w
szkole.
Czasem. No. Tylko żeby kumple nie wiedzieli.
Jakoś głupio. Się zdarzy, że włączę kompa,
żeby czytać te książki, diabli wiedzą czemu.
Nie rozumiem połowy. Odkładam. Znow biorę.
To chyba ta noblistka Wiśłocka pisała,
że niektórzy lubią...
To ja chyba lubię.

Instrukcja użytkowania

Dziękujemy za wybór naszego produktu.
Jest doprawdy wszechstronny. Można go wbić w
ziemię,
powiesić na nim wroga wybranego dowolnie.
Można go nieść na czele tysięcy pomniejszych.
Lecz uwaga – te małe trzyma się odwrotnie,
wtedy zwać się mieczami i służyć do jatki.
Ma tę cechę niezwykłą, że gdziekolwiek stanie,
prócz was nikomu z miejsca nie daje się ruszyć,
chyba że... Tu stawiać możecie warunki,
aż dziw jakie wysokie i nie baczyć na nic,
bo wspieracie się na nim, jak chromy na szczy-
dłach.
Łatwo przyciąga, a kto przy nim stanie,
posłuszny będzie ślepo waszej woli,
zwłaszcza że na kolanach trudno się buntować.

Przyznajemy, że inne mieliśmy zamiary,
Lecz teraz, cóż, staramy się gonić z postępem.

Ojciec & Syn
(Duch wyjechał. Nie wiemy, czy
wróci.)

MediaMarkt

Witkacy, Tischner i Dostojewski
Bartok, Bosch, Lorca z nim Białoszewski,
Stachura, Mrozek, Beksiński, Zola,
Kilar, Głowacki, Wieniawski, Goya,
Szopen z Miłoszem, Herbert z Schumanem,
Tansman, Malczewski, Mandelsztam z Mannem,
Boznańska, Hartwig, Wagner, Villon,
Lem, Szymanowski, Gombrowicz, Bąk,
Różewicz, Rilke, Pisarro, Schubert,
Chwin, Penderecki, Hölderlin z Prusem,
Kamieńska, Turner, Górecki, Wilde,
Duda-Gracz, Gajcy, Słowacki, Baird,
Debussy, Przyboś i Modigliani,
Lipskiej pominąć nie mogę za nic,
Sartre, Joyce, Schulz, Cybis i Palestrina,
Chagall i Leśmian się przypomina...
Długo tę listę ciągnąć byłbym gotów.
Jeszcze Szymborska.

„Nie dla idiotów.”

Niedźwiedź na kuli

Jak to się stara, jak wygina,
tocząc się drogą poplątaną.
Na gładkiej, niebezpiecznej Kuli.
Zawsze krok jeden od wierzchołka
niezdarnie w miejscu przydreptuje.
Gdzieś w tęym łbie niejasna świta
myśl, że ruch jest jego losem,
że stanąć w miejscu znaczy upaść.
Świętuje każdy krok udany,
choć nie wie, dokąd się potoczy
Kula areną nieskończoną,
co bez oklasków, świateł, widzów.
Nie licząc gwiazd,
Lecz im jest obcy zaparty dech,
kiedy się chwieje.

Eden

Błogosławieni ubodzy duchem,
albowiem ich są markety Edenu.
Szeregami na półkach słoiki
pełne musu
z jabłek nieobitych Drzewa Wiadomości
jedynej prawdy.

Co z tego, że inni
u stóp Drzewa budują drabinę
w daremnym mozole,
szczebel po szczebłu.
Jeszcze nie widać gałęzi ni liści.
Kora nie odpowiada,
jabłoń to czy figa przeklęta.
Budują choć wąpiał,
wąpiał choć budują.

A brama Edenu szeroko otwarta
i archanioł z plikiem ulotek zaprasza.

Stanisław Szwarc

Stanisław Szwarc – urodzony w 1947 r. w Poznaniu. Chemik. Współautor tomików poetyckich „Na skrzyżowaniach myśli” (2002) i „Postoje” (2009), wydał ponadto „Jeszcze nie” (2006). Publikuje w prasie literackiej. Laureat kilku konkursów literackich. Członek zespołu redakcyjnego „Protokołu Kulturalnego”. Członek klubu literackiego „Dąbrówka” w Poznaniu i Stowarzyszenia Twórczego Artystyczno-Literackiego w Krakowie.

Agnieszka Jarzębowska

PRZEKŁADANIEC

* * *

tęsknię do czasu
kiedy odjadę
w krainę
gdzie nikt
nie będzie PRZECIW

1980 Moskwa

* * *

odczekam tysiąc lat i będę żyła w innym świecie
bez niepotrzebnych kultów
i będę kochać przeciw zimnym ścianom
przeciw zimnym ludziom
będę czerpać
ciepło
z kwiatów
przeczekać tysiąc lat
ludzkiej nienawiści

1980 Moskwa

* * *

spróbuj mnie znaleźć
odszukać
w mechanizmach codzienności
w trybach
przyspieszonego czasu

gdzie każda minuta
na wagę życia

gdzie każde słońce
starsze
o jeszcze jeden
nierozsądek człowieka

Do poety

rozbłyśnij nim zgaśniesz
rozbłyśnij nim zaśniesz

opowiedz mi swoją historię

o życiu co nie pieści
o życiu nie z powieści
o pędzie do przodu
doznanych zawodach
o tym, ile jesteś wart
ile było w życiu dobrych kart

powiedz o ludziach z piękną duszą
tych, co kochają i co wzruszą
i namalują piękny świat
zostaw po sobie parę słów
zostaw po sobie parę nut
parę szczęśliwych fotografii

rozbłyśnij nim zgaśniesz
rozbłyśnij nim zaśniesz

opowiedz mi swoją historię.

* * *

gromadzę drobiazgi
dla innych
zwykle śmiecie
korek od szampana
od wina
pitego po raz pierwszy
opakowanie po papierosach zostawionych przy-
padkiem
muszlę wyłowioną
z dna egzotycznego morza
i różę

wiersz
fotografie
książki
układam siebie
z kawałeczków
potłuczonego czasu

1979

Agnieszka Jarzębowska

Łucja Szota

WIERSZE*

Złożony zielenią
 błękit
 przegląda się
 w wodzie

poruszona
 skrzydłem ważki
 szepce
 psalmy
 o zmierzchu

natchnione darem
 Stwórco

[z cyklu: Jurajskie impresje]

Patrzę na liść
 pomarszczony
 poplamiony niepogodą
 taki zużyty
 sam na gałęzi
 mokrej od łez
 na pierwszy rzut oka
 zwyczajny
 - ot liść
 spojrzalam uważniej
 odkryłam
 że jest uparty
 wytrzymały
 i odważny
 ciekawy świata
 wcale niesamotny
 postanowił przetrwać
 a przecież powinien
 opaść
 pod drzewo
 które mu kiedyś
 dało życie

[z cyklu: Jurajskie impresje]

Uwikłany w życie
 samotny aż do bólu
 bezradny wobec człowieka
 spoglądasz w niebo
 z nadzieją w rozpaczy

Próbujesz ubłagać Pana

Czy zrozumie
 i wysłucha

[z cyklu: Uwikłany w życie]

Życie
 ja bochen chleba
 ma smak i zapach
 pszenicznych kłosów
 przyprawionych goryczą
 ziół i ostów

Każda
 kromka smakuje inaczej
 choć jest częścią jednego
 bochna chleba

[z cyklu: Uwikłany w życie]

Świeca płonie
 i płacze
 gęstymi łzami
 szczęścia
 niepomna
 że wkrótce
 zostanie
 bezkształtną
 resztką materii
 z której kiedyś
 ją wyrzeźbiono

[z cyklu: Uwalniam marzenia]

Łucja Szota

* *Wiersze z tomu: Łucja Szota, Jurajskie impresje 2008, Wyd. Stowarzyszenie Przyjaciół Gaude Mater, Częstochowa 2008. Wyboru dokonała Agnieszka Złota.*

Łucja Szota – pedagog, samorządowiec, członkini Stowarzyszenia Przyjaciół Gaude Mater i KIK-u. Debiutowała swoimi wierszami na łamach prasy lokalnej. Drukowała w „Dyrektorze szkoły” i w antologii szkolnej. Swoją utwór, dedykowany Janowi Pawłowi II, wręczyła osobiście Ojcu Świętemu na prywatnej audyencji w Watykanie. Dzieciństwo spędziła na Jurze Krakowskiej, życie dorosłe związała z Częstochową i Jurą Częstochowską.

Joanna Dymańska

GŁOSY I SZEPTY

księżyc i wino

On i Ona siedzą przy stole
nad szklankami wina
Księżyc na niebiesko oświetla
ich martwe twarze
Patrzają w siebie. Nie patrzą.
a wczoraj było tak pięknie
wszystko było inne, kolorowe
żyli

piją słodkie wino
które straciło smak
już nie jest czerwone
tylko czarne, niebieskie
Księżyc przegląda się w szklankach
On i Ona patrzą mu w oczy
Pytają. Tęsknią.
A twarze mają niebieskie
coraz bledsze
aż całkiem znikną
zostaną tylko szklanki
z nie dopitym winem
a w nich niebieskie
odbicia Księżycy
1998

* * *

czujesz jak zimno ?
lepiej już nie będzie
cieszymy się tą chwilą
kiedy Bóg nie patrzy
więc możemy być
trochę mniej dobrzy
2000

* * *

tak wiem
popelniam banał
żyjąc
mam zarisy dłoni
których nie potrafię
zmienić w ptaki

i tak
słońca są za daleko
nie można dotknąć pragnienia
nigdy

więcej
bardziej
ponad

jednak
jest dobrze
banalność sześciennego pudełka po zapałkach
wkrada się przez szpary w podłodze
jest dobrze
chyba nie bywało lepiej

2000

* * *

zasypiam
poczułam że
czegoś mi brakuje
kogoś
z kim mogłabym
porozmawiać
albo nie rozmawiać
ale
zawsze jest jakieś ale
dwa trzy
lub więcej
jest tłum
ludzi
rynek
jest kostka brukowa
są prawa
i obowiązki
i ja jestem
tak samo inna
od tylu lat
nie zmieniłam się
tylko już
nie wyciągam rąk
z kieszeni
kiedy rozmawiam

2000

* * *

widziałam niebo
pod palcami blask samotnej szosy
i zieleń
zboże

wdychałam świeży kurz
który sam do mnie przyszedł
z daleka

tylko ta niepewność która
wyrosła sama z siebie
lęk przed tym co znane i bliskie
wygodnym przyzwyczajeniem

nie wiedziałam że
nie wolno uciekać
2000

trawy

korzenne wino
gorące bordowe i mocne
smętny ogień dogasa w ognisku
ochrypli śpiew naszych przyjaciół
dobiega zza szklanek
ktoś pijany wygłasza proroctwa
a mnie się oczy zamykają
na prezydentów, unie i pakty

w nas już nie ma żaru
zauważyłeś ?
może tego ognia w ogóle nie było
tylko tak bardzo chcieliśmy uwierzyć...

teraz jesteśmy spokojni
przyzwyczajeni
oswojeni ?

chciałabym usłyszeć jak gwar świerszczy
wpada przez otwarte okna
jak trawy pachną
i nocna maciejka
ale to przecież nie lato

czasem nie mieliśmy o czym rozmawiać
teraz nie mamy już nawet o czym milczeć

nie mamy
tylko trawy pachną
2001

dźwięki

błękitnopusty jak zwykle
świt znalazł cię
obudź się sam
w wielkim kwadratowym łóżku
zamglony żółty sufit
nagość szklanej rosy
jest cudownie
choć samotnie
jest

zaparz kawę
jej zapach wypełni zasypane solą zmysły
za oknem żona posła
zrzuca jedwabną bieliznę
a posła dusi jedwabny krawat
na konferencji w Berlinie

piękno rodzi się w płatkach róży i w deszczu
całe życie ukrywam się
teraz trwam w ciszy by przetrwać i wypić kawę
nakarmię gołębie martwym snem
ciche pastelowe miasto usypia moją czujność
nic się nie wydarzy
dopóki nie skończę jeść śniadania

2001

Joanna Dymańska

Autonota

Nazywam się Joanna Dymańska (z domu Nalewanny). Urodziłam się 1.05.1983 r. w Wodzisławiu Śląskim, mieszkam w Częstochowie. Ukończyłam studia na AJD na kierunku Edukacja Artystyczna w Zakresie Sztuk Plastycznych (specjalizacja rzeźba, w latach 2002 - 2007). Mój debiut literacki to II miejsce w konkursie „Twórczość ze szkolnej ławy” w 1999 roku w Będzinie. Później m.in. wyróżnienie w konkursie „Zagłębiowski Pegaz” w 2000 roku oraz kilka wygranych „Turniejów Jedynego Wiersza” i publikacja w almanachu „Zakrywanie bieli” w Będzinie. W czasie studiów odłożyłam pisanie i całą twórczą energię przełałam na plastykę, teraz wracam jednak do pisania. Poezja jest dla mnie nieustannym poszukiwaniem, próbą opowiedzenia tego, co niewidoczne, a także formą sztuki, która przenika się z twórczością plastyczną.

Eligiusz Buczyński

WIERSZE

rozpierzucha

najpiękniejszą obroną jest atak
 tak trudno poradzić sobie z utrzymaniem się na
 szczycie
 a kiedy tam stałem z rozłożonymi skrzydłami
 wiatr wiał sto kilometrów na godzinę
 próbując przełamać mnie w pół
 ty również nie byłeś lepsza
 krzycząc: jeśli nie zejdziesz na ziemię
 nigdy nie wracaj; odkryłem obłęd w bezdusznej
 nocy
 zebrałem kości i jakoś poradziłem sobie z ciałem
 wróciłem; chciałem zobaczyć jak nam pójdzie dalej

dokarmianie dzikich zwierząt

już nie uciekamy przestaliśmy biec
 i od połowy drogi zachłysłaliśmy się
 czystym powietrzem. jesteśmy parą nasze ramiona
 są mocne jak kolumny twarze rzeckie kroki równe.
 trawa rośnie wysoko nad nami i promienie
 rodzą się półkolem wprost z podziemi.
 cieszy mnie ta odległość którą przebyliśmy
 i cieszy mnie również twoja obecność.
 mam niejasne przeczucie że to czego wspólnie
 dokonaliśmy było igraniem nad gardzielą piekła

rana

nic samo się nie dzieje
 tylko rana się goi sama
 nie przeszkadzaj ranie
 umieszczonej w ramie
 rana jest bowiem najpiękniejszym obrazem
 jaki posiadasz
 spójrz przypatrz się uważnie
 z punktu widzenia krytyki
 nie ma powodów do zmartwień
 zdrowa mocna rana
 z której wyciekło serce
 nie epatuje mądrością
 ani intelektem
 rana w ramie
 przy zgaszonym świetle
 siadam i myślę jak musisz być
 wielki człowieku

wiekuista noc

wszystko co spało –
 przestało
 podeszliśmy do wież z których
 słyszeliśmy muzykę
 a do świtu zostały miriady lat
 odległa o morze gwiazd
 zawisła w próżni jutrzienka
 nieznanego
 tej nocy wszystko co spało –
 przestało
 zdjęliśmy z pleców kosze zebranych owoców
 i rozbijaliśmy ciemność pomarańczowym
 korowodem płasów

dumania człowieka nie stąd
nieśmiertelna Hartwig

w środku dnia w połowie urlopu
 w bezimiennym mieście
 schowany między przedwojennymi latarniami
 i drzewami nieznanego parku

bezwiednie patrząc na podmiejskie autobusy
 wytwórnę trumien
 jak i na zbiegającą z drzewa
 wiewiórkę

tu na obrzeżu z którego jeszcze widniej
 rozpościera się perspektywa centrum
 a śmierć próbuje wyrzucić presję informuję
 iż nie jestem stąd a w rękach trzymam nie-
 śmiertelność – jej wiersze –
 znalazłem się tu po to aby ich zażyć
 wypuścić obłok papierosowego dymu -
 skrycie przed płucami – wejść do środka
 podumać zaginąć

Eligiusz Buczyński

Eligiusz Buczyński – bibliotekarz, poeta, ukończył studia na wydziale Pedagogiki i Psychologii UwB, a także podyplomowe studia z zakresu Mediacji oraz Bibliotekarstwa. Wydał tomik poetycki pt. *Oddechy* (2006 r.). Publikował w: „Portrecie”, „Akancie”, „Epei”, „Cegle” oraz na internetowej stronie „Odry”. Ma 36 lat, mieszka w Białymstoku.

Jan Łączewski

MÓJ ROK
[część II]

Lipiec

w lipcu roku przypada połowa
 sytuacja więc średnia i nietypowa
 w radosnych chwilach doświadczasz skwaru
 wędrujesz przez pawilony bazaru
 rodzą się w lipcu lwy oraz raki
 cała plejada dat
 weselą się dziewczyny i chłopaki
 w gorącym słońcu pięknieje świat
 urlopy i kanikuła – czy to wszystko
 i ja ten piękny świat poznałem
 gdy w lipcu się narodziłem
 chociaż tak dawno to było
 lat prawie osiemdziesiąt
 ciszy, wciąż cieszy mnie lipiec

Sierpień

sierp – obok pługa – główne narzędzie pracy
 pracy rolnika
 sierpień – apogeum żniwnego procesu
 dosiadamy konika bułanego lub srokacza
 albo właśnie całkiem innego
 bo sierpień ma swoje prawa
 w Częstochowie ruch pielgrzymkowy
 ożywiony
 chociaż w pobliskich lasach łowy
 łowy na zwierzyńcę
 piękna to pora kolorami błyska
 a w poetyckim zawodzie trafi się
 od czasu do czasu jakaś iskra
 iskra natchnienia
 właśnie w sierpniu
 czy sierpniowy wierszyk jest za krótki?

Wrzesień

wrzesień po wakacyjnej przerwie
 znowu woła:
 nauczyciele i uczniowie
 zaczyna się szkoła
 dwunasty dzień tego miesiąca
 zwycięstwa pamiętnego
 za panowania króla Jana Trzeciego
 została po nim wielka sława
 wiedeńska wiktoria
 i turecka kawa
 a wrzosa kwitną
 pora wycieczek
 gier i polowań
 polski wrzesień
 chociaż bywały też inne wrześnie
 pamiętamy

Październik

ten miesiąc ze złotą kojarzy się jesienią
 ze złotą jesienią polską
 barwy zieleni, czerwieni, brązu i żółci
 kraśnieją
 ale ich koniec już się w przyrodzie pisze
 liście kolorowej zimy nie przeżyją
 choć wiatr je zaprasza w tany
 po co marnuje się tyle liści
 i gdzie się teraz podzieją
 bogaty jest październik w wydarzenia
 także w historii to miesiąc początków
 jak co rok wiedzą to chrześcijanie
 miesiąc planów i ich realizacji
 przypomina nam naukę Lutera
 i konieczność dobrego życia
 zawsze w dniu kolejnej rocznicy
 rocznicy Reformacji
 czy pięćsetletni jubileusz nas przybliży
 czy wręcz przeciwnie
 my – współcześni październikowi
 chrześcijanie

Listopad

listopad to dla Polski niebezpieczna pora
 pisali światli uczeni przed laty
 w listopadzie spotykamy się na cmentarzach
 gdzie gra opadłych liści marsz żałobny
 ożywiamy pamięć o tych, którzy nas

wyprzedzili

którzy odeszli lecz nie od Zbawcy
 w pogodne dni słyszymy takty melodyjne
 to muzyka rozliczenia
 sprawdza i przypomina nasze dawne życie
 bywa też biały śnieg
 jak anielskie zaproszenie do nieba
 wspólne ich i nasze życie
 listopad to ważna w naszych działaniach
 okoliczność
 społeczność świętych
 w którym miłości zawarłem ostatek

bywa
 że śnieg całą powierzchnię pokrywa
 White Christmas
 patrzymy na świat wzrokiem suchym
 spojrzenia ciemnego i ponurego
 ale światła i kolędowy nuty
 głoszą chwałę Narodzonego
 w szopce ubogiej
 gdzie cierpienie i pokuta
 ale teraz radości przeważają
 w noc sylwestrową liczni
 przyjemności życia używają
 ku chwale szampana
 młodzi z jego uroków korzystają
 jest pełnia zimy
 Bóg się rodzi
 koniec roku
 a nowy rok się zbliża. Tu kropka.

Grudzień

Jan Łączewski

Aleksandra Jakubczak, *Przyrost*,
 technika własna, 9 x 10,5 cm, 2012



Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

KAZIMIERZA „STOLORZA” KOWALCZYKA ZAKŁAD PRZETWARZANIA I UTYLIZACJI SŁÓW I MYŚLI „STARA WIERSZOWNIA” [seria piąta]

*Wszystkie wiersze tej serii dedykuję
Dorocie Gardawskiej – wiernej Czytelniczce
moich wierszy i świarnej Ślązaczce.*

I.

Ego pogubiło szcudła,
Kurczy się w spiekocie grzechu,
A tu pustynia bez źródła,
I brak powodu do śmiechu.
Słowa nie mogą powiedzieć,
Usta aż do krwi spękane,
Wodę niesie ktoś na przedzie,
Kto zazwyczaj jest tyranem,
Tylko on źródła wyzwała,
Z perlistej, chłodnej świeżości,
A wita ją barwna gala,
Tyrańszczyzny gości,
Grzechy wszystkie policzone,
Kierowane do ksiąg życia,
Nawet te niezawinione,
Będące sposobem bycia,
Pod pozycją „winien” piszą,
Głuchoniemi aniołowie,
Zjednoczeni z wieczną ciszą,
W której słowa nie wypowiem,
I nie będzie mojej zgody,
Na bezpodstawną pokutę,
Potrzeba mi kubka wody,
Aby zmyć fałszywą nutę,
By wyczyścić tatuaże,
Przemocą mi wydziergane,
I wyleczyć się z zakażeń,
Wyklutych ze snów nad ranem,
Do wody pełzną wśród ostów,
Gdzieś wysoko – bzy i głogi,
Wiedziony nadzieją postu,
Czytam napis – „koniec drogi”.

II.

Pisanie to oddychanie,
Choćby wiatrem wolności czy ciszą zagłady,
Wybuchem wesołości rozbawionych gości,
Wyszukiwaniem zadań, którym nie dasz rady,
Rachowaniem bolesnym popękanych kości,

Pisanie to poznawanie,
Bzdur wyplutych przez język bo nie
wszystkim znane,
Owiniętych w papierki słodko szeleszczące,
Snów jak menel pijanych, wysnionych nad
ranem,
Przepędzonych do diabła przez wschodzące
słońce,

Pisanie to dziękowanie,
Za natchnienie świerszczowi co skrzypce
potrzaskał,
O bieguny kołyski by nam spokój dała,
Że życie to opowieść a nie głupia fraszka,
Że nadzieja powraca – choć jest taka mała.

III.

Bo to jest teatr gdy ułuda,
Przesłania oczy zwiewnych tiulem,
Gdy myśli każą wierzyć w cuda,
Choć dni powszednie znaczą bólem,
Każdy wysiłek.

Bo to jest teatr kiedy cisza,
Zbiera swe nuty w burzy temat,

W taki jakiego nikt nie słyszał,
Bo nie ujęty w żaden schemat,
Serca posiłek.

Bo to jest teatr marionetek,
Gdy słów brakuje ludziom szarym,
Zebranych w ciasną kartotekę,
Gnębionym stale i bez miary,
Przez tępą siłę.

Bo to jest teatr gdy na grzędzie,
Usiądzie błazen z pustą głową,
Co miast męskości ma żółędzie,
Który rządzonym – honorowo,
Kopie mogiłę.

IV.

Okno mej celi choć maleńkie,
Świat mi podaje jak na dłoni,
I szepcze – powalcz troszkę z lekkim,
A twój duch zdrowy cię obroni.

W oknie mej celi barwni ludzie,
Aż oczy bołą od kolorów,
A okno szepcze – żyją w brudzie,
Piękni są tylko dla pozorów.

Racja po stokroć – mam różaniec,
Ziarenka którego palce ranią,
Bo każde przyniósł zły posłaniec.

Ziarenka przyniósł czarny anioł,
Zapewniał, że są z serca dane,
Aby zabił każdą ranę.

V.

Trzy razy sprawdzam drzwi wejściowe,
Przed ciekawskimi, przed złym wzrokiem,
Po co kłopoty zbierać nowe,
Gdy ledwo łązę chwiejnym krokiem.

Nerwy mi szarpie do drzwi dzwonek,

Wszak domownicy mają klucze,
Nie chcę nikogo brać w obronę,
Mam dosyć świrów i pouczeń.

W kropelce ciszy szczęścia szukam,
I nutki szukam – tej ze złota,
Co da zapomnieć o kłopotach.

By dzisiaj przetrwać – trudna sztuka,
Czy dla żebraka czy bogacza,
Świat się nie zmienia. Świat się stacza.

VI.

Pielgrzymka myśli – trud niechciany,
Zwłaszcza ta w przeszłość w ciemnych kątach,
Gdzie obowiązek zaniedbany,
Gdzie brud po sobie trzeba sprzątać.

Patrzy mi z oczu przyzwoitość,
Roznoszę zapach drogiej wody,
Moje sumienie gdzieś zabito,
Miałem z nim tylko korowody.

We śnie zegary bez wskazówek,
Głowy bez uszu, słów powroty,
Końca żywota to przednówek.

To odczytują zimne poty,
Choć usta skleja gorzka ślina,
Pytają czy to TA godzina.....

VII.

Apel nas czeka nieuchronny,
W tłumie podobnym do nas samych,
I plac już czeka dość przestronny,
I rampa czeka koło bramy.

To nie pierwszyzna, ma efekty,
Wychodowany grom pogardy,
Pierwotny owoc czarnej sekty,
W nas zamieszkały, jak my hardy.

Cóż mi pomoże garść popiołu,
Zmyje ją woda, ziemia wchłonie,
A nowe grzechy brudzą dłonie.

I nie dopuszczą mnie do stołu,
Wystawią w dzień na pośmiewisko,
Za ślad nadziei – oddam wszystko.

VIII.

Ten zawrót głowy jak po kuflu piwa,
Odszedł nie wróci – młodość go zabrała,
Młodość czupurna niczym wiatru grzywa,
Pieszcząca kształty dziewczęcego ciała.

A świarnych dziewczyn było tam bez liku,
Piękniejszych od tych kwiatusków na łące,
Miały odwagę gadać bez uników,
I serca czułe, w miłości gorące.

Nie mogłem pojąć i dalej nie mogę,
Czegoś skrytego między kominami,
W dniach gdy się pocą czarnymi kroplami.

Gdyby czas cofnąć i zawrócić drogę,
Po same brzegi ślubnego kobierca,
Znowu klupałbym do Ślącaczki serca.

IX.

Zachodzi słońko za las kalinowy,
Czerwone z trudu słońeczko dojrzałe,
Zmęczone drogą idzie po dzień nowy,
Jak zawsze wierne i w uczuciach stałe.

A już najbardziej słońce dręczą ludzie,
Radziby światło pod swój korzec schować,
Lub wziąć na łańcuch i przywiązać w budzie,
By jasność miała najwyżej połowa.

Ściągnij mi słońko drobny deszcz majowy,
Aby ożywił wszystko co zielone,
Oczy dziewczyny, drzew nową koronę.

Niechże mnie zmoczy i sadek wiśniowy,
Bym mógł radośnie wziąć w ramiona ciszę,
W której rytm serca kochanej usłyszę.

X.

Iluz tu czeka na cud uzdrowienia,
Wszystkie nadzieje wiążąc z tym czekaniem,
Lata mijają i nic się nie zmienia,
Aż w końcu słyszą, że to jest przesłanie.

Skoro przesłanie to czas zebrać siły,
Tak czynią chłopci zanim wyjdą w pole,
By czarne myśli głowę opuściły,
Aby po ludzku odegrać swą rolę.

Nie mnie dochodzić istoty przesłania,
Pragnę jedynie powszechnego chleba,
Co daje więcej i co mniej zabrania.

Zmieniono drogi wiodące do nieba,
Krzyżem nie nazwę tego co los zsyła,
Taki mam żywot, taka moja siła.

XI.

Maj rozwinie sztandary – również te na
drzewach,
Choćby dla ulgi oczom przemęczonym bielą,
To w ich żwawym łopocie chęć życia
dojrzewa,
I w czerni dziur zapadłych marzenia się ścielą.

Filozofom łysieją do cna gołe czaszki,
Nie są w stanie zrozumieć mają ulotności,
On świeżością pijany pociągnie łyk z flaszki,
Za to, że pośród ludzi na miesiąc zagodzi.

Choć siedzę na bagażach ociągam się z drogą,
Bo głowa nie jest w stanie znieść maja
zawrotów,
I wewnątrz to coś łaknie sercowych kłopotów.

I tykania zegarów trwożyć mnie nie mogą,
Toż i one nie znają najważniejszej daty,

Maja, co bżem szaleje, nie spiszę na straty.

XII.

Sentymentalny banał – wiersz o bżach
majowych,
A kłaskanie słowików – grafomańska
zbrodnia,
Dla poety z dredami co wszystko „ma
z głowy”,
Patrząc na świat przez dziury w swych
dzińsowych spodniach.

Wonne jak miłość kiście bży w dłonie
wciskały,
Słodycz uczucia drżała w „solówkach”
słowików,
W tych różowych godzinach w niebie byłem
cały,
I świat brałem na serio. Nie znałem uników.
A wokół ciebie hałas – cisza cię nie wzrusza,
Słowiki odstraszyły słuchawki na uszach,
Nie wiem co sobie myślisz – kamienną masz
minę.

Rzadko miałem coś w dłoniach, w tych
narzędziach mowy,
Dzielących długie zdania równo na połowy,
Wolne były na tyle by objąć dziewczynę.

XIII.

Poezja może błądzić gdy z myślą ucieka,
Lecz nie wchodzi do domu gdzie psy strzegą
wejścia,
Rozeźlona czernieje sadzą na powiekach,
I brzydnie bez lusterka jak babsztył po
przejsiachi.

A kiedy się rozgości nie mieści się w ramach,
Nawet w tych pozłacanych, bogato
rzeźbionych,
Wierności nie ślubuje – kapryśna to dama,
Zdradza odchodząc cicho, dygając ukłony.

Kiedyś tam przyfrunęła błękitnym motylkiem,
I przez okno otwarte tchnęła wirem znaków,
Nie za długo tańczyła i zniknęła chyłkiem.

Został po niej gdzieś w kątach pył złotych
robaków,
Tak maleńkich jak piasek, jak kurz
księgozbioru,
I bawi mnie natchnieniem albo grą pozorów.

XIV.

Zmierzch zbiera resztki światła starannie
i wszędzie,
Jakby to miało znaczyć świata narodzenie,
Po to by pójść ku nocy i nie zostać w błędzie,
By spokojnie, bez lęku zapuścić korzenie.

By w bezruchu oglądać ciemność tężejącą,
Na tyle już mocarną by gwiazdy rozpalać,
Zapomnieć się i przestać przyglądać się
końcom,
Które trzyma jak lejce światła złota fala.

Niech i mnie mrok zabierze w otchłanie
spokoju,
Tam gdzie oddech jest pełny a księżyc poeta,
Chodzi przez park metafor w nienagannym
stroju.

Miałabym i ja swój artyzm w złotych
epoletach,
Lecz oczy mi zakryła snu zwiewna firana,
Połknąłem sen łapczywie i spałem do rana.

Kazimierz „Stolorz” Kowalczyk

Gottfried Benn

[w przekładzie Bogdana Knopa]

REISEN

Meinen Sie Zürich zum Beispiel
sei eine tiefere Stadt,
wo man Wunder und Weißen
immer als Inhalt hat?

Meinen Sie, aus Habana,
weiß und hibiskusrot,
brähe ein ewiges Manna
für Ihre Wüstennot?

Bahnhofstraßen und Rueen,
Boulevards, Lidos, Laan –
selbst auf den Fifth Avenueen
fällt Sie die Leere an –

ach, vergeblich das Fahren!
Spät erst erfahren Sie sich:
bleiben und stille bewahren
das sich umgrenzende Ich.

Gottfried Benn – „Podróże” (I)

Pomyślcie, taki Zurych
Byłby do głębi miastem,
W którym cuda i świętych
Ma się we wnętrzu własnym?

Pomyślcie, czyż Hawana
Biała i lilaróż
sprowadzi wieczystą mannę
na wasz pustynny głód?

Dworcowe drogi, Rue
Aleje, bulwary, Lida -
Nawet na Fifth Avenue
Dopada ta sama nuda -

Ach, wy daremne jazdy!
Późno przychodzi wiedza:
Zostać i skrywać w ciszy
Przez siebie kreślone Ja.

Gottfried Benn – „Podróże” (II)

Pomyślcie tylko – choćby Zurych
Czy ma na tyle głębi własnej
Że może piękno no i świętych
Schować w swym wnętrzu ciasnym?

Pomyślcie tylko, a z Hawany
hibiskusowo różowo białej
Czy spadnie wam wieczystej manny
deszcz na pustyni pragnień?

Drogi dworcowe, paryskie Rue
Aleje, bulwary, rzymskie Lida -
Nawet na samej Fifth Avenue
Dopadnie was bezpłodna nuda -

Ach, próżna męko mych podróży!
Później dopiero przychodzi wiedza:
Zostań na miejscu i pilnuj w ciszy
własnego Ja co się odgradza.

Gottfried Benn – niemiecki poeta. Debiutował przed I Wojną Światową, umarł po II-ej, w roku 1956. Z zawodu lekarz. Uwiódł go nazizm (co tak bardzo przypomina uwiedzenie wielu naszych poetów przez komunizm), w 1932 r. wybrano go do działu poezji Pruskiej Akademii, a rok później podpisał „Śluby posłuszeństwa najwierniejszych Hitlerowi” Jednak już w 1938 romans z brunatną siłą skończył się dla pisarza zakazem publikacji i całkowitym jego zamilknięciem. Podczas wojny służył w Wehrmachcie, gdzieś we wschodnich Niemczech (może na terenie obecnej Polski?). Po wojnie na krótko objęty przez aliantów zakazem publikacji za swe wczesne poparcie dla III Rzeszy. Potem nagradzany, szanowany, wielbiony. Laureat prestiżowej nagrody Georga Büchnera (1951). Wiersz „Reisen” powstał w roku 1950. Tłumaczenie tego wiersza było dla mnie nie lada wyzwaniem. Męczę się z nim od dobrych dziesięciu lat. Jest w tym utworze jakaś uwodząca przewrotność, która nie daje mi spokoju. Bo któż oprócz Benna twierdzi, że nie podróże kształcą, ale ich zaniechanie; że nasze wnętrza jest ciekawsze niż uroki nieznanych (i znanych) krajów i miejsc? Forma oryginału jest nad wyraz oszczędna, co przekład czyni karkołomnym. Oba tłumaczenia wiersza dzieli kilka lat. Pierwsze jest sprzed niedawna i próbuje oddać lapidarność oryginału bez gubienia sensu. Drugie jest starsze i kładzie nacisk na sens, ale nie jest oszczędne w słowach. Zdecydowałem się zaprezentować oba, żeby dać wybór czytelnikowi.

Bogdan Knop

Wiesława Owczyrek

PIERŚCIONEK

[z cyklu „Zguby”]

Pierścionek był srebrny i miał niebieskie oczko, które po śmierci Mamy ściemniało, jakby przesłoniło swoją niebieskość żałobą. Był częścią Jej biednej, skromnej biżuterii, na którą składały się wisiorki na srebrnych łańcuszkach, sznur bursztynów, pozłacane broszki. Bo Mama, prowadząc proste i pracowite życie, lubiła mieć rzeczy, które w Jej mniemaniu czyniły z Niej kobietę elegancką i zadbaną. Nie miała moja Mama zbyt wielu okazji, by ozdabiać się wisiorami i broszkami, ale pod koniec życia, kiedy już mieszkała z nami, nosiła ten mały, srebrny pierścioneczek, który, jak mi wyznała, kupiła sobie w chwili słabości, bo chciała mieć zawsze przy sobie coś ładnego, coś, co nie przeszkadzałoby Jej w codziennym utrudzeniu. Po Jej śmierci z wszystkich błyskotek wybrałam pierścionek i założyłam go na serdeczny palec lewej ręki. Towarzyszył mi teraz, a jego widok i obecność sprawiały, że Mama nadal była blisko mnie.

Trwałam jeszcze w żałobie po Rodzicach, gdyż wkrótce po Mamie zmarł Tata, gdy Anka zaprosiła mnie do siebie, do Pszczyny, na kilka dni. W perspektywie rysował się wyjazd do Cieszyna i wszelkie atrakcje związane z podróżą, zwiedzaniem nowych miejsc. Spakowałam się szybko i ruszyłam do Pszczyny, a na drugi dzień po przybyciu na miejsce razem z Anią jechałyśmy do Cieszyna.

Ania była dobrą przewodniczką. Znała miasto bardzo dobrze, gdyż kończyła tu liceum i teraz miała okazję pokazać mi ulubione miejsca, uliczki, parki – to wszystko, co wiązało się z jej młodością, a więc zostało w niej na zawsze jako słodkie wspomnienie lat beztroski. Czułam jej wzruszenie i chęć, bym podzielała to wzruszenie razem z nią.

Zresztą Cieszyn, zarówno w swojej polskiej jak i czeskiej części, był piękny, bogaty historią, a kolory wczesnego października i lekka nostalgia za latem sprawiały, że wędrowaliśmy jego ulicami i placami oczarowane urodą miasta. Wspomnienia Ani wpłatały się w koloryt wczesnej jesieni i zapamiętałam Cieszyn jako miasto urokliwych, jesiennych pejzaży. Robiliśmy też zdjęcia w co bardziej charakterystycznych lub pięknych miejscach. Prosiłyśmy też czasem kogoś z przechodniów, by zrobił nam wspólne zdjęcie.

Obiad w wietnamskiej restauracji, strudel w stylowej kawiarni, herbatka z ciastkiem w małej kawiarence – zmęczone wędrowaniem robiliśmy przystanki w miejscach, które Ania dobrze знаła i do których mnie prowadziła wierząc, że będę zachwycona. I tak właśnie było, byłam zachwycona całym tym dniem, miastem i tym, że tak sobie razem chodzimy, podziwiamy te same miejsca, że wędrując, wspominamy wspólne studiowanie, rozmawiamy o naszych dzieciach i wnukach, o rodzinnych wydarzeniach, przeczytanych ostatnio książkach, o polityce – o tym wszystkim, o czym zawsze mogliśmy ze sobą serdecznie mówić.

Zrobiło się późno i trzeba było wracać. I właśnie wtedy zauważyłam, że nie mam na palcu pierścionka.

- Może go ze sobą nie wzięłaś? – Ania też była zmartwiona.

- Ależ miałam go na palcu. Nie zdejmuję go nigdy. Mogłabym przysiąc, że jeszcze przed chwilą był na swoim miejscu – nie mogłam uwierzyć, że straciłam pierścionek.

Zastanawialiśmy się, gdzie mogłam go zgubić. Może w restauracji lub w którejś kawiarni podczas mycia rąk w toalecie? Może zsunął się z palca podczas spaceru w parku i leży teraz gdzieś w trawie? Może ktoś go znajdzie i nie będzie wiedział, jaka jest jego historia?

Nie było czasu, by wracać do odwiedzanych w ciągu dnia miejsc i szukać zguby. Widocznie tak miało być. Mam żal sama do siebie i Ania też zmarkotniała. Ten piękny dzień, uroda miasta i chwil w nim spędzonych – to wszystko gdzieś uleciało. Zostało przykre poczucie krzywdy, o którą nie wiadomo, kogo oskarżyć.

Następnego dnia wracałam do domu. Przy pakowaniu jeszcze raz wszystko przetrząsnęłam z nadzieją, że może jednak mój pierścionek zaplątał się gdzieś w ubraniach, zsunął podczas mycia, czesania i spoczywa w jakimś zakamarku, w kieszonce kurtki lub torebki. Może pod umywalką? Koło łóżka?

Wszystko na nic. Pierścionek zniknął.

Wieczorem byłam już w domu. Postawiłam bagaż w przedpokoju i pobiegłam na piętro, by umyć ręce i przebrać się po podróży.

Pierścionek leżał obok szafy. W sypialni, obok szafy leżała moja zguba, mój mały, srebrny pierścionek z niebieskim oczkiem. W srebrnej oprawie błękit był czysty i wyraźny, jakby żaloba odeszła i od niego, i ode mnie.

Nie dowierzałam. A może jednak nie wzięłam go ze sobą? Może zsunął mi się z palca w czasie pakowania bagażu i leżał tak kilka dni samotnie, czekając na mnie?

Zdjęcia! Przypomniałam sobie o zdjęciach. Na którymś z nich pierścionek powinien być widoczny...

Po kilku dniach siedziałam w zadumie nad zdjęciami. Ja przed szkołą Ani, razem z Anką w restauracji, razem w parku, ja na tle Małej Wenecji... Na tych zdjęciach, na których widoczna jest moja lewa dłoń, widoczny jest również pierścionek. A więc był ze mną. Nie wiem, jak wrócił i nie pytajcie mnie o to. Już go nie noszę. Boję się, że drugi raz nie darowałby mi, gdybym go zgubiła.

Mamo, dziękuję.

Wiesława Owczarek

Marek Maculewicz

ZAPISKI BARMANA

[fragment]

Wspinaczka

- I masz rację - uniósł kufel z piwem ten drugi, nieco chudszy grubas. - Ja też dotąd to tak za bardzo w to nie wierzyłem, że sport jest w życiu bardzo przydatny i w ogóle pożyteczny. Ale odkąd u nas na osiedlu w szkole podstawowej zrobili na Dzień Dziecka takie pokazowe zawody we włożeniu na ścianę, to sam stałem się wielkim zwolennikiem, amatorem i propagatorem.

Na początku nic nie wróżyło, że będzie to dzień mojej życiowej metamorfozy. Po prostu poszliśmy sobie całą rodziną na te pokazy. Od razu to mnie tak nie wzięło to ich całe wspinać. Ot, kawałek dykty, czy czegoś takiego. Na tym poprzylepiane jakby te grzyby niejadalne na drzewach. I oni po tych grzybach hyc, hyc i niektórzy to aż prawie po sufitach łazili. Mało mnie to obchodziło. Więcej, myślałem, jak by tu się piwa napić z golonczką albo z ćwiartuchną. I tak się jakoś rozmarzyłem.

Aż tu mnie nagle moja stara trąca i przeirywa błogie rozmarzenie, a ja w myślach albo w jakimś takim półśnie już czwarte piwko sobie sączyłem. „Nie słyszysz, co ogłaszają? - drze mi się do ucha. - Zaraz wstawaj i hyc, hyc po tych tam grzybkach, bo do wygrania jest telewizor znanej marki, bardzo dużo cali”. Faktycznie okazało się, że można wygrać takie cacko, ale talon na ten telewizor wisi prawie na środku sufitu. Mówię: co ty kobieto, przecież ja nie wleżę nawet do połowy; kałdun mi wisi do kolan i powyżej pięćdziesięciu centymetrów nad ziemią to mam już zawroty. „Zawroty to będziesz miał, jak mi nie zdobędziesz tego cuda” - oznajmiła tonem niedopuszczającym sprzeciwu i zaczęła mi masować bicepsy jak ci sekundanci bokserom.

Cóż było robić, musiałem zmierzyć się z tą ścianą, jeśli nie chciałem nocy spędzić na wycieraczce i przez następne lata wzorowego pożycia wysłuchiwać, że jestem bez ducha... oczywiście sportowego. Podszedłem do tej ściany tak dla świętego spokoju, bo byłem pewien, że jeśli zaraz sam nie zlecę, to któryś z tych pierwszych grzybów moich stu ośmiu kilogramów nie utrzyma i urwie się na sto procent. Myliłem się, a najgorsze było to, że pierwszy odcinek pokonałem prawie bez problemów, niesiony chyba oszalałym dopingiem publiki, której przewodziła moja stara. Dudniło mi w uszach równomierne „Gruby!!! Gruby!!!” i nagle się zorientowałem, że jestem w połowie wysokości ściany. Żarty się skończyły, to już nie była wysokość, z której mógłbym bezpiecznie spaść. Owszem, niby byłem, jak to się mówi, asekurowany, ale tylko teoretycznie, bo linę, co mnie miała ubezpieczać, trzymał taki cherlawy kurdupel, dokładne przeciwieństwo mnie samego. Mógł ważyć najwyżej ze czterdzieści kilo i to tylko, jeśli by się bardzo naprężył.

Zimny pot wystąpił mi na wysokie czoło, więc błagalnie spojrzałem na moją starą, z nadzieją, że widząc moją desperację, zwolni mnie z obowiązku dalszego wspinania i jakoś bezpiecznie ewakuuje z tej niewygodnej pozycji. Ale ona nie, jednym okiem czujnie łapała, czy aby ktoś z publiki się nie wyłamuje ze skandowania, a drugim wpatrywała się we mnie trochę zawzięcie i trochę z nadzieją. Takiego ma zeza rozbieżnego.

Nie miałem więc odwrotu. Na szczęście dawno sobie nie robiłem „manicury”, więc mogłem w kolejne dwa grzyby wbić się szponami. Poskutkowało. Wisząc tak na pazurach wbitych w uchwyty, poczułem, że moje odświętne pantofle ciągną mnie do dołu. Postanowiłem się ich pozbyć. I tak stópka o stópkę najpierw zrzuciłem buty, a zaraz po nich i skarpetki. Blżej siedzący troszeczkę pozołkli na bużkach, ale tak naprawdę minimalnie.

Miałem więc dodatkowe dwa komplety szponów i należało to wykorzystać. Wbiłem

się w tej sytuacji paznokciami u stóp w dwa kolejne grzyby i energicznie rozprostowałem kolana. Za energicznie, bo w tej chwili wyrzuciłem swoim łysym i chyba jednak ambitnym łbem o sufit. Z jednej strony ucieszyło mnie to, bo znaczyło, że jestem coraz bliżej celu. Z drugiej jednak strony zmartwiłem się, bo bolało.

Znów spojrzałem na moją kobietę. W jej wpatrzonym we mnie oku dostrzegłem prawdziwe pragnienie, pragnienie posiadania tego telewizora znanej firmy z bardzo dużą ilością cali. Tak, on mógłby ją uszczęśliwić, bo poczułaby się, jakby sama była w środku akcji swoich ukochanych seriali. To do niej gadaliby na okrągło o kochaniu ci faceci z nastroszonymi czuprynymi i zuchwami jak żelazka. W telewizorze znanej firmy z bardzo dużą ilością cali moja żona mogłaby łatwiej dostrzec braki w urodzie lub kreacjach tych wszystkich serialowych piękności z zadartymi noskami i dołkami w policzkach. Sama może by się też mogła włączyć w tę karuzelę matrymonialno-miłosną, gdzie normalne jest, że macocha się kocha i z ojcem, i z synem, i pasierbica też. Albo odwrotnie. Niech to ma, skoro lubi - pomyślałem i naprężyłem swoje wszystkie sflaczałe mięśnie. Wygiąłem się do tyłu i wyrzuciłem w górę ręce, żeby się chwycić grzybów na suficie. Te były jakieś twardsze, albo co, bo moje skuteczne dotąd szpony połamały się na nich jak zapałki. Już miałem spadać, ale odezwał się we mnie duch walki i naprężyłem mięśnie powtórnie. Wczepiłem się w grzyba na suficie swoimi połatanymi siekaczami. Obawiałem się trochę, czy plomby wytrzymają, ale zacząłem przemieszczać swoje cielsko w kierunku kolejnych uchwytów. Stopy miałem ciągle sprawne i przyczepne, a najmniejszy palec u prawej okazał się w ogóle mistrzem chwytu. To dzięki niemu wykonałem decydujące przemieszczenie na suficie, a gdy nawet sztuczna szczęka mi się omsknęła na grzybie i całym swoim cielskiem zacząłem opadać w dół, to mój mały superpaluszek potrafił utrzymać moje sto osiem kilo,

a następnie się nawet na nim podciągnąłem.

Cel był już bardzo blisko. Zostały jeszcze tylko dwa grzyby i już będę przy kuponie. Zerknąłem na żonę, już była prawie pewna, że dane jej będzie zbliżyć się do serialowego Boba albo Patryka na ekranie z bardzo dużą ilością cali. Tłum jeszcze skandował moje imię, ale już się szykował do odśpiewania hymnu. Dzieci płakały z radości, a kucharki szkolne mroziły szampana.

Odbiłem się moim mistrzowskim paluszkiem u prawej nogi, żeby chwycić przedostatniego grzyba i okazało się, że dłonie za śliskie od potu, a sztuczna szczęka się obluźowała i zaklinowała mi usta. W ostatniej chwili zdołałem się złapać lewą powieką. Chwila odpoczynku i prawą powieką zacząłem szperać za ostatnim uchwytem. Jest, delikatnie prawą powiekę nasunąłem na ostatni uchwyt. Teraz wystarczyło tylko wykonać na suficie obrót nogami w kierunku upragnionego kuponu i telewizor znanej marki, bardzo dużo cali będzie nasz, to znaczy mojej żony. Widownia wprost oszalała. Jeszcze nie śpiewali hymnu, ale już wykonywali różne patriotyczne pieśni. Dziewczynki w naszych regionalnych strojach trzymały już w pogotowiu kwiaty. Staruszki, swoim zwyczajem, zaczęły się modlić.

Nie wiedziałem, że prawą powiekę mam słabszą od lewej, bo gdybym to wiedział, to oczywiście bym wykonał obrót w przeciwną stronę. A może po prostu byłem już zbyt pewny siebie i zgubiła mnie brawura. W każdym razie, gdy już byłem prawie u celu, prawa powieka obsunęła mi się z uchwytu i masą stu ośmiu kilogramów ruszyła z impetem w kierunku parkietu sali gimnastycznej naszej szkoły podstawowej. Asekurant, owszem, się zaparł i liny nie puścił. Ale cóż z tego, skoro ważył jedną trzecią tego co ja albo nawet jeszcze mniej. W identycznym tempie jak ja w dół, poszybował więc kurdupel w górę i z takim samym impetem jak ja w parkiet, on przywalił w sufit. Kurdupel miał jednak szczęście, bo swoim rozkwaszonym nosem trafił wprost w talon na telewizor znanej marki,

bardzo dużo cali.

Moja stara do dziś mu zazdrości, a mnie nie wpuszcza do domu drzwiami, tylko każe mi się wspinać po murze na trzecie piętro. „Trening czyni mistrza” - powtarza mi za każdym razem, gdy wciąga mnie do mieszkania z parapetu.

Za rok objazdowi wspinacze znowu do nas przyjeżdżają, a do wygrania będzie jeszcze większy telewizor. Myślę, że tym razem zdołam się zrehabilitować w oczach mojej żony i tylko jedna obawa spędza mi sen z powiek: czy aby nie skończą się do tamtej pory te ulubione mojej żony seriale. Ostatnio wróżka mnie uspokoiła, że nie.

- Na pewno nie - uspokoił grubszy grubas chudsze go grubasa i trącili się kuflami, piwo się poulewało.

Wystąpienie w obronie obyczajności

Zapamiętałem jeszcze jednego bojownika z nieobyczajnością. Ten przyszedł specjalnie w piątkowy wieczór, gdy w „Barbadosie” bywało wręcz tłoczno. Nie usiadł przy barze, ale wzięwszy wodę mineralną gazowaną dla zalegalizowania swojej bytności w lokalu, ustawił się na środku sali. Takiego audytorium było mu potrzeba.

- Chciałbym powiedzieć o pleniącej się rozpuście i rozwiązłości. A przysłała mnie tutaj DUPA, to znaczy taka organizacja: Drużyna Uparcie Propagująca Ascezę (w skrócie DeU-PeA). My w tej dup... znaczy w organizacji razem z członkami walczymy o dobre obyczaje. I żeby wyplenić to wszystko świństwo, co nas otacza. A trzeba uczciwie i z troską powiedzieć, że świństwo otacza nas już ze wszystkich stron. Namnożyło się na przykład najróżniejszych agencji. Oczywiście, że nie mam na myśli agencji reklamy ani nawet agencji ochrony. Wiadomo, że chodzi o te, che, che, che... - tu puścił oko do audytorium - ...bezalkoholowe, tfu, to znaczy... towarzyskie. Świństwo i to nie przez to, że tam bara bara i trutu tutu, tylko

przez to, że zmyłki straszne przez tę towarzyską nazwę wprowadzają. Bo przychodzi sobie taki mizerny chłopina w prochowcu i kapeluszu, kolana mu dygoczą, że się zaraz rozsypie. Puka grzecznie, a tam drab taki ogromny, znaczy ochroniarz: „czego?!” Chłopina spragniony i spanikowany jak dziecko przed konfiturą: „chciałem, tego, no, po...po...po...potowarzyć”.

Te salony... - znów puścił oko - ...masażu nie są lepsze. Przyjeżdża taki turysta do dużego miasta i już na dworcu pakuje się do taksówki. „Wie pan do tej, no, do masarni chciałem” - mówi tak i wyciąga ostrożnie słomę z buta, żeby tapicerki nie uszkodzić. Taksówkarz zawozi pacjenta pod miejscowe zakłady mięsne. Turysta trochę się dziwi, że ten gabinet uciech taki duży. Ale zostaje.

Dość tego! - podniósł nagle głos podekscytowany, aż się trochę popłuł wodą mineralną gazowaną. - Dość tego i DUPA nie spocznie, a szczególnie my, jej członki, dopóki tej dziejącej się pod przykryciem rozpusty nie obnażymy i nie dobierzemy się do jej najdelikatniejszych miejsc, i nie posiadziemy... - jakby się zapomniał, bo przymknął powieki i zaczął głęboko oddychać - ...i nie posiadziemy jej bezpiecznej nagości, i nie wychłoszczymy...

- ...najlepiej skórzanym pejczykiem - uzupełnił głos z dali.

- Właśnie - odetchnął z ulgą mówca, jakby zrzucił z siebie coś ciężkiego lub raczej dobiegł do celu. Następnie się uklonił, odstawił na bar pustą szklanką po wodzie mineralnej, po czym wyszedł. I nawet dostał brawa.

Sposób na ostateczne poniechanie zapisu liter z polskimi znakami diakrytycznymi i tegoż skutki dla ortografii

- Jest pan, jak się domyślam, absolutnym laikiem i dyletantem w zakresie historii języka polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem przemian zachodzących w jego pisowni? - zapytał retorycznie i nieco zawile doktorzyna,

wciąż trzymając dłonie na swojej pracy.

- Można tak powiedzieć - przyznałem, choć nie do końca przekonany, bo przecież czasem posługuję się polską pisownią.

- Mogę zatem powierzyć panu ten owoc moich historycznych studiów, głębokich przemyśleń i szczegółowych analiz. Pan jest najlepszym adresatem tej obrazoburczej pracy, która burzy wiele utartych teorii i schematów, przez co obraża mędrców. Pana los, jako dyletanta i laika, w żadnym stopniu nie zależy od owych mędrców, więc panu ta praca zaszkodzić nie może. Co innego ja, skromny doktorzyna zależny i przytłoczony, czyli wykastrowany i przestraszony.

- Nie wiem, czy jestem godzien - wydukałem tak trochę po kościelnemu, bo sytuacja wydała mi się poważna.

- Proszę mi nie odmawiać! - Uniósł pracę z baru i wcisnął mi w ręce. - Proszę mi nie odmawiać! Ja, skoro dzisiaj w najodpowiedniejszym miejscu i momencie nie zdobyłem się na upublicznienie swoich teorii, to już nigdy tego nie zrobię. Niech pan mnie zrozumie! Paraliżuje mnie strach przed śmiesznością lub ostracyzmem. Bo wywrotowcy bywają albo wyklęci ze środowiska, albo ośmieszeni. Ja nie mogę sobie na to pozwolić, ale pan...

- ...dyletant i laik... - uzupełniłem.

- Właśnie. Jest pan idealnym depozytariuszem i dysponentem mojej idei - wypowiedział to z ulgą, jakby duży kamień spadł mu z serca.

- I proszę się nie martwić tym, że większości opisanych tam zjawisk i mechanizmów fonetycznych lub graficznych nie będzie pan rozumiał. To nie jest ważne, bo najkrócej rzecz ujmując, chodzi o to, by zdanie, w którym występują wszystkie polskie litery ze znakami diakrytycznymi: zażółć gęślą jaźń.... Ma pan coś do pisania? - przerwał znowu wykład pytaniem.

Podał mi kartkę i długopis, a wówczas on stał się jakoś optymistycznie pobudzony. Jakby nie było jeszcze przed chwilą tego użalania się nad sobą, jakby nie wlał w siebie tych kilku pięćdziesiątek; jakby nie był dzisiaj

niespełnionym doktorzyną, lecz wiedzionym odkrywczą wizją profesorem, i to zwyczajnym. Napisał najpierw wypowiedziane wcześniej zdanie: „Zażółć gęślą jaźń”.

- To zdanie nic nie znaczy - wyjaśnił. - Jest po prostu bezsensowne, ale jest najkrótszym możliwym zdaniem, w którym znajdują się wszystkie polskie litery ze znakami diakrytycznymi, to znaczy z tymi kropeczkami, kreseczkami i ogonkami. Przez kilka wieków używanie tych znaków nie stanowiło szczególnej uciążliwości, ale przecież od czasu upowszechnienia się maszyny do pisania, przymus stawiania tych występujących tylko w naszym języku znaków, zaczął się stawać uciążliwy. Uciążliwość ta pogłębiła się jeszcze bardziej w dobie powszechnej komputeryzacji. Chodzi już nie tylko o konieczność używania dwóch rąk, zamiast jednej, do zapisywania niektórych liter, ale o wiele innych problemów, wynikających choćby z cech oprogramowania. I pan zapewne również wielokrotnie spotkał się w jakimś tekście z krzyżykami, wykrzyknikami i cyferkami zamiast polskich liter, prawda?

- Prawda - przyznałem zgodnie z prawdą.

- No właśnie. Czyż nie nastał więc czas najwyższy, aby poniechać owych znaków diakrytycznych i zapisać to zdanie tak oto: „Zarzuwxc geusxlou jaznrx” - zapisał nową formę z wyrazem twarzy dziecka otwierającego pudełko z łakociami. Poprzedził je znakiem równości pomiędzy wciąż obecnie obowiązującą formą, a proponowaną przez siebie. Następnie dołożył kolejny znak równości i dopisał kolejną formę: „Zarzuw' geus'lou jaz'n”.

- Nie upieram się przy jedynie słusznej koncepcji. Jestem otwarty na dyskusję i kompromis. Ważne jest przede wszystkim to, iż w obu proponowanych przeze mnie pisowniach, użyte są wyłącznie litery z podstawowego alfabetu. Ponadto upraszcza się znacznie ortografia.

- Więc młodzież uczącą się powinien pan mieć po swojej stronie - spróbowałem błysnąć refleksem.

- Do dziś łudziłem się, że nie tylko młodzież - znowu posmutniał doktorzyna. - Mogłem

choćby spróbować, ale stchórzyłem. Proszę mi jeszcze nalać – poprosił, zgniatając w dłoni zapisaną kartkę i oddając mi długopis. Wypił, co mu nalałem. Pogłaskał dłonią plastikową oprawę swojej pracy, którą ja uprzednio położyłem z powrotem na barze. Patrzył chwilę na nią, głaszcząc jakby na pożegnanie.

- Niech mi pan nie odmawia, proszę, niech pan ją przygarnie i zaopiekuje się nią jak własną. - Chyba miał łzy w oczach.

Zrobiło mi się go żal, więc nie odmówiłem, przygarnąłem ją i spróbowałem potraktować jak własną. Okazało się to jednak nie takie proste, gdyż była dla mnie w wielu miejscach niezrozumiała. Szczegółowe analizy artykulacji głoski nosowej przedniej i tylnej, dowodzenie wyższości fonetyki nad etymologią, szczegółowy opis nowego alfabetu z graficznymi ilustracjami ułożenia aparatu mowy przy artykulacji poszczególnych głosek, w końcu precyzyjne wyliczenia przyrostu liczby znaków, przy jednoczesnej oszczędności czasu i zmniejszeniu wysiłku manualnego dla napisania przykładowych tekstów - to wszystko czyniło z pracy doktorzyny rzeczywiście solidny, przemyślany i pogłębiony materiał naukowy. Ale tenże materiał, w odróżnieniu od opowiadania Amerykanina Marka, nie nadaje się do przytoczenia w moich niniejszych zapiskach. Jest trochę za mądry. Aby jednak być do końca w porządku wobec doktorzyny, nie wypada mi chyba tak zwyczajnie wcisnąć jego pracę pomiędzy podręczniki do filozofii a ulubione tomiki poezji; choćby najbardziej ulubione. Nie po to wszak ofiarował mi dzieło swojego życia, abym ja, podobnie jak on, stchórzył, dał za wygraną, czy po prostu odstąpił od upublicznienia z powodu braku kompetencji. Przeciwnie, jako laik i dyletant mogę się odważyć bez ryzyka posądzenia o obrazę majestatu języka polskiego i bez obawy, że się ośmieszę. I na to właśnie liczył doktorzyna, powierzając mi owoc swojego intelektu i pracowitości. Nie mogę go zawieść.

Świadom zatem niemożności przytoczenia w tym miejscu pracy naukowej w całości, po-

zwolę sobie zacytować dosłownie credo w niej zawarte, które to credo zaczerpnął autor od naszego wieszczka.

Chodzi mi o to

Hodzi mi o to, aby jezyk gieutki
 Powiedziaw wszystko, co pomysli gwova:
 A czasem byw jak piorun jasny, preudki,
 A czasem smutny jako piesxnx stepova,
 A czasem jako skarga nimfy mieutki,
 A czasem pieukny jak aniuwuv mova...
 Aby przeleciaw wszystko duha skrzydwm.
 Strofa bycx vinna taktem, nie weudzidwm.

Z niej wszystko dobycx, zamglicx jou
 teusknotou,
 Potem z niej wyskacx bwyskavicou cihou,
 Potem w promieniach jou pokazacx zwotou,
 Potem nadeutou dawnych przodkuv pychou,
 Potem jou utkacx Arahny robotou,
 Potem ulepicy z bwota, jak pod stryhou
 Gniazdo jaskuwcze przybite do drzeva,
 Co w sobie swonxcu vshodzoucemu
 xpieva...

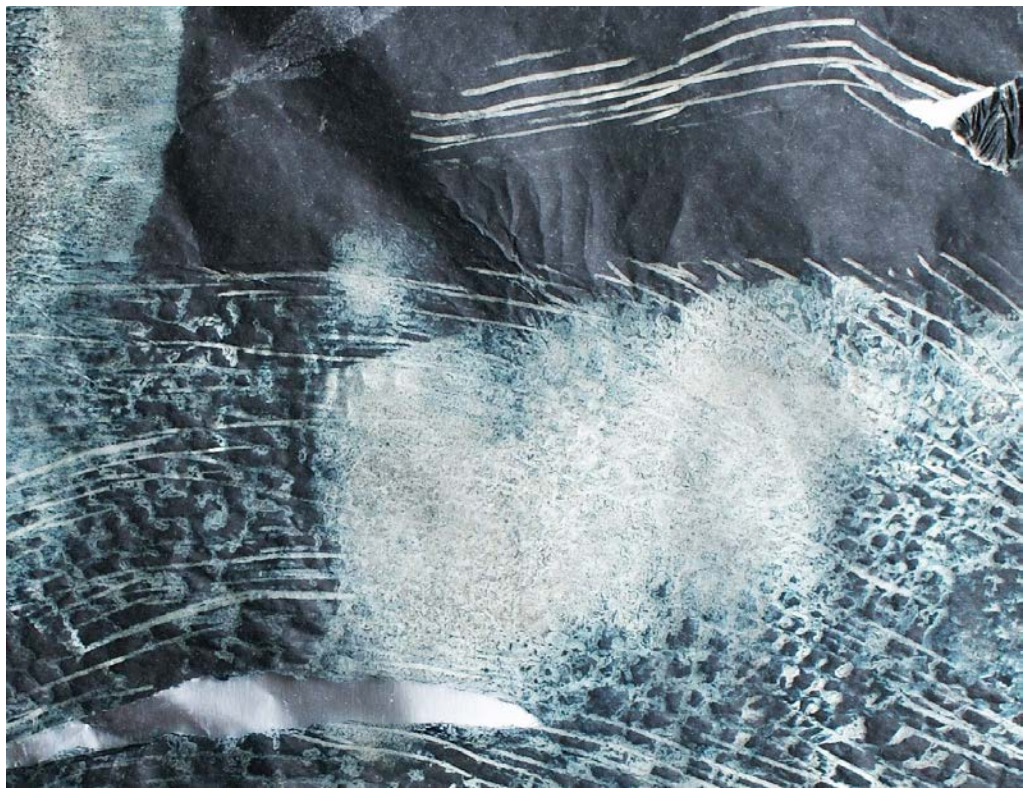
I gdyby stary uv Jan Czarnoleski
 Z mogliwy

povstaw, toby jou zrozumiaiw
 Mysxlouc, rze jakisx poemat niebieski,
 Ktury mu w grobie nad lipami szumiaw,
 Swyszy, ubrany w dawny rym krulevski,
 Movou, kturou sam przed wiekami umiaiw.
 Potem by, ciho mrzouc, rozwarzaw w sobie,
 Rze nie zapomniaw movy polskiej w grobie.

Vieuc nie mieszajcie mi sieu tu, harfiarze,
 Ktury m dzisx klaska twum! - precz movo
 smeutna,
 Co mysxlom vwasne odejmujesz tvarze,
 Dajouc im ciougwou wzeu lub ciougwe
 teutna;
 Volawbym swuhacx morza na viszarze
 Jakiej opoki, co wiekuv pamieutna,
 V szumie, jakoby v nieskonxczonym rymie,
 Odrzuca falom jedno - wielkie imieiu...
(Juliusz Słowacki, Beniowski, fragment Pieśni Piątej)

Marek Maculewicz

Aleksandra Jakubczak, *Prouokacja*,
 technika własna, 7 x 9 cm, 2012



DOBRA KSIĄŻKA SIĘ OBRONI...

Rozmowa ze Zbigniewem Biernackim – antykwariuszem, społecznikiem, kolekcjonerem częstochowianów autorem albumów o Częstochowie i znawcą dziejów miasta.



Foto ze zbiorów Autora.

Aleksandra Keller: *Zacznijmy od książek. Jest ich tutaj naprawdę sporo. W Częstochowie przyjęła się opinia, że jeśli czegoś nie ma w księgarni, na pewno będzie „u Biernackiego”. Od czego zaczęła się Pańska historia księgarza-antykwariusza?*

Zbigniew Biernacki: *Należałoby zacząć od początku. Moja mama Władysława (z domu Żmuda) urodziła mnie na wsi, tam gdzie mieszkali jej rodzice i gdzie do dzisiejszego dnia nie ma prądu – to Wincentów koło Koniecpola. Raz do roku staram się tam pojechać, zobaczyć, jak to miejsce wygląda. Domu już nie ma, został tylko gnojnik. Mama była najstarsza z rodzeństwa, miała jeszcze młodszą siostrę i brata. Jako najstarsze z dzieci pracowała najwięcej w gospodarstwie. Wojenne losy sprawiły, że mieszkała u rodziców także jako mężatka, ponieważ mój ojciec Czesław po wojnie nie rozstał*

się z AK. Do Częstochowy przyjechaliśmy dopiero w 1947 roku. Ale tutaj także nie było bezpiecznie, bo Częstochowa – z tego, co wiem z opowiadań ojca – była ogniwem narodowych sił zbrojnych powiązanych z Kościołem, prawicą, a więc przeciwnikami sowytyzacji kraju. Jak to zwykle w takich układach bywa, zaczęło się źle układać, ojciec został kilka razy zatrzymany i po raz kolejny musiał uciekać. Miałem dwa lata, gdy rodzice zabrali mnie i wyjechaliśmy na tzw. Ziemię Odzyskane. Wielu ludzi podejmowało taką decyzję. Tam, na zachodzie, otrzymaliśmy gospodarstwo ogrodnicze. Ojciec miał 24 lata, gdy skończyła się wojna. Pojechałem tam niedawno, żeby skonfrontować moje wspomnienia z dzieciństwa z rzeczywistością, ta jednak okazała się po latach zupełnie inna. Ojciec wysyłał warzywa do Wrocławia – dziś moglibyśmy powiedzieć, że miał taki biznes. Ale wtedy ten 24-letni chłopak miał poukładane w głowie, wiedział, czym jest kołchoz, czym jest ciężka praca na roli. Rodzice gospodarowali tam do 1951 roku. W roku 1952 sprzedali gospodarstwo i znów wrócili do Częstochowy. Ojciec, który miał przedwojenne wykształcenie, wystarał się o pracę w hucie. Ale i tu po trzech miesiącach okazało się, że nie może tam od tak pracować, bo partyjny kolektyw dowiedział się o jego wojennej przynależności. Jednak osiedliśmy tu na stałe, ojciec zmieniał miejsca pracy, ciągle miał jakieś problemy, w końcu znalazł zatrudnienie zgodnie ze swoim wykształceniem zawodowym – pracował w rejonowej spółdzielni ogrodniczo-pszczelarskiej. Pracował do ostatniej chwili, zmarł w wieku 65 lat. Mama przeżyła ojca o około 20 lat.

Czy w trudnej powojennej rzeczywistości w Pańskim domu było miejsce i czas dla książek?

W domu zawsze były książki, różne, do nabożeństwa i do czytania. Pamiętam dziadka ze strony ojca, do którego jeździłem na wakacje. W tym czasie, w 1951 roku, dziadek chodził na kurs dokształcający, bo był analfabeta, a był z kolei człowiekiem, który brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej z 1921 roku w obronie Kresów Wschodnich, za co otrzymał odznaczenie. Wtedy się tym nie interesowałem, ale zapamiętałem go podczas nauki, miałem wpojone, że książki to jest bardzo ważna rzecz. I tak stopniowo od szkoły podstawowej, a ukończyłem szkołę nr 6 przy ul. Krakowskiej – zaczęła się moja historia z książką. Mieszkaliśmy wtedy w willi przy ul. Sułkowskiego, w suterenie, potem przy ul. Krakowskiej. Potem rodzice sprzedali ziemię na zachodzie i kupili domek na Stradomiu. Takie były moje losy. I toczyło się to z książką, przez dziadka i ojca w domu książka była ważniejsza niż chleb, bo tak to jakoś się składało. Po skończeniu szkoły podstawowej poszedłem do szkoły zasadniczej, którą skończyłem jako mechanik samochodowy i zacząłem pracować w PKS jako uczeń, a potem jako mechanik na tzw. autobusowni. W czasie nauki w szkole zawodowej pilnie zacząłem czytać. W szkole podstawowej zacząłem od całego Centkiewicza, potem przyszła kolej na klasykę Sienkiewicza i „Chama” Orzeszkowej, bo jak można nadać taki tytuł książce? Nie miałem jednak szczęścia do nauczycieli-polonistów. Nikt mnie nie naprowadził, chodziłem do szkoły, w której obrywało się jeszcze po łapach. Moja przygoda z książką zaczęła się od książek o górach, zbierałem przede wszystkim wydawnictwa o takiej tematyce. Pod koniec lat 50., na początku lat 60. miałem 15 - 16 lat, należałem do klubu grotolarów i czytałem, choć w szkole zasadniczej nie było takiego przymusu. Dopiero później, w liceum dla pracujących, miałem nauczyciela – Edmunda Łągiewkę

[dr Edmund Łągiewka – pracownik naukowy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, urodził się 31 stycznia 1934 roku w Kuźnicy, w powiecie radomszczańskim, zmarł 9 kwietnia 2005 r. w Częstochowie – przyp. A.K.]. Przyszedł tutaj kiedyś, kiedy już prowadziłem antykwariat i był zaszokowany. Zresztą, liceum dla pracujących to trochę inny rodzaj szkoły. Profesor Łągiewka zadawał np. urywki z „Wesela”, pytał o wiersze – z moimi brakami miałem trudności, dopiero potem odkryłem wiersze o tematyce górskiej, przede wszystkim Kazimierza Przerwy-Tetmajera, przewodniki tatrańskie Konstantego Steckiego. Tak to biegło, aż do momentu, gdy w 1981 roku zostałem zatrzymany i pobity, bo naklejałem nalepki na okno. Funkcjonariusze oblali mnie wódką czy denaturatem, dostałem parę razy pałką, potem zawieźli mnie na komisariat. Uznałem, że trzeba wyjechać z kraju. W 1982 roku wyjechałem z Polski na cztery lata do Niemiec. Tam pracowałem, miałem się takich zajęć, których ani Niemcy, ani nawet Murzyni nie chcieli się podjąć. Były z tego jednak większe pieniądze. Do dzisiejszego dnia czuję smród kanalizacji. Ale człowiek stara się pływać po wierzchu, chociaż go ciągnie pod wodę. W końcu po czterech czy sześciu latach każdy wracał, choć niektórzy zostali na emigracji dłużej. Zebrała się wtedy grupa znajomych – jeden założył hurtownię wódki, drugi sieć sklepów, a ja przyjechałem i skoro elektryk powiedział „bierzcie kombinerki w swoje ręce”, więc coś trzeba było zrobić. Moja życiowa sytuacja ułożyła się szczęśliwie czy nieszczęśliwie tak, że musiałem zacząć myśleć o sobie i o życiu sam.

Jak wyglądały początki antykwariatu? Dziś Księgarnia-Antykwarnia „Niezależna” to trzy pomieszczenia w całości wypełnione książkami z niemal każdej dziedziny nauki czy kultury.

Antykwariat dla wielu wydawał się niepotrzebny. Pomimo tego od roku 1990, od momentu, gdy kupiłem ten lokal, starałem się zajmo-

wać książką, może nie z górską, ale z dobrą. Widziałem dużo, bo pracując z Niemcami czy w Polsce, szukałem ciekawych książek. Miałem możliwość podróżowania po Polsce w poszukiwaniu interesujących publikacji, bo jako pracownik PKS miałem darmowy bilet. Potrafiłem jechać do Krakowa w piątek, tam kupowałem książki, z którymi jechałem do Łodzi. Tam je sprzedawałem i kupowałem nowe. Potem ruszałem do Wrocławia. Kupowałem i sprzedawałem. Książki były w obrocie i tak ze 100 zł potrafiłem zrobić 600 zł. Trzeba pamiętać, że rozwijałem działalność w czasach, kiedy nie było książek takich, na jakie było zapotrzebowanie. Kursowałem pomiędzy antykwariatami począwszy od Gdańska do Białegostoku czy Szczecina. Podczas pobytu w Niemczech też raczej starałem się nie chodzić po sklepach. Miałem już wtedy swoje lata (około 45), chodziłem po skupach makulatury, giełdach staroci, tzw. flomarkach [z niem. *Flomarkt* – pchli targ]. Wszyscy pukali się w głowę, że szukam starych książek. W zasadzie niczego wielkiego, jeżeli chodzi o książki, stamtąd nie przywiozłem, ale miałem dostęp do paryskiej „Kultury”. W gruncie rzeczy do całej masy rzeczy nieprzydatnych, ale czytałem. Wtedy też wpadła mi w ręce rzecz wydana przez „Kulturę” czy też „Veritas” w Londynie [Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas” istniejący w Londynie od 1947 roku – przyp. A.K.] o częstochowskim sądzie – piękna rzecz. Autor – represjonowany adwokat – opisuje, jak w latach 50. czy 60. częstochowski sąd wystawiał wyroki jemu i innym oskarżonym. Miałem ją kiedyś, ale antykwariat to jest handel i zgodnie z tym założeniem nie mogę niczego zbierać, muszę kupić i sprzedać. Zbieram co prawda *czesnochoviana*, książki o Częstochowie, ale to już inna bajka, bo nie mogę wszystkiego gromadzić.

Na samym początku przemierzał Pan Polskę w poszukiwaniu interesujących książek. Czy na przestrzeni lat coś się zmieniło w sposobie pozyskiwania wydawnictw?

W jaki inny sposób książki trafiają do Pańskiej księgarni?

Często trafiają do mnie książki przez zmianę pokoleniową czy za sprawą przeprowadzek. Trzeba znaleźć miejsce na nowe sprzęty. Ludzie sprzedają książki z różnych przyczyn, zazwyczaj bardzo prozaicznych, wynikających z życiowej konieczności. Zresztą, rozmowa nie jest całkiem prawidłowe – książka się nie upomni. Mamy jednak zachwiane pojęcie książki. W socjalizmie mieliśmy różne publikacje. Wydawano wszystko, co możliwe, szmirę i klasykę, bohaterstwo ZSRR łało się z każdej strony. Kiedyś za encyklopedią stało się całą noc, dzisiaj nikt tego nie chce kupić. Pojęcie encyklopedii w momencie pojawienia się Internetu wyszło z użycia; słownik pozostał, ale encyklopedia się zużyła. Zresztą większość klientów zainteresowanych książką to ludzie starsi.

Jak wielu klientów przychodzi do Księgarni-Antykwarni „Niezależna”? Jak rozkładają się proporcje pomiędzy sprzedającymi a kupującymi książki? Na czym polega proces obrotu książką w antykwariacie?

Sprzedających jest jednak około 90 procent. Sprzedają, jak już wspomniałem, z prozaicznych przyczyn. Dla osób, które chcą sprzedać książki, zawsze mam propozycję wyceny – proponuję kwotę, za którą mogą od nich odkupić wybrane książki. Tanio, ale płacę od razu. Na początku, gdy zacząłem prowadzić działalność, miałem obiekcje co do takiej formy kupna-sprzedaży. Byłem nawet u zaprzyjaźnionego paulina, żeby poradzić się, jak robić, żeby było dobrze i uczciwie. Tak to się rozkręciło. Kupujący może zaproponować cenę, ale to sprzedający wyraża decyzję, czy ją przyjmuje. I do dzisiaj to stosuję. Są trzy możliwości sprzedaży – albo klienci przynoszą książki i wtedy decyduję, czy coś z tego wezmę czy nie – czasem nie biorę niczego. Druga możliwość to lista z tytułami, autorami i datą wydania książki – to jest dość ważna

informacja. I trzecia możliwość – to moja wizyta u klienta i przejrzenie jego księgozbioru – czasem po prostu starszym ludziom trudno jest do mnie dotrzeć.

Jest w naszym mieście pewna grupa osób, o których mówi się, że są kopalnią wiedzy o Częstochowie – mam tutaj na myśli Juliusza Sętowskiego, Jarosława Kapsę czy właśnie Pana. Pański antykwariat jest uznawany za swoiste centrum informacji o dziejach Częstochowy.

Od tego jest archiwum, od tego jest muzeum, od tego jest biblioteka czy dokumenty zgromadzone w Bibliotece na Jasnej Górze. Moim zadaniem jest tylko kupować i sprzedawać książki. Choć oczywiście dużo czytam, przeglądam skrupulatnie, czego dotyczy książka. Swego czasu przy okazji takiego przeglądu natrafiłem na relację z wydarzeń, które szczególnie mnie zainteresowały, bo dotyczyły także mojej rodziny. W 1947 roku w Kielcach doszło do pogromu żydowskiego, który chciano ukryć. Jednak biskup kielecki Czesław Kaczmarek włączył się w wyjaśnienie sprawy i nadał jej rozgłos, co nie spodobało się władzom. W obiegowej opinii nie wolno było o tym mówić, ale w domu wszyscy wiedzieli, co się wydarzyło. W tej książce, o której wspominał, pojawiło się nazwisko ks. Andrzeja Biernackiego. To mój wujek, który był zamieszany w sprawę i dostał wyrok 2,5 roku. A autorem relacji był Leonard Świdorski. Wracając jednak do zasobów antykwariatu, przygotowuję ściągę z wykazem oferty wydawniczej. Zbigniew Żmigrodzki, specjalista od bibliotek i profesor Uniwersytetu Śląskiego, który pochodzi z Częstochowy, opracował dla nas wzór opisu bibliograficznego. Pierwsze oferty robiliśmy pod jego dyktando. W tej chwili cieszą się jego uznaniem za rzeczowość, fachowość i idealne przekazanie informacji dla archiwistów, bibliotekarzy, polonistów według zasad bibliografii.

Mówiąc o Panu jako o znawcy dziejów

Częstochowy, miałam na myśli wydane przez Pana książki, które w dość niezwykłej formie przedstawiają historię naszego miasta. To albumy z widokami Częstochowy i Ziemi Częstochowskiej na starych pocztówkach. Proszę opowiedzieć, jak narodził się ten projekt?

Od samego początku moje zainteresowania zmierzały w kierunku obrazkowym. Pociągały mnie obrazki w formie widokówki, przyjemność w obcowaniu z pocztówką sprawiała mi świadomość, że byłem w tym miejscu. Zacząłem je zbierać, jak wiele innych rzecz, a zbierałem np. kamienie, guziki, czy znaczki pocztowe. Mieszałem na Stradomiu, tam z kolegami, m.in. Marianem Michalikiem, Tomaszem Matysem, Piotrem Wrzałikiem, tworzyliśmy kolekcjonerską czwórkę i ciągle się wymienialiśmy. Wtedy każdy coś zbierał, potem organizowaliśmy pokazy i wymianę. Inne moje zainteresowania upadły – przestałem zbierać znaczki, ale zostały widokówki. Wróciłem do mojego zbioru, przejrzałem i okazało się, że jest wśród nich sporo ciekawych okazów. Zacząłem kupować, wymieniać, przynoszono mi widokówki, w tym czasie ukazało się w prasie kilka artykułów o antykwariacie i tak to się rozbijało. Pierwszy album wyszedł w 2000 roku. Spotkałem wtedy wydawcę a teraz przyjaciela – Bogusia Szybkowskiego z Opola. U niego wydałem pierwszą książkę „Częstochowa na dawnej pocztówce”, która miała już dwie edycje (2000 i 2006).

Ostatnio wśród książek dotyczących dziejów miasta pojawiła się wyjątkowa publikacja Jarosława Kapsy „Częstochowa. Życie codzienne i kryminalne w XX w.”. Jednak to tylko część jakiejś wiedzy o mieście. Dlaczego tak niewiele jest książek popularyzujących historię Częstochowy?

Częstochowa nie była zbyt wielkim miastem przed wojną, ale jeśli była jakimś miastem w naszym pojęciu, to przede wszystkim mia-

stem robotniczym, gdzie większość mieszkańców pracowała w hucie. Nie było tutaj inteligencji rozwiniętej w takim stopniu, jak miało to miejsce w innych miastach jak np. Kraków czy Warszawa. Dlatego trudno tu o dobrze udokumentowane źródła, które dodatkowo uległy zniszczeniu w czasie wojny. Poza tym pojęcie biblioteki czy księgozbioru mieściło się w słowniku inteligencji, nie robotnika. Fabrykanci częstochowscy byli przedstawicielami innych narodowości – Francuzi, Niemcy czy Anglicy, dlatego ich zbiory składały się z książek w ich rodzimych językach. W wyniku przemian historycznych opuścili Częstochowę, a po nich zostały książki obcojęzyczne jako martwa, nieprzydatna rzecz.

Od czego warto rozpocząć tworzenie własnej biblioteki?

Tworzenie księgozbioru musi być tematycznie ukierunkowane. Nie można wybierać książek przypadkowo. Przez pięćdziesiąt lat miałem do czynienia z różnymi książkami, nawet z takimi, których sprzedaży żałuję. Musi pani mieć ukierunkowane potrzeby, chociażby ze względu na ilość miejsca i pieniędzy, zainteresowań, pod względem przydatności tej książki, wykorzystania jej do swoich celów naukowych czy też innych. Poza tym trzeba umieć zmienić kierunek, swoje zapatrywania – trzeba umieć ocenić swoje możliwości na dany czas. I podporządkować swoje decyzje innemu kierunkowi, bo życie przecież nie jest jednostajne.

Media informują o spadającej liczbie czytelników, Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego uruchamia narodowy program promocji czytelnictwa, a jak Pan ocenia aktualne zjawiska dotyczące rynku książki?

Teraz zlikwidowano w Częstochowie kilka księgarni, ten proces potrwa. Ale ludzie będą szukać książek, nawet przy dzisiejszych możliwościach internetu. Książka pozostanie wia-

rygodnym źródłem informacji. Podejrzewam, że dojdzie do swoistej kastowości. Ci, którzy nie będą mieć do czynienia z książką, będą na samym dole hierarchii społecznej. Tak jak z kinem, czy z filmem – mówiono, że przez telewizję kino upadnie. Choć z drugiej strony współczesne, skomercjalizowane kino trudno nazwać kinem z tym całym popcornem, okularami, dudnieniem w słuchawkach. Proszę zauważyć, że Tadeusz Kantor czy Piwnica pod Baranami działały w zupełnie kameralnej przestrzeni, były czymś elitarnym, pozwalały na grę słów, polemikę. Sądzę, że kiedyś ludzie odczują zmęczenie hałasem i wróci potrzeba kameralności i wyciszenia, którą daje także czytanie książek. Ja w każdym razie jestem przekonany, że książka lubi być czytana. Przed wojną książki były robione ręcznie. To była sztuka, majstersztyk. To była kultura, rzemiosło i fachowość. Tworzono rzeczy piękne. Dzisiaj przeważa estetyczna bylejakość. W pewnym momencie zaczniemy jednak wracać do naturalnego porządku rzeczy. E-booki być może są nowoczesne, czytelnicy zachłysznieli się nimi, ale proszę zauważyć, że zupełnie inaczej wygląda technika czytania tekstu drukowanego na papierze, a inaczej z ruchomego ekranu. Oko inaczej odbiera obraz. Nie wykluczam, że znajdą się stali użytkownicy takiej formy tekstu, ale nie sądzę też, że zdobędą przeważającą większość. Dobra, pożyteczna i ładna książka się obroni.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Aleksandra Keller



Aleksandra Jakubczak, *Początek*, technika własna, 10,5 x 9 cm, 2012



Aleksandra Jakubczak, *Pozorność*, technika własna, 10,5 x 9 cm, 2012

ALEKSANDRA JAKUBCZAK

Urodziła się w 1984 roku. Ukończyła studia I i II stopnia Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie na Wydziale Wychowania Artystycznego na kierunkach: *Malarstwo sztalugowe* (2009 – I stopień, 2011 – II stopień) oraz *Grafika warsztatowa* (2010 – I stopień). Od 2012 roku jest asystentką w Katedrze Grafiki na Wydziale Sztuki na macierzystej uczelni. Bierze aktywny udział w współtworzeniu strony internetowej Artlock.pl. Jest trzykrotną stypendystką Prezydenta Miasta Częstochowy (2011, 2012, 2013). Brała udział w ponad 50 wystawach zbiorowych.



Foto ze zbiorów Malarki.

Nagrody i wyróżnienia:

- 2012 – Wyróżnienie w XX Ogólnopolskim Konkursie Sztuki im. Vincenta van Gogha, *Galeria Fundacji Elektrowni Rybnik*.
- 2011 – Wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie, *Konfrontacje 2011, Galeria w Ratuszu, Leszno*.
- 2010/11 – Najlepszy dyplom, grafika, uczeń i jego promotor, Stowarzyszenie Międzynarodowe Triennale Grafiki w Krakowie.

Ważniejsze wystawy indywidualne i zbiorowe:

- 2014 – 8. Międzynarodowego Biennale Miniatury, Ośrodek Promocji Kultury „*Gaude Mater*” w Częstochowie; *Galeria Test, Mazowiecki Instytut Kultury w Warszawie*.
- 2014 – 15 Międzynarodowe Triennale Małe Formy Grafiki, Polska - Łódź, *Galeria Willa, Łódź*.
- 2014 – *Konfrontacje*, wystawa graficzno-malarska, *Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie – Konduktorownia*.
- 2014 – *Początek świat(t)a*, wystawa indywidualna lightboxów, *Miejska Galeria Sztuki, Galeria Promocji Młodych – Antresola, Częstochowa*.

- 2013 – Ogólnopolski Przegląd Litografii Polskiej, BWA Kielce, Galeria „Kobro” ASP Łódź, BWA Rzeszów, Galeria Rektorat Uniwersytet Zielonogórski, BWA Siemradz.
- 2013 – Wystawa pracowników Instytutu Sztuk Pięknych Akademii im. Jana Długosza, Filharmonia Częstochowska.
- 2013 – Wystawa indywidualna malarstwa, *Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie – Konduktorownia*.
- 2013 – *Spotkania Sztuki w Wenecji Cieszyńskiej*.
- 2013 – I Międzynarodowy Konkurs Artystyczny Pejzaż współczesny, *Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie*.
- 2012 – I Biennale Młodych – *Piękne Sztuki, Miejski Dom Kultury, Radomsko*.
- 2012 – *Landschaftlich Arbeiten mit, in und über Natur – Frank-Loebsche Haus, Landau – Niemcy*.
- 2012 – *Rysować, Ogólnopolska Wystawa Rysunku Studenckiego 2012, Galeria Sztuki Wozownia, Toruń*.
- 2012 – RE: *Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie – Konduktorownia*.
- 2012 – *Przestrzeń, Ziemia, Dom, Człowiek, Galeria Sztuki „Arche”, Olsztyn*.
- 2011 – I Piotrkowskie Biennale Sztuki - Ośrodek Działań Artystycznych, Piotrków

NA SZTALUGACH

Trybunalski.

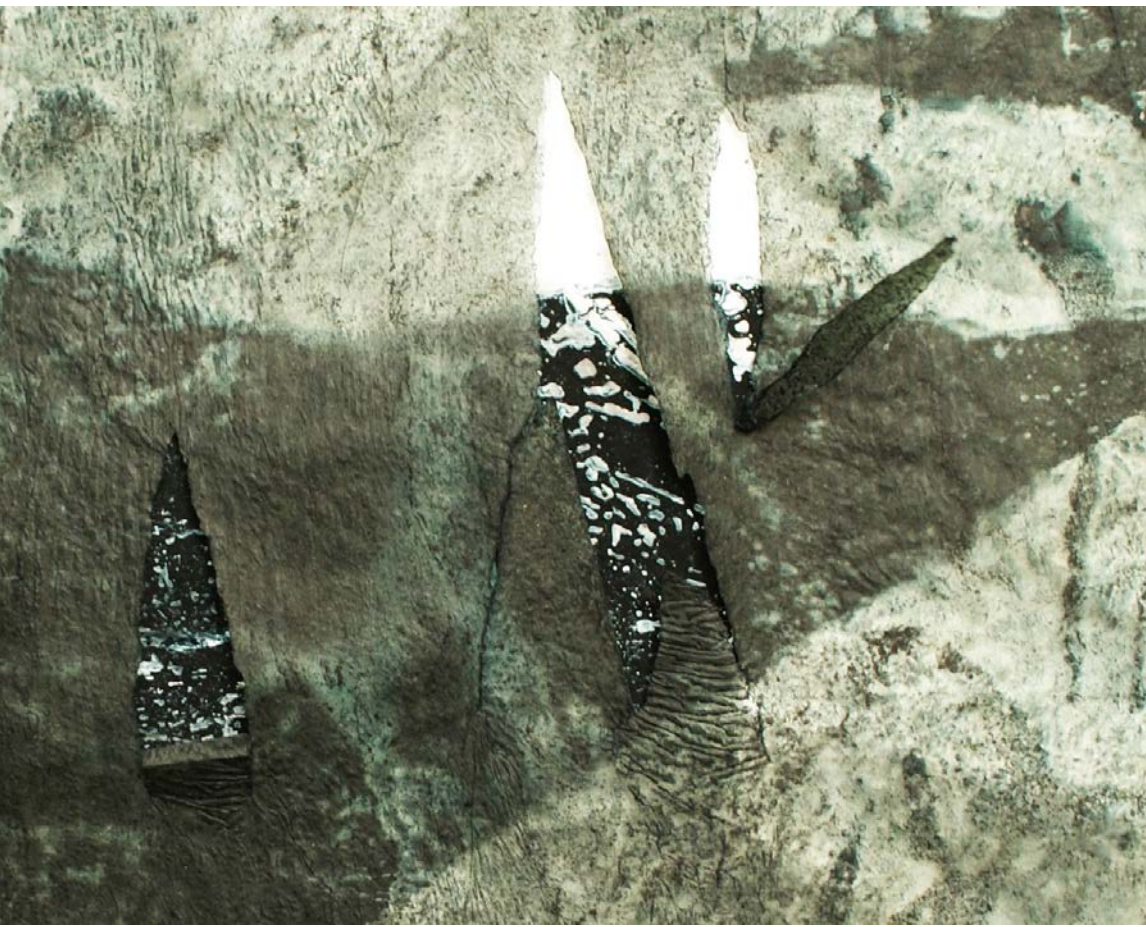
- 2011 – II Triennale Malarstwa, Animalis 2011, *Miejska Galeria Sztuki „MM”, Chorzowskie Centrum Kultury, Chorzów; Biuro Wystaw Artystycznych Kielce; Samorządowe Centrum Kultury Mielec.*
- 2010 – IV Ogólnopolskie Triennale Malarstwa im. Mariana Michalika, *Miejska Galeria Sztuki w Częstochowie.*
- 2010 – III Ogólnopolski Konkurs Grafiki im. Ludwiga Meidnera, *Konfraternia Kulturalna, Oleśnica; Centrum Sztuki „Impart” we Wrocławiu.*
- 2009 – X Festiwal Sztuki Wysokiej pt. „Ciepłym Skojarzeni”. Cykliczne przedsięwzięcie organizowane przez Galerię Sztuki Użytkowej „*Stalowe Anioły*” - Bytom.

O sobie

Zajmuję się malarstwem, rysunkiem, instalacją, a przede wszystkim grafiką warsztatową. Inspirują mnie formy minimalistyczne, proste, oszczędne w swoim przekazie, niekoniernie abstrakcyjne. Kreuję rzeczywistość

realną, mocno zsyntetyzowaną, skonkretyzowaną, za pomocą linii, światła, form bardziej lub mniej zgeometryzowanych. Podłoże traktuję jak quasi-matrycę, natomiast za narzędzie rysunkowe służą mi przedmioty nieprzeznaczone do rysowania (łopatka, nóż, widelec itp.). Owa matryca staje się dla mnie nie do końca pewnym i odkrytym medium rysunkowym. Przestrzenie przekazania danej treści są bardzo zróżnicowane, rozpoczynając od szkicu na kartce, przechodząc do źródła powstałego rysunku, czyli kalki. W wyniku tych działań otrzymuję dwoistość, zarówno matryca jak i rysunek staje się dla mnie dziełem, jest to wieloetapowy proces. Podświetlona kalka działa pod postacią skrzyń świetlnych, tworząc jego negatyw. Dalej rozpatrując początkowy szkic, przetwarzam go graficznie w litografię, tworząc nowy graficzny byt lub jego wieloelementowy, przestrzenny, olejny odpowiednik. Jeden szkic staje się pretekstem do stworzenia kolejnych bogatszych światów, nacechowanych nowymi problemami.

Aleksandra Jakubczak



Aleksandra Jakubczak, *Penetracja*, technika własna, 7 x 9 cm, 2012

Ida Jadwiga Łubińska

ESEJ O DOBROSTANIE, CZYLI O FILIŻANCIE DO POŁOWY PEŁNEJ

O maskach

Idziemy przez życie, starając się sprostać najpierw oczekiwaniom bliskich, później naszym osobistym wyobrażeniom o życiu szczęśliwym, często nie uświadamiając sobie, że wizja ta, nasze dążenia są zlepkiem obcych opinii, mód, że ulegamy cudzym wzorcom. Po drodze gubimy własną niepowtarzalność, odrębność, wrażliwość. Wtapiając się w środowisko, usiłujemy nie wychylać się, nikomu nie narażać, nie zawieść. To powoduje konflikt pomiędzy różnymi częściami naszej osobowości. Ciało sprzeciwia się umysłowi, umysł sercu. Co innego czujemy, co innego myślimy, a zachowujemy się jeszcze inaczej.

Po jakimś czasie zapominamy, kim jesteśmy, karmiąc się wyobrażeniami na własny temat, których dostarczają nam inni. Stajemy się papierowymi postaciami rodem z seriali telewizyjnych, które bez przerwy odgrywamy. Zakładamy różne maski, stosownie do miejsca, okoliczności, nie do końca uświadamiając sobie, że to przecież nie my.

Wyjaśnienie dla takich zachowań i postaw znaleźć można w książce „Sprawy ludzkie” Jana Szczepańskiego, wybitnego polskiego socjologa i myśliciela¹. (...) **„życie społeczne to proces przystosowywania się do innych, działania dla innych, reagowania na zachowania innych. Wyniki są mierzone i oceniane poziomem awansu, otrzymywanym dochodem, zakresem władzy i wpływów, zakresem uznania itp. W świecie zewnętrznym jestem tworem innych. Modelują mnie uśmiechami, łaskami, pochwałami, groźbami, karami, degradacjami, nagrodami, orderami, stanowiskami itp.”**

¹ Jan Szczepański, *Sprawy ludzkie*, Czytelnik 1978.

Z perspektywy psychologii każdy z nas jest indywidualnością. Ma w życiu do spełnienia misję, do nauczenia lekcję. Natura wyposażyla nas we wszystko, by zadania te wykonać... Stereotypy, zewnętrzne nakały zbyt często uniemożliwiają dotarcie do wewnętrznej ciszy. A tylko w ciszy usłyszeć można wewnętrzny głos, szept duszy.

Co dzieje się, kiedy nie podążamy drogą przeznaczenia? Gdy nie jesteśmy w zgodzie z samymi sobą? Kiedy pędzimy zapatrzeni w iluzoryczny cel, niczego nie słysząc, nie czując, zaplątani w obcy rytm?

Różnie bywa. Zazwyczaj dostajemy szturchańca, lekcję od losu.

O lekcjach

Pierwsze ostrzeżenie. Wypadek samochodowy. Leżałam na poboczu drogi. I spotkanie z Aniołem. Bo kimże, jeśli nie Aniołem, był realistyczny, przydrożny opiekun? Trzymał moją dłoń, dodawał otuchy, dopóki nie przyjechała karetka a którego nikt, oprócz mnie nie widział.

Czas zatrzymał się. Ocknęłam się w szpitalnym łóżku obolała, pół przytomna. Z głośnika płynęły dźwięki popularnej, sentymentalnej piosenki. Obudziły mnie. Poczułam je każdą komórką ciała. Brzmiały jak najpiękniejszy hymn, hymn na cześć życia. Zapamiętałam to niezwykle uczucie szczęścia i wewnętrzny krzyk radości: żyj!

Tak jak wtedy szumiał las, świergotały ptaki, nie słyszałam dawno. Z intensywnością powróciły barwy, zapachy, smak. Cieszył poranek i rozgwieżdżone niebo, pogoda i zawierucha. Cała byłam wdzięcznością i uważnością. Nie na długo.

Czekały obowiązki. Znów ścigałam się z czasem, szamotałam wśród spraw ważnych i nieistotnych. Poddawałam presji konwensu, a nie tego, czego naprawdę chciałam.

Wyjechałam za granicę, dogoniły mnie pozostawione troski...

Kolejne ostrzeżenie. Diagnoza brzmiała jak wyrok: rak. I złe rokowania na przyszłość. Ale ja chciałam żyć. Miałam wiele nie dokończonych spraw. Mozolnie poszukiwałam sposobów na rozwiązanie swoich problemów. Na obczyźnie, ze słabą znajomością języka nie było łatwo.

Widać była wola życia. Była też determinacja, by sprostać wyzwaniu, jakim jest choroba. Była akceptacja siebie, swojego losu. I trochę „egoizmu”, by realizować marzenia, rozwijać „zaniechane” talenty...

Później odkryłam, że przeciwności to moje najważniejsze lekcje.

I moje błogosławieństwa.

O umyśle i ciele

Ciało jest obrazem myśli, odczuć, wyborów i zachowań z całego życia. Od narodzin do chwili obecnej. To cudowny twór, który w normalnych warunkach sam radzi sobie ze stresem i sam zwalcza choroby. Aby wrócić do równowagi fizycznej i psychicznej trzeba mu tylko nie przeszkadzać.

Wiele osób nie czuje się komfortowo ze swoim ciałem, gdyż nieświadomie nagromadziło w nim wiele napięć, lęków, niezdrowych przekonań, toksyn. Przeradza się to w dysfunkcję na poziomie fizycznym, czyli w chorobę.

Choroby, ale nie tylko; nieprzewidziane trudności, konflikty - to dobry czas, aby zrewidować i zmienić nastawienie do otaczającego świata. Zatrzymać się, przyjrzeć aktualnej kondycji życiowej, wyciągnąć wnioski, może inaczej ustawić hierarchię wartości. Uwierzyć, że o szczęściu czy zdrowiu nie decyduje to, co nam się w życiu przydarza, ale jak na to reagujemy.

O szczęściu

Jeden człowiek w utracie pracy widzi tragedię, inny dostrzega nowe możliwości. To tak jak z tytułową filizanką, napełnioną do połowy życiodajnym napojem albo do połowy pustą. A co ty, czytelniku, w tej alegorii dostrzegasz? Nadzieję czy jej brak? Szansę czy porażkę?

Subiektywne postrzeganie poczucia szczęścia, pomyślności, zadowolenia ze stanu życia – to definicja dobrostanu.

Profesor Tatarkiewicz wyróżniał dwa aspekty szczęścia²: obiektywne i subiektywne, odnosząc je do oceny jakości życia. Szczęście obiektywne definiował jako trwałe, pełne i uzasadnione zadowolenie z życia. I to ono stanowi podstawę szczęścia subiektywnego.

Przed oczami staje mi obraz młodego mężczyzny, bardziej chłopca. Za nim dwa lata zmagania z ciężką chorobą: inwazyjne leczenie, chemie, przeszczepy. Tak wiele przecierpiał. Kiedy patrzę na jego wychudzoną twarz, bije z niej światło. I spokój, gdy chwali mijający dzień, cieszy chwilą. Wydaje się taki dojrzały, gdy mówi: jestem szczęśliwym człowiekiem, mam wspaniałych rodziców, którzy troszczą się o mnie, trafiłem do mądrych lekarzy, w trudnych momentach jest ze mną moja dziewczyna i są ze mną przyjaciele. Czuję, że mówi to szczerze.

Jeśli więc umysł decyduje o stanie ducha, o szczęściu i o zdrowiu, dlaczego tak trudno zbudować w sobie pozytywne przekonania. Dlaczego w naszym życiu tyle łez, niezadowolenia, nieszczęść?

Dlaczego swoich wysiłków nie przekuwamy w sukcesy? Czemu nie doceniamy cudu, jakim jest samo życie?

Od zarania dziejów pragnienie szczęścia było i jest celem, i najważniejszym marzeniem człowieka. Przytoczę dwa przykłady. Już przed dwudziestoma pięcioma wiekami Sokrates nauczał: „**Szczęścia nie dają ani dobra zewnętrzne ani dobra ciała, ale dają**

² Władysław Tatarkiewicz, *O szczęściu*, PWN 2012.

je dobra duszy, czyli udoskonalenie duszy za pośrednictwem cnoty, która jest poznaniem i wiedzą. Udoskonalanie duszy cnotą oznacza dla człowieka, urzeczywistnienie najprawdziwszej jego natury, bycie w pełni sobą, pełną akceptacją siebie i to właśnie prowadzi człowieka do szczęścia”. Dwa wieki później Epikur z Samos w liście do przyjaciela napisał coś, co można przyjąć za ponadczasową dewizę życiową: „**Osiągnięcie szczęścia (...) zależy od nas, jesteśmy za nie odpowiedzialni**”³.

O wewnętrznej harmonii

Jak dotrzeć do swojego wnętrza, do intuicji, do źródła mądrości?

Sposobów jest wiele. Przypomnę te proste i znane i te trochę mniej.

Wewnętrzną harmonię, błogostan odnaleźć można m.in. w modlitwie, w zadumie, medytacji.

Modlitwy uczymy się w dzieciństwie, ale nierzadko jest to powtarzanie wyuczonych paciorków, bez skupienia, machinalnie, zapominając o istocie modlitwy. Nie podważam tej formy, bowiem jak twierdzą niektórzy badacze, powtarzalność modlitewnych strof, odciska się jak pieczęć na naszej podświadomości. Nie mniej ważne a może ważniejsze jest przywrócenie podstawowej wartości modlitwy, jaką jest rozmowa ze Stwórcą. Jej refleksyjny aspekt pozwoli nam odkryć inny sens tego, co się wydarza, nową perspektywę.

Równie istotna jest zaduma, rozważna i obiektywna analiza konfliktu czy przeciwności losu. Należy wtedy znaleźć czas i przestrzeń na przemyślenia, i szczerą chęć zmierzenia się z problemem. I tu jest pułapka, a może jest to raczej ucieczka, lęk przed tym, co możemy odkryć... Bo żeby zagłuszyć nękające nas niepokoje, chętniej siadamy przed telewizorem, oglądając np. kolejny odcinek ulubionego serialu, a swoje sprawy

odkładamy na później. Perypetie i kłopoty filmowych bohaterów mniej bołą niż własne. A ich zachowania z czasem stają naszymi wzorcami. Lecz w ten sposób nie rozwiążemy swoich bolączek.

Może warto było by przyswoić sobie chociaż kilku prostych i skutecznych nawyków. Czegoś w rodzaju dyrektyw dla umysłu, rutynowych schematów myślowych jak np.: zaufaj intuicji, rozpoczynaj dzień z pozytywnym nastawieniem, częściej się śmieć, uśmiechaj i dziękuj...

O medytacji

W kulturze europejskiej medytacja jest najmniej znanym sposobem.

Przy nazwie mogą pojawić się kulturowe skojarzenia np.: postaci jogina w pozycji lotosu, buddysty siedzącego w zazen, chrześcijańskiego zakonnika klęczącego podczas adoracji krucyfiksu lub derfisa sufi wirującego w wywołującym ekstazę transie. W wymienionych przykładach różnią się cele religijne i kulturowe, ale wszyscy oni praktykują medytację.

Medytacja to stan, kiedy jedynym czasem, jaki istnieje jest **teraz**. Przeszłości już nie ma, a przyszłość jest tylko następnym etapem do przeżycia. To **doskonali spokój**, który istnieje między dwiema myślami, dwiema emocjami, między dwoma czynami. Nazwa nie jest ważna, istotna jest droga do niego.

Gdy jesteśmy pochłonięci jakąś czynnością, która wymaga od nas wysiłku fizycznego lub pasywnej kontemplacji, wprowadzamy się w odmienny stan świadomości, zbliżony do tego osiąganego podczas medytacji.

Być może doświadczyłeś czegoś podobnego, kiedy zostałeś całkowicie pochłonięty np. widokiem intrygującej scenki, niezwykłego zjawiska, obrazu czy absorbującym zajęciem. Jednak w takich przypadkach poczucie oderwania od świata fizycznego i zwiększonej koncentracji nie jest utrzymywane na tyle długo, by powodowało trwałe skutki.

³ Anna Marek-Bieniasz, *Europejska filozofia starożytna. Wybrani przedstawiciele i szkoły*, AJD 2006.

Medytacja jest procesem rozmyślnego osiągnięcia odmiennego stanu świadomości. Regularna praktyka przez 15 – 30 minut dziennie wywiera dobroczynny wpływ na stan psychiczny i emocjonalny człowieka oraz jego zdrowie fizyczne.

Poprzez zrównoważony oddech i wewnętrzny spokój, jakiego doświadczamy w medytacji, wyzbywamy się lęków i napięć a myśli i pragnienia, ukryte pod pieczęcią strachu mają szansę ujawnić się.

Sednem przeżycia medytacyjnego jest odmienny stan świadomości, a jego istotnym elementem - wyciszony umysł.

Jak wykazały badania EEG, podczas medytacji mózg pracuje pełną parą. Mimo to zachodzą w nim długofalowe procesy odprężające. Wydatnie spada zużycie tlenu i szybkość przemiany materii, co oznacza odprężenie głębsze niż w czasie snu. Poprawia się odporność skóry, w związku z tym nie odczuwamy lęku ani stresu. Częstotliwość uderzeń serca spada średnio o pięć uderzeń na minutę, serce jest więc mniej obciążone.

Praktyka medytacyjna wymaga zdyscyplinowania. I to jej największy problem. Oddziałuje na wszystkie płaszczyzny naszego bytu: fizyczną, psychologiczną, społeczną oraz duchową.

Jezuita Anthony de Mello w książce pt. „Śpiew Ptaka”⁴ podaje jeszcze jedną definicję medytacji. Podobno przekazał ją swoim uczniom Budda.

„Kiedy oddychacie głęboko, bądźcie świadomi, że oddychacie głęboko. Kiedy oddychacie słabo, bądźcie świadomi, że oddychacie słabo. Kiedy nie oddychacie ani za głęboko, ani za słabo, bądźcie świadomi, że nie oddychacie ani za głęboko, ani za słabo.

Świadomość. Uwaga. Zaangażowanie. Nic więcej”.

O wybaczeniu

Kurs Cudów mówi⁵: wiele problemów życiowym ma swoje źródło w nie wybaczeniu oraz że wybaczenie jest lekarstwem na prawie wszystkie nasze niedostatki psychiczne i fizyczne.

Do tej tezy dorzuciłabym uwagę, iż osobie, której najtrudniej jest nam wybaczyć, powinniśmy wybaczać przede wszystkim. Wybaczenie oznacza odpuszczenie, wymazanie z pamięci bolesnych wspomnień.

Jeśli nie podążamy swobodnie z biegiem życia, zazwyczaj zatrzymuje nas coś, co wiąże z przeszłością. Może to być żal, smutek, uraza, obawa lub wina, złość, a nawet chęć odwetu. Każde z wymienionych odczuć wywodzi się z braku wybaczenia, jest odmową puszczenia w niepamięć i zajęciem się chwilą bieżącą. Wybaczenie jest kluczem do szczęścia i wszelkiego rodzaju sukcesów.

Jeśli jednak, mimo ewangelicznego nakazu, wybaczenie sprawia trudność, mamy awaryjne wyjście. Podpowiedź daje cytat z tekstu wschodniego mędrca - Sri Babadziego: „(...) **jeśli nie możesz komuś błogosławić, pozwól mu odejść z twojego życia**”.

O połączonych oddechach

Czyli prosty sposób na skuteczne zdystansowanie się do obciążających naszą psychikę problemów.

Kiedy nie radzisz sobie z emocjami, z lękami, z natłokiem myśli, spróbuj metody „**dwudziestu połączonych oddechów**”, którą stworzył i upowszechnił nowozelandzki psycholog i mistyk Colin Sisson⁶, a która działa jak przysłowiowe „koło ratunkowe”.

Oto ona. Zaczynij swobodnie oddychać i pamiętaj, że łączymy wdech z wydechem tak, by nie było między nimi żadnej przerwy, ani też żadnej przerwy między oddechami. Wydech jest całkowicie zrelaksowany. Oddech piąty, dziesiąty, piętnasty i dwudziesty

⁵ *Kurs Cudów*, Foundation for Inner Peace 2005.

⁶ Colin P. Sisson, *Wewnętrzne przebudzenie*, Wydawnictwo MEDIUM 1996.

⁴ Anthony de Mello SJ, *Śpiew Ptaka*, Verbinum 1997.

jest głębszy i wolniejszy. W czasie tego ćwiczenia skup świadomość wyłącznie na oddechu.

Po dwudziestym oddechu, przyjrzyj się myślom, jakie pojawiają się w głowie i zauważ je. Pamiętaj o ponownym skupieniu na oddechu. Pozwól teraz wypłynąć emocjom. Bądź świadomy głównego uczucia, ale z dystansu, tak jakby wydarzało się to komuś innemu. Czuj je i pozwól swojej świadomości dotrzeć do istoty tego odczucia. Zaakceptuj swoje emocje. I cały czas oddychaj połączonym oddechem. Teraz skoncentruj się na swoich wrażeniach fizycznych. Podążaj za nimi, zauważaj je i akceptuj wszystko, co się w danej chwili wydarza.

Ten stan uważności i zgody przywraca poczucie spokoju. Praktyka ta nazywana też integracją myśli, emocji i odczuć fizycznych stwarza dystans, właściwe proporcje w oglądzie własnych problemów.

Ćwiczenie można wykonać praktycznie wszędzie, wystarczy dziesięć minut, czasem mniej, by odzyskać dobry nastrój.

O muzyce i dźwiękach

Opowiem historię, której nie podejmuję się wyjaśnić, a która obrazuje relaksującą i uzdrawiającą moc muzyki.

Chlubą ogrodu zoologicznego w San Francisco było (historijka sprzed kilku lat) kilka okazów śnieżnych leopardów. Zwierzęta te w warunkach naturalnych spotyka się wyłącznie w Tybecie, do niewoli trudno się przystosowują. Leopardy z San Francisco stanowiły wyjątek – były zdrowe, zadowolone z życia. Jakaż więc była rozpacz dyrekcji i pracowników zoo, gdy jedna z samic zaniemogła. Siedziała smętnie w głębi klatki, przestała jeść. Badania weterynaryjne wypadły pomyślnie, ale zwierzę marniało w oczach. Wiadomość o chorobie śnieżnej leopardzicy dotarła do tybetańskiego mnicha, który przebywał w Kalifornii. Mnich zadzwonił do dyrektora zoo i zapytał, czy mógłby zaśpiewać zwierzęciu uzdrawiającą, tybetańską pieśń.

Dyrektor zgodził się. Następnego ranka kilku tybetańskich mnichów wkroczyło do ogrodu. Stanęli przed klatką leopardzicy i zaśpiewali. Pieśń trwała ledwie siedem minut. Ku zdziwieniu pracowników ogrodu oraz gapiów, chore zwierzę już po kilku pierwszych frazach podniosło się, usiadło i w skupieniu wysłuchało pieśni do końca. Oczywiście, to historia z happy endem. Leopardzica wyzdrowiała, a dyrektor zoo święcie wierzy, że sprawiła to pieśń tybetańska.

Każdy racjonalista ma prawo wzruszyć na tę historyjkę ramionami lub popukać się palcem w czoło. Ale nauczeni na własnych błędach spróbujmy na chwilę powściągnąć racjonalizm i dopuścić zwątpienie. Może za cudownym wyzdrowieniem śnieżnego leoparda kryje się jakiś związek przyczynowy, którego nauka zachodnia jeszcze nie odkryła? Wszak tylko ignorant może twierdzić, że nauka zbadała i odkryła wszystkie tajemnice natury.

Już teraz wiele mówi się o uzdrawiających właściwościach muzyki W. A. Mozarta, L. von Beethovena, muzyki relaksacyjnej, rytmów bębnowych szamańskich czy dźwięków mis tybetańskich.

Jak rozpoznać muzykę, która cię uzdrawia?

Odpowiedź jest prosta. Gdy w czasie słuchania czujesz się dobrze, myślisz pozytywnie, podnosi się twój poziom energetyczny.

Zacytuję osobistą historię i nauczyciela śpiewu, tenora operowego, Hannibala Mensa. Ekscytujące spotkania z nim przeciągały się poza godziny zajęć warsztatowych. W muzyce gospel, jak wiadomo, dominuje wokale. Śpiewałam solo chwytający za serce fragment pieśni, gdy nagle głos ugrzązł mi w gardle, nie mogłam go wydobyć. Hannibal zapytał: co teraz czujesz? Nie umiałam nazwać tego obezwładniającego całe ciało uczucia. Milczałam. Podpowiedział pytaniem. Orgazm – przełożyła tłumaczka? Tak, to była wszechogarniająca ekstaza. Później zdarzało mi się jeszcze przeżyć to uczucie

lekkości, wrażenie, że otwiera się sufit nad sceną, otwiera nieboskłon. To działo się na koncertach dzieł wielkich mistrzów, na które składały się różnorodne brzmienia instrumentów, kilkudziesięciuosobowego chóru, głosy solistów.

Jak zakwalifikować to niezwykle odczucie? Do medytacji? Oczywiście, byłam cała zanurzona w dźwięku i tylko on się liczył. A jeśli sprawiła to pasja, spełnianie się w tym, co się pokochało? Lub może fenomen muzyki potrafi wynieść nas w najwyższe rejestry piękna i szczęścia? Może wszystko po trochu?

O przeszkodach

Współczesne czasy charakteryzuje duża niejednoznaczność, nie ma w nich jednej, powszechnej, uznanej prawdy. Nasze istnienie często jest tymczasowe, zawieszona. Musimy wiele umieć, podejmować różne wyzwania: nowe zawody, przypadkowe prace i kariery. Jesteśmy kimś teraz, za chwilę kimś innym, w innej odświeżeniu. Prawdziwe Ja ukrywa się pod fałszem prezentacji publicznych. Niektórzy ludzie nie radzą sobie w dzisiejszym zmiennym i wymagającym świecie, nie odnajdują w społeczeństwie. Ich psyche choruje. To m.in. depresje o różnym stopniu natężenia, stany schizofreniczne. Prawie 10 procent populacji ma tzw. osobowość borderline (inaczej osobowość z pogranicza). Wspominam o tym, bo zaburzenie pojawiło się w klasyfikacji chorób dopiero w latach osiemdziesiątych XX wieku.

Czym charakteryzuje się taka chwiejna emocjonalnie osobowość? Najkrócej: kłopotami z tożsamością, silnymi negatywnymi emocjami, bólem egzystencji. Mimo rozlicznych kompetencji osoby takie nie radzą sobie z sobą, z innymi, z wyzwaniami dnia codziennego.

Ta dygresja ma zwrócić uwagę, że zaburzenia natury psychicznej dotyczą coraz szerszych zbiorowości. Osoby, mające problemy podobne do opisanych wyżej, w swoim dąże-

niu do osiągnięcia harmonii wewnętrznej, do szczęścia potrzebują innych niż prezentowane, procedur i metod.

O świadomej transformacji

Postęp na ścieżce duszy dokonuje się krok po kroku, często po wyboistej drodze. Wymaga pracy, zaangażowania i uczciwości.

Nie jest to proces ani łatwy, ani prosty. Jest ważny! I wartościowy!

By rozwiązywać skomplikowane problemy osobiste, potrzeba nam czegoś głębszego, czego nie rozwiązuje ani postęp techniczny, ani postęp w medycynie, czego nie uczą w szkole...

Czego mianowicie?

Transformacji świadomości, przydatnej, by przetrwać zagrożenia i przeszkody, przed którymi *homo sapiens* co rusz staje.

Wszak w ostatecznym rozrachunku każdy z osobna jest odpowiedzialny za własny los, za dobrostan. Tylko, że nie ma na to jednego przepisu, jednej rady. Tak jak nic w świecie nie jest jednakowe, jednoznaczne, nic wyłącznie czarno - białe.

„Życie” lubi kolory, światło, półcienie i ... szarości. Ponieważ jesteśmy różni w odzieniach wrażliwości, w formach działania, odmienni w ocenach, postrzeganiu... potrzebujemy różnorodnych metod i motywacji. Mamy ich duży wybór, dostępność i własną intuicję. Osobiście przekonują mnie wzorce zachowań propagowane przez kierunek nazywany „Psychologią pozytywną”. Szkoła ta prezentuje wiele skutecznych i prostych sposobów radzenia z trudnościami życiowymi, ze stresem. I te umiejętności, osobista praca pozwalają mi docenić smak czarodziejskiej mikstury, popijanej z filiżanki tylko do połowy pełnej.

Ida Jadwiga Łubińska

Arkadiusz Frania

CZY PRAWDA I CZYTELNIK POSZUKUJĄ GWAŁCICIELA?

Janusz Orlikowski systematycznie dostarcza czytelnikom powodów do kolejnych wrażeń, już to tomikiem wierszy (ostatnio *Piękno, droga i czas*, 2010), już to solidną porcją zastanowień nad światem i człowiekiem, jaką zawarł między okładkami tomu *Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice* (2014).

Pracy raczej nie należy stawiać na półce z etykietką „krytyka literacka”, bo to zubożałoby potencję omawianego zbioru. Lektura zawartości daje natomiast pełne prawo do sklasyfikowania jej, co sugeruje pierwszy człon podtytułu, jako eseistyki, choć, według mnie, z poszczególnych tekstów można wydobyć zarówno fragmenty ściśle krytyczno-literackie lub nawet egzegetyczne (zwłaszcza w częściach dotyczących odczytań Biblii), jak również będące zapisami diariuszowymi, kartkami z podróży poza siebie, w rzeczywistość. Sam pisarz sygnuje przynależność rodzajową niektórych utworów: *W sprawie tożsamości* to „mój komentarz” (s. 37); gdzie indziej mamy już termin „esej”: „sens powziętych w tym eseju rozważań” (*Pożądanie i miłość*, s. 63), „Piszę o tym zdarzeniu szerzej w eseju o znaczącym tytule *Mój daimonion*” (*W tajemnicy wiary*, s. 81). Tytuły czterech tekstów to efekt połączenia ogólnego czy wręcz skromnego wyrażenia „kilka słów” z dookreślającą je zapowiedzią tematyczną: *Kilka słów o świadomości*, *Kilka słów o cierpieniu i dzielności*, *Kilka słów o radości*, *Kilka słów o śmierci*, natomiast jeden utwór stanowi dobitny *Szkic o niczym albo krótki cień*.

Janusz Orlikowski to w pełnym sensie homo sapiens, istota nie tylko czująca, lecz rozmyślająca. Znaczna część książki została przecież owładnięta przez metafizykę, skoro autor swoje rozważania wznosi na wyższy poziom badania, niemal eksplikacji, dlatego tak dużo słów wielkich, słów-znaków wartości: autorytet, prawda, tożsamość, czas, da-

imonion, miłość, wiara, świadomość. Filozoficzny ładunek zbioru uderza już przez samą obecność pism i wizji Diogenesa z Synopy, Platona, Sokratesa czy Arystotelesa, szczególnie w początkowych esejach. Dla przykładu zauważmy, iż w tekście *Gwałt na prawdzie* autor dokonuje analizy dwóch zdarzeń starożytnego świata. W pierwszej części tworzy portret Sokratesa: przywołując powody skazania filozofa na karę śmierci, czyni analogie między obyczajami ateńskimi i mentalnością Unii Europejskiej. Sokrates, choć niesłusznie skazany na śmierć, nie korzysta jednak z możliwości ucieczki, a czyni to w imię prawdy. Z kolei w części drugiej Janusz Orlikowski negatywnie ocenia gest Aleksandra Macedońskiego dotyczący rozwiązania kwestii węzła gordyjskiego poprzez rozcięcie mieczem (przemoc i agresja zwyciężyły myśl).

Wyodrębnijmy też grupę esejów biblijnych. W *Kilku słowach o świadomości* podjęto zagadnienie grzechu pierworodnego, w *Dlaczego Ewa?* przywołano legendę (apokryf) o pierwszej żonie Adama – Lilith. W tekście *Ten, który pomieszał języki* poeta nawiązuje do wieży Babel, lecz nie przekonuje go obowiązująca interpretacja tytułowego gestu Boga jako kary, w odróżnieniu od potopu zesłanego za upadek moralny ludzkości. *Coś złego?* to rzecz o niepokalanym poczęciu i dziewictwie Marii Panny. W *Pierwszych zdarzeniach* przedmiotem zastanowień są sakramenty: Pierwsza Komunia Święta, bierzmowanie. Ta religijna aura dotyka w którymś momencie również postrzegania przez Janusza Orlikowskiego natury pisarstwa: „Jestem człowiekiem, ale moje wiersze są mi podległe, są moimi stworzeniami. Jestem ich stwórcą, a chrześcijanin by powiedział odtwórcą z czym wobec Nieznanego, Absolutu należy się zgodzić” (s. 77).

W sposób niezobowiązujący, na prawach

exemplum, wynotujmy passusy o charakterze gnomy: „Autorytet to uznanie, prestiż, oparte na cenionych wartościach. [...] Autorytet jest więc nośnikiem wartości poza wiarą i władzą. [...] Świat współczesny to wiara lub władza. [...] Autorytet wymaga wiedzy, a ta niechętnie przyjmowana jest, gdy ma się władzę” (s. 16-17); „każdy człowiek jest indywidualnością w swoim «ja». Cała dobra literatura o miłości na tym stoi” (s. 68).

Poeta w szkicu *Wokół czasu*, wychodząc od dywagacji i immanentnej dysputy o kategorii czasu (w konsekwencji: przemijania, śmiertelności człowieka i pragnienia zaświatów), konkluduje: „[religia chrześcijańska] Czasowość zastępuje wiecznością, a Bóg jest wiecznie trwającą aktualnością” (s. 41). W chwili, gdy przedmiotem pisarskiej wiwisekcji staje się odczucie czasu przez dziecko, autor „wpuszcza” do eseju swoje życie: żonę Barbarę, 8-miesięcznego syna Łukasza, który po kilkudniowej nieobecności rodziców na ich widok kryje się w ramionach babci. Zacięcie prozatorskie odkrywa przed czytelnikiem (celowo bądź przypadkiem) w tych partiach tekstu, gdzie opisuje swoje doświadczenia pacjenta szpitala onkologicznego. Po krótkiej rozmowie z pielęgniarką, bohater dostaje pozwolenie na wyjście z budynku:

Powietrze. Chodziłem i dotykałem liści krzewów, liści drzew i ich konarów. Ostrożnie, delikatnie jakbym nie chciał im tym zrobić krzywdy, jakbym widział je pierwszy raz. Lewą rękę wzniosłem wolno ku górze i gdyby była nieco dłuższa dotknąłbym nieba i gdzieś tam gdzie białych obłoków. Była we mnie nieopisana radość. Radość bez pytań o jutro. W ogóle mnie nie interesowało kiedy wyjdę ze szpitala. To było poza mną, ważny był dotyk Daru życia (s. 48-49).

Im bliżej umieszczonego na końcu książki spisu treści, tym prezentacje Janusza Orlikowskiego stają się bardziej osobiste i intensywniej nasycone tkanką literacką (autor-eseista przeradza się w autora-pisarza) czy nawet

autobiograficzną. Dowiadujemy się wtedy więcej o życiu autora, nie tyle o tym, co myśli i sądzi, lecz kim jest, w jakiej porusza się przestrzeni: absolwent politechniki, magister inżynier technologii budowy maszyn, nauczyciel matematyki w gimnazjum („Mój czas na twórczość to poranek i godziny przedpołudniowe. Godzę to z funkcją belfra”, s. 181), mieszkaniec Dobrodzienia na Opolszczyźnie, gdzie posiada działkę przy ulicy Gładysza, turysta odpoczywający w Tunezji („retrospekcja z tunezyjskiego urlopu”, s. 207). Bohater doświadcza własnej odmienności w relacjach ze światem: „To ciągle poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia, które towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kontakty z rówieśnikami podszyte zawsze tym samym tłem – ty, czyli inny. Inny, czyli kto?” (s. 177).

Zapisana na niecałej stroniczce numer 180 w tekście *Czy to na niby?* anegdota związana ze spotkaniem z kolegą, poetą Ryszardem Sidorkiewiczem, każe mi widzieć w Januszu Orlikowskim przyszłego autora książki jaskrawo wspomnieniowej, gdzie będą dominowały obrazki, scenki rodzajowe (między innymi o środowisku literackim, rozmowach przy kieliszku wódki, filizance kawy z innymi, mniej lub bardziej znanymi twórcami), które w *Gwałcie na prawdzie*, mimo iż występują w ilościach śladowych, nie waham się nazwać solą tego tomu. Jakże odmienia się szkic *Co slychać w mieszkaniu za szybą?*, gdy narrator pozwala przemówić małżonce, komentującej modlitwy płynące pięć razy dziennie z meczetu: „modlą się pięć razy w ciągu dnia, więc mają słońce” (s. 200). Uwagę zatrzymuje relacja: „Tu, na mostku nad rzeką Myślinską odnajduję bogactwo ludzkiego bytu. Dzikie kaczkę płyną, tak jak płynąć powinny, słońce późną jesienią dopiero zbiera się do tego, aby nadać ziemi promieni” (s. 204).

Na wirtualny zbiór mogłyby się złożyć pozbawione balastu krytycznego wrażenia z lektur czy zdarzeń, ulotne notatki zasysające przebłyski, które rodzą się czasem z kontaktu z bytem „tu i teraz”. Z notatką o dawnej

lekturze wiersza *Miłość szczęśliwa* Wisławy Szymborskiej mamy do czynienia w wymiaku: „Pamiętam jak sporo lat wstecz czytałem pierwszy raz ten wiersz. Był jak olśnienie. Jakby czas w tym czasie nie istniał” (s. 64).

Niczym zapis w metafizycznym dzienniku szpitalnym brzmi z kolei początek tekstu *Mój daimonion*, w którym krytyk dzieli się z czytelnikami doświadczeniem z obcowania z osobą niezemską, co po trosze tłumaczy stanem pooperacyjnym i działaniem morfiny: „Leżała obok mnie, gdzieś w odległości jednego metra, na boku z głową wspartą na dłoni. Postać jakby z biało-siwej porcelany, taka niby figurka lecz rozmiarów – połowa dorosłego człowieka” (s. 51). Chciałbym podkreślić i to, że autor, urzeczony filozofią starożytnych, odwołuje się właśnie do daimonionu: „głosu kierującego jego [człowieka] duszą [...]. Z greckiego istoty boskiej, ducha opiekuńczego” (s. 53), chociaż zadaje pytanie „czyżby [...] opisana przeze mnie postać mogła nie być duchem opiekuńczym, a tylko radością szatana, pisząc kolokwialnie?” (s. 54). W głębi książki traktuje wspomniane zjawisko jako pomocnika: „Banałem jest pisać, że miłość jest dawaniem. Każdy to rozumie na swój ziemski sposób i w rezultacie nic nowego. Szukam więc słów, które by były odpowiednie do tego co zamierzam. Czy pomoże mi mój daimonion?” (s. 150).

Pisarz z Dobrodzienia szczerze cytuje Wisławę Szymborską, Zbigniewa Herberta, przede wszystkim zaś Czesława Miłosza, w stosunku do którego jakby mimochodem, na marginesie definicji pisarstwa Alberta Camusa, pozwala sobie na emocjonalny zaimek dzierżawczy „nasz”: „Albert Camus był zawsze niezwykle szczery w swej twórczości. Tylko tak wyobrażał sobie pisanie, prawdę i życie. Nie bez powodu fascynowała go, podobnie jak naszego Czesława Miłosza, Simone Weil” (s. 36). Nie jestem jednak admiratorem chwytu posiłkowania się, dla uzasadnienia swoich wywodów, autocytatem, urywkami własnych wierszy, co często zdarza

się Januszowi Orlikowskiemu, ale tę uwagę należy potraktować w kategoriach innego rozumienia przeze mnie roli tekstu eseistycznego w życiu poety, prozaika.

Autor w wielu utworach wskazuje impuls do napisania tekstu, którym może być absurdalna sytuacja, gdy spostrzeża, że internetowy link w słowie „Ciało” ze zdania „Bierzcie, to jest Ciało moje” prowadzi wprost do recepty na zrzucenie paru kilogramów (*W tajemnicy wiary*). W szkicu *W odniesieniu do, czyli postawy* czytamy wprost: „Szczegół, takie choćby przypadkowe spotkanie z sąsiadką przed blokiem podczas powrotu od lekarza może stać się motorem do porannych przemyśleń dnia następnego” (s. 135). Ale w *Tam* rozważania o Sądzie Ostatecznym (piekle, czyśćcu i niebie) zostały pobudzone dwuwierszem umieszczonym na pomniku nagrobnym na cmentarzu w Łągiewnikach Małych: „Ty nie przyjdiesz już do nas / to my do Ciebie przyjdziemy” (s. 83).

Chciałbym również zatrzymać się nad pewnymi inicjacjami szkiców. Wyczuwamy, niespełnioną w samym tekście, zapowiedź kryminalną: „To było gdzieś dwie godziny przed Nowym Rokiem 2011” (s. 155), „To było tuż po świętach wielkanocnych, gdy zdecydowałem się na ten «krok»” (s. 159); „To było na plaży, nad brzegiem średniego jeziora spośród trzech turawskich mieszczących się niedaleko Opola z jednej, a Dobrodzienia z drugiej strony” (s. 183).

Najnowsza publikacja Janusza Orlikowskiego ma też swoją dosłowną wagę; ponieważ wydrukowana została na 240 stronicach kredowego papieru, jej ciężar jest jawny. Poza tym *Gwałt na prawdzie* pachnie: rodzaj użytego celulozowego arkusza emituje swoiste feromony nie tylko znaczeń, ale i farby drukarskiej, w związku z czym czuję się otumaniony (czytaj „zgwalcony”) podwójnie.

Arkadiusz Frania

Janusz Orlikowski, *Gwałt na prawdzie. Eseje i szkice*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2014, ss. 240.

Barbara Strzelbicka

Z CZEGO SIĘ ŚMIEJEMY NA SPEKTAKLU „SPRZEDAWCY GUMEK”?

Sprzedawcy gumek to sztuka Hanocha Levina, która premierę na polskiej scenie miała w 2011 r, a zanim została wystawiona na deskach teatru częstochowskiego, pokazano ją w Krakowie, Rzeszowie i Warszawie. Dodatkowo spektakl warszawskiego teatru IMKA był transmitowany przez Telewizję Polską (31 marca 2011 r). Można powiedzieć więc, że jest to dramat modny. Jego autora, izraelskiego dramaturga o polskich korzeniach, odkrył dla polskiego teatru Krzysztof Warlikowski, wystawiając inscenizację *Kereta*, bardzo dobrze przyjętą, która weszła do kanonu spektakli Teatru Telewizji. W ubiegłym roku w Teatrze im. Stefana Żeromskiego w Kielcach miała miejsce prapremiera innego dramatu Hanocha Levina, *Jakiś i Pupcze*, o czym pisał Marian Panek (*Galeria* 29). Jednak nie tylko z powodu popularności dramaturga spektakl cieszy się zainteresowaniem częstochowskiej publiczności – dzieje się tak zapewne również za przyczyną tytułu i treści, które on sugeruje. Bo tytuł jest jednoznaczny i chodzi w nim nie o gumki do włosów ani o gumki-myszki czy o recepturki, lecz o prezerwatywy, a to oznacza, iż rzecz się dzieje poniżej pasa – pozostając w kręgu tytułowej metaforyki. Przed laty w podobny sposób przyciągało *Białe małżeństwo* Różewicza, reklamowane jako *porno w teatrze*. Widzowie nastawieni na takie wrażenia raczej nie przeżywają zawodu, bo w przedstawieniu sporo aluzji do seksualności, zarówno w warstwie słownej, jak i widowiskowej, takich jak latające po scenie i ślizgające się po ciele aktorów balony, z których uchodzi powietrze, powtarzanie kwestii na temat spadku w postaci ogromnej ilości prezerwatyw, zostawionych synowi przez ojca (ciekawe, ile osób przeliczało, na jaki czas mogłyby one wystarczyć, zastanawiając

się przy tym nad częstotliwością kontaktów seksualnych...) itp. Czasem spektakl ma wymiar groteski i pozostając na jej powierzchni, można się pośmiać. Nieco głębiej spojrzawszy, widać troje życiowych nieudaczników, którzy próbują coś ugrać, a tak naprawdę boją się życia i prawdziwych uczuć. Tytułowe *gumki* mają chronić przed zbyt intensywnymi doznaniem, ich ewentualnymi konsekwencjami i odpowiedzialnością. W efekcie życie staje się ciągłym oczekiwaniem na poprawę losu, balansowaniem pomiędzy lękiem i nadzieją. Ostatnie słowa spektaklu, wypowiedziane przez Agatę Ochotę-Hutyre nie bez powodu bardzo poważnym tonem, przywołują pytanie, padające na zakończenie *Rewizora* Gogola: *Z czego się śmiejecie?! Z siebie samych się śmiejecie!* Recenzenci sztuki często wskazują na jej powinowactwa z twórczością Samuela Becketta, ten jednak końcowy fragment jest nad wyraz Gogolowski, z tą tylko różnicą, że tutaj pytanie pozostaje bez odpowiedzi. Refleksyjny odbiorca łatwo ją znajdzie: jest to sztuka o nas, o tym, że czasem jesteśmy takimi *sprzedawcami gumek*, które nakładamy na siebie ze strachu przed bliskością z drugim człowiekiem, z poczucia obowiązku urzędnika się w życiu, zrobienia dobrego interesu lub dobrej partii, z lęku przed oparciem życia na materii tak kruchej jak uczucia. I to wydaje się być trzecią i najgłębszą warstwą sztuki, świetnie wydobytą przez twórców spektaklu, w tym także przez aktorów.

Dramaturg nie konstruuje postaci pełnych, lecz jednowymiarowe, ukazujące pewien aspekt osobowości współczesnego człowieka. Postacie pozwalają widzom znaleźć własne wyolbrzymione wady - dlatego dramaty wzbudzają emocje. Bohaterowie *Kereta* są odrażający, *Jakisia i Pupcze* – brzydki, *Sprze-*

dawców gumek – żałośni. Taka konstrukcja postaci przywołuje moralitet - czyżby zatem Hanoch Levin był współczesnym moralistą?

Spektakl grany jest na tle skromnej scenografii, która nie przeszkadza treści: wielofunkcyjne *okienko* i także ławeczka. Za to mamy do czynienia z popisami gry aktorskiej, zwłaszcza w partiach... muzycznych? wokalnych? Trudno je nazwać, ale są nad wyraz efektowne i podobnie jak elementy scenografii – wieloznaczne. Są rodzajem przerywników między scenami, ale też zastępują sceny, zwłaszcza erotyczne, dając przy tym aktorom możliwość popisania się kunsztem wokalnym. Stanowią rodzaj kontrapunktu wobec głównego wątku.

W przedstawieniu zagrało troje dojrzałych częstochowskich aktorów i wszyscy mieli do stworzenia właściwie po dwie kreacje, ponieważ części przedstawienia dzieli 20 lat. Postaci niewiele się zmieniły – mniej sprężyste ruchy, posiwiałe włosy, ale nawyki – stare i może tylko wady bardziej widoczne. To kolejna prawda o nas: czas nas zmienia najbardziej zewnętrznie, w środku pozostajemy tacy sami – o ile nie pracujemy nad zmianą własnych postaw. A bohaterowie *Sprzedawców gumek* nie starają się siebie zmienić, pozostają przy starych przyzwyczajeniach pomimo upływu

czasu. Jest w tym sporo nostalgii, ale też smutku i bezradności.

Z całą pewnością warto obejrzeć spektakl, który gwarantuje wysoki poziom doznań estetycznych oraz skłania do refleksji nad własnym życiem. Tytuł jest metaforą, zatem interpretacja sztuki może być różna. Tytuł jest jednak także prowokacją. W związku z tym przypomniało mi się pewne drobne zdarzenie. W sklepie zapytałam młodą ekspedientkę, gdzie znajdę temperówkę do ołówków. – Taką do szminek? – dziewczę zatrzepotało rękami. – Nie, taką do ołówków! – powtórzyłam. – Aaa, taką do ołówków do oczu! – ucieszyła się dziewczynka i pokazała, gdzie leżą temperówki. Wiem, co byłoby, gdybym zapytała o gumkę...

Barbara Strzelbicka

Sprzedawcy gumek – Hanoch Levin, przekład Agnieszka Olek
 Reżyseria – Andrzej Bartnikowski
 Scenografia – Wanda Kowalska
 Muzyka – Marcin Rumiński
 Akustyka – Dominik Głowacki
 Grają: Agata Ochota-Hutyra – Bela Barlo,
 Michał Kula – Szmuel Sprol,
 Antoni Rot – Johanan Cingerbaj
 Premiera w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie: 20 grudnia 2014

„ĆPUNKA”

to kolejna powieść Barbary Rosiek, nawiązująca do debiutanckiej i jednocześnie najbardziej znanej powieści autorki – do „Pamiętnika narkomanki”. Podobna jest forma, podobna jest też bohaterka, prowadząca dziennik - kilkunastoletnia uzależniona dziewczyna. Akcję powieści Barbara Rosiek umieszcza we współczesności, pokazując przez to, jak zmieniły się realia, w których funkcjonują ludzie uzależnieni. Cechą pisarstwa Rosiek jest ścisła zależność ze światem realnym – autentyczna przestrzeń, prawdziwe zdarzenia, postaci noszące nazwiska literackich pierwowzorów.

Tak jest w przypadku „Ćpunka”, której akcja dzieje się w Częstochowie, choć tym razem ma to niewielkie znaczenie dla przebiegu zdarzeń, które równie dobrze mogłyby dziać się wszędzie. Zmiana w stosunku do pierwszego pamiętnika jest taka, że pojawiły się nowe środki uzależniające, a tym samym nowe zjawiska: dopalacze, pigułka gwałtu, opanowanie rynku narkotyków przez przestępców, przeniknięcie dilerów do gimnazjów. Internet służy komunikowaniu się, zdobywaniu informacji o narkotykach i o źródłach ich uzyskania, pozwala śledzić ruchy rodziców, poszukują-

cych zaginionych dzieci i innym podobnym celom. Pomimo tych zmian jednak problem narkomanii nie stał się ani trochę łatwiejszy do przezwyciężenia, a wręcz przeciwnie: zdobycze służą zdobywaniu nowych rynków i ułatwiają dostęp do narkotyków, do leków, do zabiegów, dających chwilową ulgę, by potem narkoman mógł wrócić do zażywania tego, co go niszczy. Postęp techniczny zatem został lepiej wykorzystany na zgubę człowieka, niż dla jego dobra.

Bohaterka powieści jest konstrukcją psychiczną dość niespójną, wydaje się, że autorka wyposażała ją w cechy nastolatki, ale także kobiety dorosłej, czyniąc postać swoim poniekąd *porte-parole*. Poniekąd, bo inną postacią, obecną w narracji, jest sama Barbara Rosiek, nazywana przez narratorkę – *Basią*. Ten zabieg sprawia, że „Ćpunka” staje się rodzajem dalszego ciągu „Pamiętnika narkomanki”, *sequelem*, wobec czego podobieństwo do pierwowzoru, który staje się pierwszą częścią, jest usprawiedliwione. Tym razem jednak inny jest ciężar gatunkowy pamiętnika – ma on wyraźną orientację terapeutyczną. Wprawdzie pojawiają się oskarżenia pod adresem rodziców bohaterki o to, że za mało córkę kochali, zajęci pracą i gromadzeniem dóbr materialnych, ale też czytelne jest inne przesłanie: jeśli ktoś sam nie chce zerwać z uzależnieniem, to otoczenie jest bezradne. Młoda bohaterka ukrywa się przed rodzicami, ale z *Basią* chętnie się spotyka i ufa jej – niestety, nie potrafi przyjąć pomocy także od niej, dopóki jest pod wpływem mężczyzny, od którego jest zależna emocjonalnie i bytowo, który dostarcza jej narkotyków, a który staje się panem jej życia i śmierci. Autorka demaskuje także naiwną wiarę w łatwe sposoby poradzenia sobie z problemem uzależnienia: w domowe detoksy, prywatne kliniki, zastępowanie narkotyków lekami. Wszystkiego tego próbuje bohaterka powieści i wszystkie te sposoby okazują się zawodne. Czytelnik widzi także całą nędzę uzależnienia, wraz z jego fizjologicznymi aspektami oraz fizycznym i psychicznym wyniszczeniem. Być może do tego potrzebne były „doroste”

cechy bohaterki, by książka mogła spełnić cel dydaktyczny: bohaterka musi na tyle być świadoma siebie i zdarzeń, by jasno o nich pisać. Bo jest to ostrzeżenie dla tych, którzy sięgają po narkotyki albo zastanawiają się, czy po nie sięgnąć. Zakończenie powieści jest otwarte, Barbara Rosiek pozostawia czytelników z nadzieją, że bohaterce jej książki uda się wyjść z uzależnienia. Bohaterce, która otarła się o dno egzystencji, choć była dzieckiem pochodzącym z tzw. dobrego domu i dobrą uczennicą w szkole, uprawiała sport, miała ambitne plany na przyszłość. Podkreśla to warstwa językowa książki, będąca stylizacją na poprawny język szkolnych wypracowań, zawierających niewielkie błędy. Tu także dochodzi do głosu terapeutyczna wrażliwość Barbary Rosiek, przypominającej, że narkomanami zostają również grzeczne dzieci. Przywołuje to okładkę książki Marka Kotańskiego, na której powyżej tytułu *Ty zaraziłeś ich narkomanią!* jest miejsce na wklejenie własnej fotografii czytelnika. Wydaje się, że takie stanowisko jest bliskie Barbarze Rosiek, nawołującej wszystkich do czujności, ostrzegającej dzieci i ich wychowawców, że narkomania może się przydarzyć każdemu, bo są ludzie, pozbawieni skrupułów, którym na tym zależy.

Powieść charakteryzuje się, oprócz wielkiej wrażliwości autorki na problem narkomanii, jej ogromną wiedzą i sporym rozeznaniem, dotyczącym zjawiska. Świat ludzi uzależnionych, widziany oczami młodej dziewczyny, pełen jest przemocy, bólu i wszelkiego innego zła. Jest to jednak świat prawdziwy. I właśnie ta prawda stanowi o wartości książki.

Barbara Strzelbicka

Barbara Rosiek, *Ćpunka*, Warszawa 2013, ss. 112.

Barbara Rosiek

PRAWDZIWA WOLNOŚĆ TO NIE BAĆ SIĘ. ODPOWIEDŹ BASI STRZELBICKIEJ /GALERIA NR 29/

Pracując swego czasu na neurologii jako psycholog kliniczny i neuropsycholog, badałam wielu chorych z uszkodzeniem mózgu. Tam, gdzie były uszkodzone struktury odpowiadające za podejmowanie decyzji czy jakiegokolwiek wybór wolnej woli, były często zaburzone i rodzina musiała sama decydować o losie chorego.

I to chyba jest jeden z niewielu przypadków, gdzie z zewnątrz można obserwować zniewolenie człowieka.

Wolność jest właściwie jedna i jedyna – wybór własnego życia z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Człowiek jako inteligentna osoba dąży do samodoskonalenia, rozwoju osobowości w sposób dla siebie najbardziej dogodny. Podejmuje ważne decyzje dla siebie. Żyjąc w określonym społeczeństwie, mając przyjaciół, rodzinę, religię, modyfikuje swoje wybory w zależności od preferowanych wartości.

Bywa, że rezygnuje z siebie, ze swoich marzeń i planów na rzecz pomocy na przykład dla bliskiej, chorej osoby, poświęcając swój czas i troskę. To też jest jego wolny wybór. Zdarza się, że stawiamy się w roli „ofiary”, bo „musimy” kimś się opiekować

Nic nigdy nie musimy, to jest, jak wszystkie nasze decyzje, nasz wybór, mniej lub bardziej świadomy. Nie da się własnej decyzji „zwalić” na okoliczności. Człowiek czyni to, co dokładnie by się zdarzyło.

Dla mnie każdy wybór jest wolnym wyborem. Owszem, świat zewnętrzny ma duży wpływ na nas, ale ostatecznie człowiek podejmuje – wybiera to, co chce. Nawet jak jest „przekonany”, że jest w sytuacji przymusu. Wybiera inną opcję.

Piszesz, Basiu, o odpowiedzialności i że nie ma wolności w sytuacji przymusu. Podejmując decyzję „pod przymusem” też dokonujemy wybory sami. Zabijając człowieka, gdzie w danym państwie jest za to kara śmierci, godzimy się z nią z założenia.

Będąc młodym psychologiem, pacjent psychopata powiedział, że kara za zabicie go nie

przekonuje, że bierze pod uwagę to ryzyko /wtedy jeszcze w Polsce obowiązywała kara śmierci/. Traktował ją jako ryzyko zawodowe dla swej profesji zabójcy.

Człowiek zawsze mniej lub bardziej odpowiada za swoje wybory, bywa nagradzany lub karany, lecz wybiera. Nawet jak te wybory według społeczeństwa uznawane są jako złe.

Wolność to nie bać się. Długo poznawałam tę zasadę, aż pojęłam, że rodzimy się z wieloma lękami podstawowymi, którymi są – lęk przed brakiem miłości, brakiem poczucia bezpieczeństwa, przez odrzuceniem i oczywiście lęk przed śmiercią. One mogą „zniewalać”, ale wtedy, gdy nami totalnie zawładną. Rodząc się ponownie z własnego wyboru, wybieramy spokojniejsze życie. Lęków podstawowych nie da się uniknąć, ale można je zapędzić do służby dla nas samych. Z lęków i obaw powstają najpiękniejsze literatura i sztuka, ukryte marzenia i nigdy niewykonane zbrodnie.

Czemu człowiek ulega słabościom? Bo jest tylko człowiekiem, a może aż. Ma odpowiednio skonstruowany mózg, który wybiera przyjemności – używki, hazard, uzależnienia do seksu i pracy lub ucieczkę wewnątrz siebie. Są osoby, którym cierpienie sprawia radość. Na szczęście wybiera również miłości i przyjaźń.

Mam ochotę zapytać – wolność poprzez zniewolenie? Tak, ochrona przed światem tzw. normalnym.

Niemożność zrezygnowania z narkotyku, alkoholu paradoksalnie jest funkcją wyboru.

Nikt nie może myśleć za nas, nawet uszkodzony mózg wybiera optymalne dla siebie opcje.

Kiedy się do czegoś nas przymusza, to i tak w naszej gestii jest, czy się temu poddamy. Często w naszej podświadomości toczy się zacięta walka. Na szczęście możemy świadomie wpływać na naszą psychikę. Wybór „wbrew sobie” także jest wyborem.

Barbara Rosiek

Tomasz Niedokos

TAJEMNICZE PYTANIA, MGŁY I LONDYŃSKIE KAŁUŻE O TOMIKU ANNY MARII MICKIEWICZ *LONDON MANUSCRIPT**

London Manuscript to nowy zbiór poetycki Anny Marii Mickiewicz, autorki piszącej i publikującej w języku polskim i angielskim, od lat mieszkającej w Londynie, z wnikliwością obserwującej londyńskie parki i ogrody oraz kulturalne życie tej światowej metropolii. Poetka jest świadoma znaczenia minionych dziejów, a także otaczającego ją kulturalnego krajobrazu.

Wiersze, które zostały opublikowane przez brytyjskie wydawnictwo Poetry Space w 2014 roku, stanowią poetyckie objawienia, w których uchwycone są natychmiastowe, chwilowe obserwacje, zawsze zakorzenione w konkretnej, lokalnej rzeczywistości. Wiodą jednak czytelnika do innych światów: mitycznej Grecji, średniowiecza, czy też Polski z okresu młodości poetki. W cichych londyńskich ogrodach można dostrzec Sokratesa. A cóż możemy powiedzieć, gdy odkryjemy na końcu wiersza pytanie: „jeżeli kobieta na plaży była kuzynką Wirginii Woolf?” („What if the woman on the beach was a cousin of Virginia Woolf’s?”)*. Chyba tylko umarli pozostają ciągle z nami we wspólnocie kultury.

Będąc Polką i mając dalekie koneksje z rodziną poety Romantyka, nie można pozostać obojętnym na zwichrowaną, dawną i obecną historię Polski i Europy Wschodniej. W utworach pojawiają się tematy syberyjskie, okresu stanu wojennego, które również były częścią historii życia poetki i jej rodziny. Zawarte w wierszu wspomnienia o kruszącym się porządku świata („a crumbling world order”)*, o pokoleniach naznaczonych bólem rozstania z rozdygotaną ziemią („tainted by the pain of parting with the unsettled soil”)* wprowadzają do tonu poezji swoisty smutek i napięcie, który jednak nie burzy harmonii miejsca i czasu.

W innym wierszu autorka buduje kontrasty. Utwór *Summer in Seaford* ma charakter impresjonistyczny; przywołując uciekającą

chwilę, nastrój lub widok, poetka pozwala czytelnikowi spojrzeć na świat z nieoczekiwanej perspektywy, odkryć nieznanym w znajomym, dzięki dobrze zbudowanej i wnikliwej metaforze.

Anna Maria Mickiewicz posiada wyjątkowy dar wyrażania w języku zjawisk wodnych: mgieł, chmur, kałuż, kropelek, tak charakterystycznych dla angielskiego pejzażu i krajobrazu miast, ale ostatecznie są one zawsze postrzegane poprzez filtr kultury; natura i kultura łączą się ze sobą.

Miłość do Anglii, jej natury i kultury przebija z tych wierszy; poetka wydaje się być bardzo dobrze zakorzeniona w swoim przybranym kraju, ale spojrzenie, metafory, skojarzenia są jej własne i odkrywcze, czerpane z doświadczenia życia w dwu kulturach, dwu historiach i w końcu w dwu językach. A czytelnik może się tą twórczością zainteresować, gdyż jest to podróż przez bardzo zmysłowy, ale też naznaczony historią i kulturą świat poetycki.

* fragment wiersza *Summer in Seaford*

* fragment wiersza *December the Thirteenth* (tłum: Tom Wachtel)

* fragment wiersza *Jevtushenko*

Tomasz Niedokos

Dr Tomasz Niedokos - urodził się i mieszka w Lublinie, ukończył filologię angielską na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej (UMCS) w Lublinie, pracował w Sekcji Polskiej BBC, obecnie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II wykłada historię Anglii i zajmuje się studiami brytyjskimi. Ostatnio wydał monografię twórczości angielskiego powieściopisarza, historyka i biografę Petera Ackroyda.

* Pierwodruk recenzji w języku angielskim ukazał się w polsko-angielskim piśmie wychodzącym w Londynie „Nowy Czas” nr 10(208) z 2014 r.

Agnieszka Złota

POEZJA (NIE) POETYCKA W LABORATORIUM SZTUKI - (TRANS) FUZJA ZNACZEŃ W DZIEDZINĘ INTERTEKSTU

Ludzie Wschodu są rozsądni i przyglądają się tylko temu, co zasługuje na uwagę.

Aleksander Dumas, *Hrabia Monte Christo*

[...] *gotowość umierania, zrzucania powłok, wieczne oddanie swego „ja” przemianie prowadzi do nieśmiertelności.*

Hermann Hesse, *Wilk stepowy*

„Jesteśmy z tej samej penicyliny”, powie o sobie bohater poetycki debiutu zatytułowanego przewrotnie, gdyż (nie)poetycko *Panem Pantofelkim*. Utożsamienie czytelnika(?), autora(?), czy też przedstawiciela gatunku *homo sapiens*(?) na poziomie ustrojowym z pierwotniakiem (...) – czy to aby nie prowokacja literacka(?). Penicylina jako antybiotyk wytwarzany przez pędzlaki (*Penicillium*) działa na drobnoustroje Gram-dodatnie, słabiej na Gram-ujemne. Czyżby owo rozróżnienie bynajmniej (nie) poetyckie sugerowało swoiste rozdwojenie bohatera lirycznego określonego przez autora *Panem Pantofelkiem*(?) czy zatem można doszukiwać się tajemniczego powinowactwa między pierwszym antybiotykiem - penicyliną rozumianym jako swoiste „antidotum” a pierwotnością pytań o tożsamość(?), pamięć przeszłości(?), konstytucję czy też status ontologiczny podmiotowego „ja”(?), które uosabia pantofelek. Wielka metafora zastosowana w tym przypadku staje się niebywale trudna do deszyfryzacji. Pewnym jest, że penicylina jest substancją produkowaną przez grzyby, być może owa substancja (=substancjalność istoty ludzkiej) jest kluczem do odczytania tej poezji. Substancjalność domagająca się ponownej restytucji w duchu ponowoczesnym. Niemniej jak podaje artykuł hasłowy do *Domowego poradnika medycznego* penicylina nie działa na pierwotniaki, a Pantofelek, pamiętamy, jest pierwotniakiem... ale nie takim zwyczajnym, należy bowiem do orzęsków, a domeną tychże jest swego rodza-

ju „pogranicznikostwo”, a nawet „transgresja” a już na pewno „liminalność”.

Przyznać trzeba, że to dość oryginalna procedura (nie)poetycka, uczynienie z pantofelka bohatera lirycznego cyklu poetyckiego. Zaskakujące, że choć mamy do czynienia z maleńkim organizmem żyjącym, autor obdarza go niebywałą estymą. Personalizuje go, nadając mu niemal status ludzki, można nawet zaryzykować stwierdzenie „nadludzki” i nie będzie to zapewne nadużyciem. Nadludzki, gdyż przebywamy, o czym należy pamiętać, jako czytelnicy w laboratorium sztuki, a pantofelek stanowi doskonały materiał doświadczalny. Co więcej, genetycznie wyprzedza gatunek *homo sapiens*, zatem jest to osobnik szczególnie, wyrażający „wolę mocy” powołując się na słowa Nietzschego. Owa dążność do przewagi ewolucyjnej sprawia, że można porównać pantofelka do „nadczołwieka”, jeśli chodzi o ciężar istotnościowy obserwowanego zjawiska, a może to tylko skrót myślowy(?) właściwy poetyce Mariana Panka, na który mogę sobie pozwolić jako recenzent wierszy celem twórczej eksplanacji pewnych strategii tworzenia świata przedstawionego.

O pantofelku jako gatunku pierwotniaka słyszy się, że stanowi popularny materiał doświadczalny, bynajmniej nie przypadkowo. W tym tkwi jak przypuszczam istota eksperymentów poetyckich Mariana Panka. W atomizacji i przeznaczeniu użytkowym osobnika. Autora interesuje – mam wrażenie – doświadczalna (epistemologiczna) strona natury pierwotniaka, którego ob-

darza „sobością”. Pantofelek staje się w tym ujęciu transpozycją „ja” lirycznego poddanego mniaturyzacji celem precyzyjniejszego oglądu i wysnucia trafniejszych wniosków szczegółowych. Specyfikacja poprzez „epistemę użyteczności” odsyła czytelnika do sfery ontologicznej tegoż tworu natury i przenosi na inny pułap refleksji o sobie i świecie.

Podmiot liryczny tych wierszy jest „(...) wątył niebaczny rozdwojony w sobie” parafrazując Słowackiego, a jego figurą mentalną staje się pantofelek. Poszukiwanie tożsamości w rzeczywistości, w której najważniejsze słowo „ja” rozpadło się, okazuje się niebywale trudne. Rozpadła się bowiem istotowość podmiotu, legł w gruzach jej ontologiczny status. W poezji tej stajemy się naocznymi świadkami dekonstrukcji ludzkiej tożsamości i odważnych prób jego ponownej restytucji. Istotnym rysem staje się tragizm, towarzyszący egzystencji, która dostrzegła „odczarowanie świata”. Ostatecznie pada konstatacja: „kształt słowa jest poza mną”. I znów dwoistość, z jednej strony kształt jako pewna matryca, nośnik struktury (słowo klucz), oraz jako znaczenie w rozumieniu użycia, praktycznego wykorzystania. Ukształtowanie w kontekście użytego słowa. Utrata monolitu odbywa się poprzez grafikę ku „sensom naddanym”, emanuje, dlatego tak trudno ją wyartykułować. Rozpad odbywa się w sferze mentalnej i choć здаwałoby się, że dotyczy wyłącznie podmiotu, udziela się w konsekwencji światu. Synonimem rozpadu jest w tej poezji tajemniczy podział o mitotycznej proveniencji. Podobnie jak penicylina działa na drobnoustroje Gram-dodatnie, podobnie zazwyczaj rozmnażanie polega na podziale dodatnim, mitotycznym komórki. Jego celem ostatecznym jest powstanie dwóch komórek potomnych o jednakowym podłożu genetycznym, co prowadzi do szybkiego zwiększenia ilości osobników danego gatunku. Zasadniczą wadą tego podziału jest jednak brak zmienności genetycznej. Czyżby zatem strategii tej towarzyszyła obawa przed masą, rozumiana jako bezoso-

bowy (bezwłaściwościowy) tłum(?), a może bardziej zagłada, która zagraża nam poprzez zwielokrotnienie „bylejakości”, jakiego doświadczamy? Gdzie zatem poszukiwać środków zaradczych, aby ocalić zagrożoną rozpadem podmiotowość? Ocalenie przez duplikację materiału genetycznego to tylko jedna z możliwych wersji odczytań tej poezji.

Wiersze Mariana Panka należą do tak zwanych (nie) wdzięcznych, a przez to (nie) wyzyskanych. Dzieje się tak, gdyż nie chcą poddać się wymogom interpretacyjnym, nie mieszczą się w kanonie poezji tzw. poetyckiej, stają przysłowiową „ością w gardle”. Ich siła tkwi w zaistnieniu, które nie pyta o zgodę na swój zindywidualizowany byt, do którego ma bynajmniej prawo, dlatego „poezja [dodać należy - ta poezja - dop. A.Z.] wykańcza wzór/ jak podaje poeta”. Niemniej owo „wykańczanie” znów jest niejednoznaczne, nie odsyła bynajmniej do dziedziny ornamentyki, zdobnictwa (choć autor jest plastykiem), lecz do „wypaczenia”, dewaluacji matrycy (traktowanej jako wzorzec), jej powolnej degradacji, domagającej się dekonstrukcji. Stanowi sztyld programowy tych wierszy, które stają się przykładem na zawodność lub też niewystarczalność narzędzi, niemoc metodologiczną w obliczu tworu pogranicznego jakim jest poezja tzw. (nie)poetycka. Odwrotnie proporcjonalny do ilości narzędzi interpretacyjnych nadmiar skrótów myślowych przypominających bardziej rozkład jazdy pociągów lub paragon z hipermarketu - układ treści, sprawia, że czytelnik czuje się niemalże interpretacyjnie „ubezwłasnowolniony” wieloznacznością konstrukcji słownych, migotliwością płaszczyzn, które wzajemnie warunkują swe istnienie, czyniąc je celowym.

W liryce tej dominuje sceptycyzm i gest żartu poetyckiego, są to istotne składniki strukturalne tych wierszy. „Poeci młodzi cytrynią, mają dużo witaminy C”. Owo „cytrynienie”, co wynika z dalszej części wiersza, staje się tajemniczym „znakiem podziału”, rozpadu matrycy na elementy składowe o ce-

chach identycznych ze wzorem, zupełnie jak w procesie mitozy. W domyśle staje się również sygnaturą zagrożenia, obawy przez zwielokrotnieniem, czy też utonięciem w masie bylejakości. Podmiot liryczny powie o sobie: „mam u was coś co nazywa się wątroba”. Zastanawiające jest, dlaczego spośród różnych organów człowieka, zwrócono uwagę na narząd stanowiący centrum regeneracyjne organizmu, rozkładające lub unieczynnijające substancje szkodliwe. A może nowy wzór ma szansę zostać odtworzony przez regenerację?

Słowa-struktury, słowa-byty stanowią ważne komponenty tej poezji, bowiem w słowach można odnaleźć (odkryć) szczątki „czynów”, „zdarzeń”, słowa stają się „korytarzami marzeń”, tworzą uniwersum symboli i znaczeń. Niemniej jak podkreśla podmiot liryczny im większa kondensacja słów, tym dotkliwszy „ból istnienia”, wyrażający się poprzez „dotkliwość znaczeń”. Ból jako doświadczenie istnienia, egzystencja prawdziwa, bo odczuwająca, zmienia swój status ontologiczny, a zmiana znaczenia słowa, odmienia jego „matrycę semantyczną”. Tym samym „partytura świata” stanowi zjawisko na nowo zadziwiające parafrazując Miłosza. Stanowi strukturę, która aby mogła objawić się poprzez „konstelację znaczeń” porozrzucanych w rzeczywistości fragmentu, musi dojść do dewaluacji, wyczerpania potencji zawartej w antystrukturze. Dlatego: „pan pantofelek realizował właśnie operację w ciele rewolucji”. Rewolucja to antystruktura a raczej „szaleństwo antystruktury”, idąc tym razem tropem Witkacego. Musi ona ulec degradacji, aby mógł objawić się ład struktury, którego figurą semantyczną staje się partytura świata: „Bez struktury obiektów jest pusty”.

„Kształt słowa jest poza mną”, struktura słów jest niepoznawalna w sensie empirycznym, dlatego tak łatwo przeoczyć (nie zauważyć) poecie, że „nie ma poezji”. Poezja wczorajsza już nie jest poezją, bowiem wyczerpała swe możliwości, nie przystaje do ponowoczesnej rzeczywistości fragmentu. Dlatego

trzeba poszukiwać wciąż nowych rozwiązań, aby móc zrozumieć „popiół diamentów”, odczytać „tajemne znaki podziału”, „koło przeznaczenia”, „ból cyfrowego przekazu”, który mierzi zwielokrotnieniem i bylejakością, agresją, która wciąż się namnaża. Trzeba również pamiętać, jak chciałby poeta, że nic nie jest artyście (?), człowiekowi sztuki (?) dane raz na zawsze. Żyjemy w rzeczywistości pozabawionej stałych punktów oparcia, a swoją tymczasową, bo doczesną pewność możemy wykuć konsekwencją w eksplorowaniu nowego i zmianą, która napędza historiozoficzny sens świata.

Poezja ta jest emblematyczna. Z jednej strony doświadczamy skupienia badacza-observatora rzeczywistości, który chciałby odnaleźć niezmiennie prawidłowości, które kierują egzystencją z drugiej natomiast umiłowanie przemiany, wiecznej transgresji, pozwalającej ochronić „sobość” podmiotu przez rozpadem, zagrażającym wszelkim formom stałym. Transgresja jako warunek konieczny nieśmiertelności powinna wykuwać się z trudem, stąd emblematem tej poezji jest cierpienie, które uszlachetnia istnienie, czyniąc je wiarygodnym. Znoszone w sposób właściwy godny człowieka nadaje mu właściwą rangę.

Mało tego, poezja Mariana Panka to również, a może właśnie przede wszystkim, poezja eksperymentalna. Autor tworzy bowiem swoiste laboratorium sztuki, w którym dokonuje obserwacji, zapisuje wyniki, porównuje spostrzeżenia szukając prawidłowości. Tego typu spostrzeżenia bynajmniej (nie) poetyckie odznaczają się ze względu na zastosowanie praktyczne konieczną lapidarnością, stąd zapewne tak typowe dla tej poezji zamiłowanie do skrótu myślowego. Przy czym pamiętać należy, iż jest to laboratorium sztuki, podmiot liryczny poszukuje bowiem stale środków wyrazu dla swoich wytworów artystycznych, które transcendują w świat przedstawiony, jak również dla samego siebie. A procedurze owej towarzyszy obawa przed popadnięciem we frazes, w po-

SZKICE, ESEJE, RECENZJE

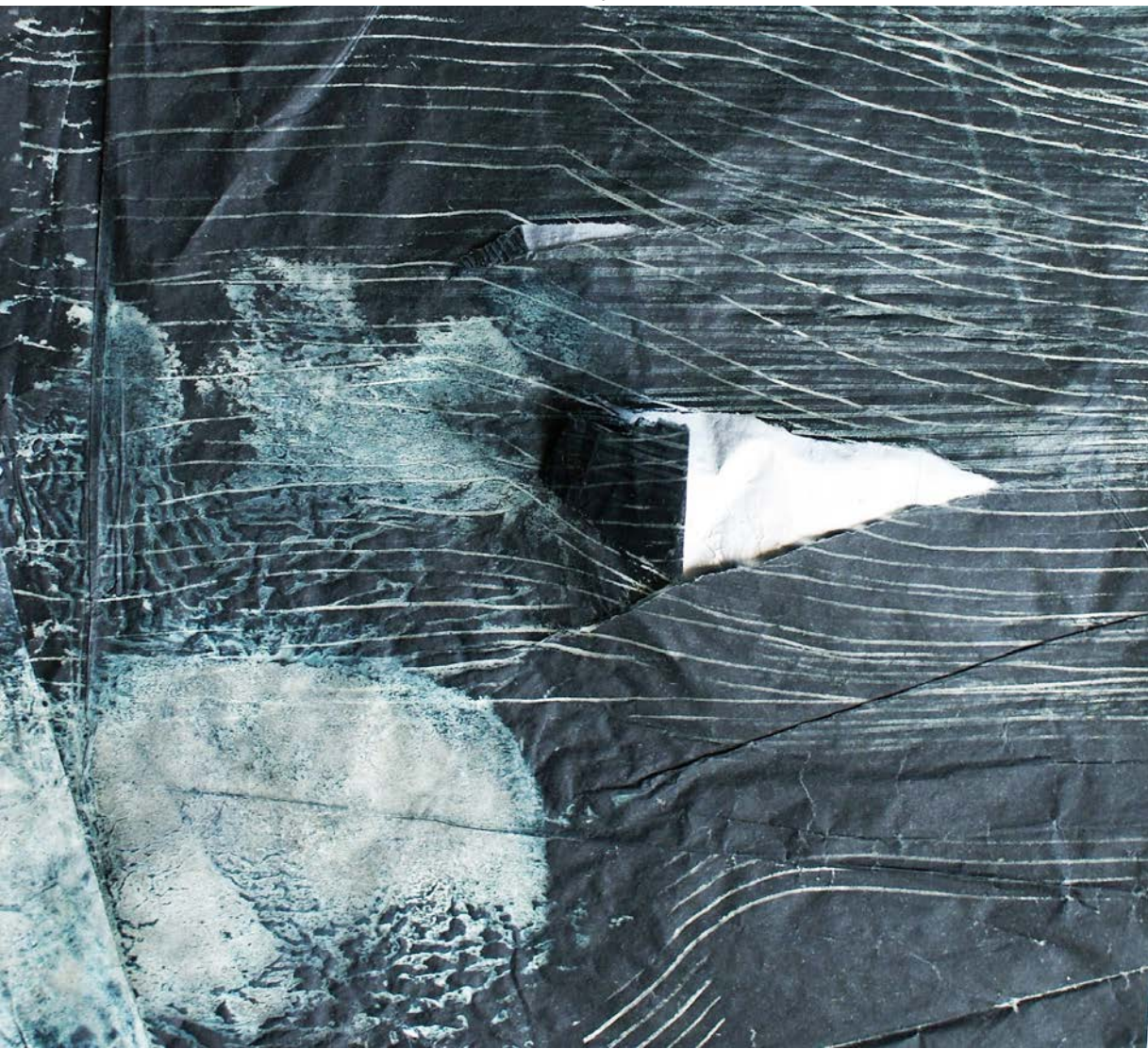
pularną komercyjną bylejąkość, które pozbawiają sztukę jej autentycznego wymiaru przeżyciowego. Świadomość tego faktu, staje się emblematem wyzwolenia możliwemu dzięki sztuce na drodze usamodzielnienia się jej wartościowych wytworów i powracają do podmiotu na nowo go konstytuując w duchu wiecznej przemiany.

Alienacja i samowystarczalność jako bolączki XXI wieku, to ważne przemyślenia, jakie towarzyszą tej próbie poetyckiej umiejscowionej w laboratorium sztuki. Trzeba przewartościować myślenie, od podstaw, zweryfikować zasłyszane opinie, na nowo odkryć prawdy najprostsze i najbardziej oczywiste, dokonać (trans)fuzji znaczeń w dziedzi-

nę tekstu, który już sam sobie nie wystarcza, stając się swoim własnym zaprzeczeniem, „negacją negacji”. Okazuje się, że aksjomaty, które dotychczas były pewne jak średnio-wieczne powszechniki już nie mieszczą się w dziedzinie *constans*. Również nieśmiertelność nie jest czymś stałym w tej poezji, ciągle się aktualizuje i wiąże się z w tajemniczeniem, doświadczalnym poznaniem dziedziny cierpienia. A wszystko po to, aby odnaleźć zagubioną tożsamość, znów odpowiedzieć na pytanie, kim jestem?

Agnieszka Złota

Aleksandra Jakubczak, *Puenta*, technika własna, 7 x 7 cm, 2012



Aleksandra Keller

„ZE SZKŁA” – ZBIÓR WIERSZY WIESŁAWY OWCZAREK

„ciągle mi mało tego bezmiaru
 (...) zielonobłękitnej otchłani
 taka sama jest we mnie(...)”

Fragment wiersza *Morze*

Szkoło jest chłodne, szkło jest przezroczyste, pozwala przyglądać się światu zza kruchej opończy stopionego kwarcu. Pozwala na obserwację i jednocześnie odgranicza to, co wewnątrz od tego, co poza. Z materiałów wymyślonych przez człowieka jest najbliższe prawdzie oka. Nadaje formę rzeczom bezkształtnym. Zadziwiająca jest ta zgodność formy, której poddaje się masa – zaskakująca jest ta zgodność kształtu wiersza, któremu poddają się słowa w zbiorze Wiesławy Owczarek.

Poetka zręcznie, by nie rzec na wyrost, że kunsztownie operuje wersem i strofą. Żongluje metryką, dzieli przerzutnią (***) [unoszę dłoń do góry]). W strukturze wiersza przykuwa uwagę ogromna rozpiętość formy – od dystychu po wiersz zwarty, jednolity, bez wyraźnego podziału na zwrotki. I wreszcie od wiersza nieregularnego po konstrukcyjnie misterny sonet (*Śnieg*). Wydaje się, że w każdym ze sposobów ujmowania lirycznej treści czują się swobodnie i lekko, lecz skrzą się *brillant* szczególnie te utwory, w których słowa w wersach poddają się pewnej dyscyplinie rytmu. Wiersz staje się muzyką samą w sobie, brzmi własną melodią, wraca się do niego raz jeszcze i jeszcze, akcenty sensów właściwie wygrywiają się same poprzez regularny układ sylab.

Jest poezja, która porusza przez ból. Musi sprawić przykrość, by zabrzmiała właściwie – poezja epatująca estetyką cierpienia, zbrukania, odrzuty. W tomie *Ze szkła* na próżno szukać tejsze. Spełnia się w kolorach chłodnych, ale jasnych – zieleniach, modrościach, turkusach i błękitach. Tony rozłożone są harmonijnie, splatają się mozaikowo, płynnie niczym zastygłe szkło. Choć to chłodna paleta barw, to jednak towarzyszy im swoista czystość, delikatność

i łagodność. Wiersz staje się ukojeniem dla niepokojów, pozwala urodzić się smutkowi, godzi się ze zwątpieniem i rozczarowaniem. To estetyka bliska parnasistom (debiutujący Leopold Staff czy Antoni Lange, ale też Charles Baudelaire czy Paul Verlaine), gdzie osobiste, bezpośrednie i często dyktowane wzburzonymi emocjami wyznanie ustępuje miejsca wyciszzonej stylistyce opisu natury i siebie w niej. Natura jako główny bohater wiersza zyskuje status równorzędnego partnera dla jednostki ludzkiej, kreują ją i dopełnia. Przez opisy przyrody, uchwycone obrazy i przelotne wrażenia kreśli się portret lirycznego podmiotu – osoby wyważonej, stonowanej, ale pogodnej. To nie jest poezja manifestu ani poezja rewolucyjna. Daleko jej do krzyku, podniosłych hasel, propagandy społecznego utylizyzmu. Nacisk zostaje położony na kunszt wersyfikacyjny, doskonałą rytmizację, panowanie nad budową utworu i dopracowanie najdrobniejszych jego elementów. W ten sposób *Ze szkła* – pomimo intymności wyznań – zyskuje na obiektywizmie i dystansie z niedopowiedzenia. Zawiesza sensy na kilku słowach, bez zbędnego nadmiaru tak znaczeń jak i ekspresji emocjonalnej. Stąd tak duża dbałość o język, jego możliwie najpełniejszą wyrażalność a jednocześnie ascetyczną ilość słownych znaków.

Jednym z przewodnich motywów, które wciąż powracają w wierszach i są realizowane w różnorodnych odsłonach, staje się woda (od deszczu i kałuż, przez śnieg, po bezkres morza). Woda – ten kobiecy żywioł – symbolizuje przemianę, drażnienie skały i nadawanie jej nowej formy, element przyrody niestały, ruchomy, ale także niezwykle energetyczny i życiodajny, a przede wszystkim kreacyjny. Innym, równie

pojemnym toposem staje się podróż, bycie w drodze, dążenie do wyznaczonego celu – najczytelniejsza z metafor życia:

*„w tej poczekalni, którą zwiemy życiem
wciąż siedzimy, bilet mnąc w kieszeni skrycie
i czekając, aż pociąg nadjedzie*

*(...) w jakiejś poczekalni usiądziemy znowu
i nie przyznamy się nigdy nikomu
- nie do tego pociągu wsiedliśmy pośpiesznie.”*
(z wiersza *Podróż*)

Tomik, a właściwie zbiór podzielony jest na osiem części, wewnątrznie spójnych, ale także zająbiających się w obrębie całości. Każda z nich oscyluje wokół wyznaczonego tematu, tj. miłość, piękno świata, wspomniana już podróż, człowiecze wnętrze, przestrzeń miasta, codzienność z jej blaskami i cieniami, wreszcie śmierć i ocalająca wiara. Zawartość tematyczna wskazuje na bliskość wiersza wobec tego, co zostało stworzone na ludzką miarę umysłu i serca. Nic więcej i nic mniej.

Przewidywalność treści tylko pozornie może wydawać się nużąca. Dzieje się tak, ponieważ Autorka wierszy posiada własny patent na wyrażanie myśli. Właściwie w tym tkwi istota pisania – od wieków przepisujemy te same księgi, lecz za każdym razem dodajemy do nich siebie, indywidualne widzenie spraw, indywidualne odczuwanie. Właśnie o tę indywidualność w przewidywalności idzie. Od nowa przeżywamy życie, podzieleni na pokolenia, grupy społeczne, rodzinę i swoje własne, pojedyncze „ja”. Nic nowego się nie zdarzy, mamy tylko siebie i siebie musimy wciąż w wierszu składać od nowa. Poezja ma stwórczą moc.

*„tak, kiedyś staniesz się
tym drzewem,
chmurą,
trawą,
drugim człowiekiem”*
(z wiersza *Staniesz się*)

Aleksandra Keller

Wiesława Owczarek, *Ze szkła*, Częstochowa 2012.

Sławomir Domański

KAFKA NASZ POWSZEDNI*

Tropiąc częstochowskie klimaty literackie, trafiłem na twórczość Rafała Sochy. Autor jest od dłuższego czasu związany z częstochowskim środowiskiem literackim i publikował swoje utwory dla wąskiego kręgu odbiorców dzięki lokalnym projektom wydawniczym. Dziś Socha wydaje dla szerokiego kręgu odbiorców. Jego ogólnopolskim debiutem była książka „Jak zostałem bażantem”, ukazująca w groteskowym świetle wspomnienia autora z półrocznego pobytu w Szkole Podchorążych Rezerwy. „Kredyt na żulę”, antologia opowiadań z lat 2000-2009 wydana przez „Oficynkę”, sięga do początków pisarskiej kariery Sochy. Czy warto zapoznać się z twórczością tego mało znanego póki co pisarza? Bez wątplenia tak!

Jak już napisałem powyżej „Kredyt na żulę” jest przekrojowym spojrzeniem na twórczość autora związanego z Częstochową, choć pochodzącego z położonych niedaleko Żarek. Socha w swoich opowiadaniach odnosi się bezpośrednio do wydarzeń ze swojego życia – pierwsze dotyczą czasów studenckich, potem doświadczenia związane z zawodem nauczyciela przedmiotów zawodowych, a następnie powrót do „magicznego” okresu Szkoły Podchorążych Rezerwy. Biograficzny kontekst nie byłby może niczym wyjątkowym, często to spotykana praktyka i częsta pułapka, gdyż przekonanie o wyjątkowości własnej biografii kończy zbyt często monotonnym epatowaniem drobnymi kłamstewkami na swój temat. U Sochy jest inaczej.

Narrator-Socha jest przeciętnym szarakiem. Daleko temu panu do bohatera romantycznych komedii. Nikt z tym człowiekiem za bardzo liczyć się nie ma zamiaru. Odwrotnie – bohater tych opowiadań ma na czole wypalony magicznym atramentem syndrom ofiary, a to niezbyt dobrze wróży żyjącemu w Absurdowie, bo taką wdzięczną nazwę nosi miejsce akcji – wiele wskazuje, że jest to Częstochowa. Otóż w Absurdowie takim skromnym, spokojnym ludziom pokroju autora-narratora się nie odpuszcza, tylko dlatego, że są spokojni i nikomu nie chcą zawadzać. Właśnie tacy są tutaj na widelcu, bo taki się ani nie odszczeknie, ani tym bardziej nie ugryzie, tylko pójdzie regulaminowo przez kaźń przełożonych, organów i instytucji. Byle prostak, byle cham jest w lepszej sytuacji od grzecznego, spolegliwego Polaka-szaraka.

Świat Sochy balansuje na krawędzi absurdu. Przechodzenie od realizmu do schizoidalnych zawirowań dzieje się tutaj niemal niezauważalnie. Bohater z zupełnie zwyczajnej sytuacji przechodzi do labiryntu, który staje się jego więzieniem. Ten świat jest tylko delikatnie wykrzywiony, ale jednocześnie jest obserwowany zza zdeformowanej szyby, której, tęskniący za normalnością bohater, nie jest w stanie sforsować. Często pojawia się opinia, że człowiek szczęśliwy to taki, który wyzbył się pragnień i potrafi zadowolić się drobiazgami, tym co ma. Z bohaterem Sochy jest tak, że on wiele nie pragnie, chciałby spokojnie dotrzeć do domu, spędzić tydzień w górach, przeprowadzić lekcje, ale każda z tych czynności urasta do rangi wspinaczki na ośmiotysięcznik. Absurdowo jest krainą, gdzie wszystko dzieje w zgodzie z biblijną zasadą „Każdemu bowiem, kto ma, będzie dodane, tak że nadmiar mieć będzie. Temu zaś, kto nie ma, zabiorą nawet to, co ma” (Mt 25:14-30). Tak jest w Absurdowie.

Bohater Sochy to Kafka nasz powszedni, zwykły i siermiężny. Oniryzm tego świata jest naznaczony banałem codzienności, a bo-

hater-narrator zakręcony obsesyjnie wśród groteskowych rekwizytów takich jak „kompresorek”, który przewija się w większości tekstów. Takie też są te opowiadania. Cały tom przypomina koncept album, gdzie motywy i wątki przeplatają się ze sobą, tworząc wrażenie zamkniętej całości. Taki zabieg pogłębia perspektywę absurdalnego labiryntu. „Kredyt na żula” ma słabsze momenty. Autor niekiedy zwyczajnie przegina, jego skatologia potrafi przybierać prostackie formy i to dużo psuje, kierując tę prozę w stronę pornografii. Tanie chwytły nigdy nie popłacają, ale „Nobody’s perfect” jak powiedział klasyk. Spuszczam zasłonę miłosierdzia na erotyczne popisy Sochy w nadziei, że obsesje autora stanowiąc będą w dalszym ciągu pożywkę dla ciekawego i oryginalnego piarstwa.

Sławomir Domański

* *Tekst ukazał się także na stronie: <http://lubimyczytac.pl/oficjalne-recenzje-ksiazek/5271/kafka-nasz-powszedni>*

Rafał Socha, *Kredyt na żula*, Gdańsk 2014, ss. 452.

Małgorzata
Nowakowska-Karczewska

JÓZEF WITTLIN

/1896 – 1976/



(foto: <http://culture.pl/pl/tworca/jozef-wittlin>)

Przyjaciele skamandryci, Tuwim choćby, zazdrościli mu ogromu ducha i potężnego intelektu, on im łatwości pisania, sam bowiem, w nieustannym poszukiwaniu doskonałości („/.../ mania ulepszania nie opuszcza mnie/.../”), lat kilkadziesiąt nawet czytelował własne utwory. Kochał życie, potrafił, święty poczciwiec, jak go nazywano z racji nadzwyczajnej szlachetności i franciszkańskiej wręcz prostoty, odkryć wartość i piękno we wszelkich jego przejawach.

„/.../O jakżeż piękne są powszednie dni,
W których się człowiek mozoli
W pocie czoła i krwi.
O jak rozkoszne jest wszystko, co boli.
O jak cudowne są bezsenne noce, pełne
słodczy i łez.

O jakżeż pachną na wiosnę owoce
I mokry, poranny bez /.../”,

a jednak lata całe zgłębiał, usiłując oswoić, problem śmierci, która od czasu przedwczesnego zgonu matki, nieustannie czaiła się przy nim. „Własna śmierć nie jest klęską, ale ostatecznym celem, przystanią, darem, nagrodą, na którą trzeba zapracować /.../”.

Wielki indywidualista (Lew), esteta i marzyciel uwielbiał koty i klasyczną muzykę („Ze wszystkich sztuk najbardziej oddziaływa na mnie muzyka /.../”), do przesady nie znosił wszelkich hałasów (w pokoju tolerował jedynie stuk maszyny do pisania i cichy dźwięk patefonu). Fascynowały go mosty („Słabość do mostów została mi jeszcze z dzieciństwa”), te bowiem – wedle starych wierzeń – prowadzić mogły do innych światów, a takie tajemnice pasjonowały poetę przez całe życie. Bał się natomiast złych snów, o rybach choćby, takowe zwiastować miały chorobę, czego, hipochondryczny nieco – od dzieciństwa wszak słabego zdrowia - Józef zawsze się obawiał. Koledzy po piórze (Hemar) łagodnie podkpiwali z tej jego słabostki.

„Nie mogę, rzekł rumiany, lecz osłabłym
głosem.

Mam korektę i grypę /.../
Gdy grypa – obowiązkim, korekta
– chorobą,
Królu neurasteników, korzę się przed tobą”.

Lwowianin (nie z urodzenia wprawdzie, ale tam, na Łyczakowie dorastał) zachował w najczulszych wspomnieniach swoje miasto. „Po całym świecie prześladują mnie /.../ zapachy lwowskich cukierni, owocarni, handlów kolonialnych, sklepów z herbatą i kawą /.../”). Całe życie był blisko Boga –

„Boże poranków, zmierzchów i wichury,
Ojczy niebieski!
Ja, Józef Wittlin, z pokolenia Judy,
staję przed Tobą w nagości mych grzechów,
żeby niegodnymi ustami wybełkotać
Twą wielkość /.../” –

katolikiem został w pięćdziesiątym siódmym roku życia, na chrzcie przyjął imię Franciszek.

Pochodził Wittlin z ziemiańskiej od pokoleń rodziny żydowskiej (o bogactwie jego pradziada, który w licznej asyście służby wyprawiał się pono co roku do Karlsbaldu, krążyły nawet legendy), ale rodzice poety, Karol (/.../ „entuzjasta postępu i wynalazków /.../”) i Elżbieta z Rosenfeldów, własnego majątku już nie posiadali. Dzierżawili jedynie niewielki Dmytrów na Podolu i tu właśnie Józef przyszedł na świat, i spędził pierwsze lata życia na wsi („/.../ wychowałem się na wsi i poznałem liczne sekrety przyrody /.../”). Beztrioskie dzieciństwo dość szybko minęło. Choroba matki, skutkiem której rodzina zmuszona była przenieść się do Lwowa, a wkrótce jej śmierć sprawiła, że na całym życiu Józefa położył się cień smutku. Osierconym, słabowitym dzieckiem zajęła się początkowo siostra matki, kochana wprawdzie Loduleczka, jak ją nazywał siostrzeniec, ale bolesne wspomnienie matki, która za wcześnie odeszła, powracało.

„/.../ Ręce mi słabną, już czuję: krok
w krok przybieża ku mnie.
Podnieś mnie teraz, usiadę na chwilę jedną,
jedyną,
Jeszcze cię widzę i słyszę, dotykam
i wdycham, mój synu.../.../”.

Potem chłopiec zamieszkał z ojcem (na lat ledwie parę, bowiem i Karol wkrótce zmarł) i jego drugą żoną Różą, aktorką dramatyczną. Edukację zaczął w gimnazjum humanistycznym przy ulicy Sokoła (stąd jego później biegła znajomość łaciny, greki i kilku innych języków), ale początkowo nudził się w szkole, choć, jak wspominał, nauczycieli miał wspaniałych. Nie dzieła Homera, które towarzyszyły mu potem niemal całe życie (trzykrotnie w ciągu wielu lat przełożył „Odyseję”, publikując coraz doskonalsze wersje) czytywał na wagarach, które lubił był spędzać w wytwornej (całe życie esteta)

poczekalni lwowskiego dworca, ale powieści kryminalne. Poprawił się dopiero w starszych klasach, rozsmakował się w literaturze, pokochał teatr („Mieliśmy w tym czasie we Lwowie wspaniałą teatr”), sam nawet zaczęła pisywać pierwsze, typowo młodzieńcze „melancholijne, patetyczne wiersze o cmentarzach /.../” lub nieudane dramaty, naśladowane wielkich mistrzów – szukał swojej drogi.

Tymczasem wybuchła wojna i młodziutki Józef wstąpił ochotniczo do Legionu Wschodniego, a gdy ten rychło, za odmowę przysięgi na wierność cesarzowi Franciszkowi Józefowi został rozwiązany, wyjechał do Wiednia. Zdał tam maturę i rozpoczął studia filozoficzne i językoznawcze. Początkowo, oszołomiony urokiem Wiednia, zafascynowany literaturą niemiecką (tłumaczył Rilkego), nie odczuwał nawet, że na świecie szaleje wojna („Życie i sztuka działały na mnie jak narkotyk/.../”), kiedy jednak coraz częściej docierać zaczęły wiadomości o śmierci kolegów na froncie, postanowił, wraz z serdecznym przyjacielem, pisarzem Josephem Rothem, zaciągnąć się do armii. „Uznaliśmy, że w czasie wojny jedynym miejscem właściwym dla poetów jest służba na linii. Tam tylko można było zdobyć wiedzę o życiu i śmierci. Nawet, gdy jest się pacyfistą”. Wcielony został do 21 batalionu feldjegrów stacjonującego w Wiedniu („Kwitły tam bezduszność i tępota, a wulgarność była niemal towarzyskim obowiązkiem.”), a potem, za ustawiczne mówienie po polsku, karnie przeniesiony do etapu w Kraśniku. Był prostym żołnierzem, któremu przyszło doświadczyć całego zła, jakie niesła wojna, poniżenia, strachu, grozy śmierci.

„/.../ Widziałem, jak okropnie wyglądają
trupy,
Widziałem, jak straszliwie zimne groby
są /.../
Słyszałem, jak przeciągle lamentują matki,
Kiedy ich synów kładą w ciemny grób /.../”.

Wyruszyć na front włoski ze swoim marszbatalionem nie zdołał, zachorował na szkarlatynę, co w dobie bez antybiotyków było niezwykle niebezpieczne. Wiele miesięcy spędził w różnych lazaretach, najpierw walcząc o życie, potem przechodząc długą rehabilitację.

„/.../ Siedem długich miesięcy leżałem
złamany chorobą,
Siedem długich miesięcy boleść mi rwała
wnętrznosci/.../”.

Dużo czytał. Ponurą szpitalną codzienność łagodziły zwłaszcza dzieła, niedocenianego ongi przez sztubaka Józia, Homera. Kilka pieśni „Odysei” przełożył wówczas polskim heksametrem.

„Tobie dziś gładzę, Homerze –
wydarty szkolnym wypisom,
za ciebiem niegdyś w karczerze
siedział i bluźnił Odysom.
Płynęły łzy/.../”

Żołnierzem frontowym nie został, do końca wojny pełnił służbę na tyłach, przydzielony jako tłumacz do obozu jeńców włoskich. Do Lwowa wrócił wyczerpany, rozczarowany, pełen zwątpień, które na długie lata nie pozwoliły mu odnaleźć spokoju ducha, wiary w człowieka.

„/.../ Serce mam strute –
Dajcie mi rychło cykutę.
Zapomnieć chcę moich dni/.../”.

Podjął studia, ale kolejne dramatyczne wypadki zmusiły go do ich przerywania, wybuchła bowiem okrutna, pół roku trwająca wojna polsko-ukraińska, potem polsko-bolszewicka. Wojenne wspomnienia stale odtąd prześladowały Józefa.

„Jeszcze jest we mnie krzyk ginących
batalionów
I pamięć z trzaskiem rozwalonych tronów.
Jeszcze mam w płucach gaz i proch, i pożar
Świata, co w gardle każde słowo dławi.

Jeszcze mi czarny dzień jak zмора
Leży na piersi/.../”.

Zmagał się z sobą, szukał nadziei, jeszcze wierzył w siłę poezji.

„/.../Jeszcze mi czarny dzień, jak czarna
zмора
Leży na piersiach – a już wieczność głośnie:
Dzisiaj jest czyściec – piekło było wczoraj,
O posłuchanie was proszę /.../”.

Wydany w poznańskim Zdroju cykl hymnów (wśród nich najbardziej, z racji oryginalnego tytułu, znany „Hymn o łyżce zupy”), był wyrazem wielości uczuć przepelniających wówczas poetę.

„Ja ci chcę dać łyżkę ciepłej zupy,
Zamarznięty w obcej ziemi bracie,
Co się wlokłeś przez trzy długie zimy,
Coś wędrował przez trzy skwarne lata
Obszarami nieobeszłych pól –
I szedł, i szedł /.../
Aż wypita cię łąkająca śmierć /.../”.

Próbował zrozumieć (co trudne dla na ogół „irracjonalnej mentalności” poetów) sens wojen, próbował przeniknąć i grozę, ale i jakiś niesamowity urok śmierci, tak kuszący dla wyobraźni (szkic „Wojna, pokój i dusza poety”). Powoli wracał do życia. Studiował, czas pewien pracował jako nauczyciel języka polskiego w lwowskich gimnazjach, by w końcu wyjechać do Łodzi, gdzie na krótko został (przypomniało się niegdyś pragnienie zostania dramaturgiem) kierownikiem literackim w tamtejszym teatrze. Czas nadal pochłaniał mu przekład „Odysei”, której pierwsze wydanie poprzedził długą przedmową. „/.../w opowieści o Ulissiesie – wyjaśniał czytelnikom sens swoich wieloletnich już przemyśleń – widzę boskiego męczennika, symbol naszej wykołonej, cierpiącej, nieoświeconej ludzkości, prowadzonej przez ślepe przeznaczenie i nieumiejącej po omacku znaleźć drogi do domu”.

Zwyczajne życie kuśiło coraz mocniej.

„Chcę zaznać pieśczoł niewieściego ciała” – marzył Józef i to pragnienie spełniło się. Nie był może okazem męskiej urody (niewysoki, drobny, łysiejący), ale ujmującym uśmiechem i melancholijnym spojrzeniem oczarował piękną polonistkę, Halinę Handelsman, która została jego żoną.

Czas jakiś po ślubie Wittlinowie przenieśli się do Warszawy. Sympatycznego dziwaka o gołęmbim sercu, zatroskanego ciągle o własne zdrowie (choć czasem zdarzało się, że sam podkpiwał z podszeptów „muzy Hipochondrii”, która nieco zatrzymała mu życie) pokochali skamandryci. Tuwim i Słonimski skłonni do żartów wszelakich sparodiowali w jednodniówce „Jadomości literackie” (oczywisty wyraz uznania dla kunsztu twórczego autora) „Hymn o łyżce zupy” („Hymn o ciepłej zupie”). Razem z nowymi przyjaciółmi pod „honorowa lipą”, czyli starym kasztanem w Pawłowicach, manifestował Józef na cześć poezji w czasie pierwszego, zorganizowanego przez Ludwika Hieronima Morstina, zjazdu poetów. Morstin, „/.../szlachetny poeta – obszarnik /.../” w bezchmurne noce bawił też gości opowieściami o gwiazdach (pisał wówczas swą piękną książkę o Koperniku – „Kłos Panny”). „W roku 1928 można było jeszcze z ufnością wznosić oczy ku niebu.” – wspominał po latach Wittlin. Bywał Józef (rzadko) i w Ziemiańskiej, gdzie „/.../urabiano dobrą i złą opinię wszystkim, którzy w jakikolwiek sposób parali się w Polsce literaturą, sztukami pięknymi i teatrem”.

W przytulnym, gustownie urządzonej (obrazy Witkacego, Gottlieba, rysunki Schulza) mieszkaniu w Warszawie Józef nie zawsze mógł spokojnie oddawać się tworzeniu, w pobliżu bowiem było lotnisko. „Chorobliwie wyostrzonym słuchem poznawałem /.../złowrogie ryki i syki zwiastujące katastrofę” (stale spodziewał się kolejnej wojny). Coraz mniej pisał wierszem, coraz częściej prozą („/.../zdałem sobie sprawę, że moim powołaniem jest proza epicka”).

Pracował nad „Powieścią o cierpliwym piechurze”. Miała to być trylogia („Sól ziemi”, „Zdrowa śmierć” i „Dziura w niebie”), wielka saga o wojnie widzianej oczyma prostego żołnierza, „/.../ jakim go widziałem, gdy byłem jego kolegą”. „Sól ziemi” – jedyną ukończoną część cyklu – opublikował Józef po dziesięciu latach pracy. Okoliczności rozpoczęcia wielkiej wojny (tak, jak stworzyła je wyobraźnia autora) wyklądał obszerny Prolog, przedstawiający wyimaginowane spotkanie Franciszka Józefa (który, przeczuwając może tragiczny kres swej monarchii, długo zwlekał z podjęciem decyzji), z ministrami: „/.../widząc zniecierpliwienie rady koronnej, drżącą ręką poprowadził pióro do otwartej, czarnej paszczy kałamarza /.../. Cesarz kładł swój podpis, na który tak długo czekali ministrowie /.../”.

Bohater „Soli ziemi” Piotr Niewiadomski, czterdziestoletni przeszło analfabeta, syn huculskiej wieśniaczki Wasyliny (matka, jak wiele innych Huculek „do późnej starości kurzyła fajkę”) i nieznanego ojca – pono Polaka – był tragarzem (potem krótko dróżnikiem) na małej stacji Topory-Czernielica. Dwadzieścia już lat ładował „/.../ zboże, drzewo, kartofle oraz beczki ze spirytusem, pędzonym w okolicznych gorzelniach /.../”. Miał młodszą znacznie od siebie kochankę, sierotę Magdę Mudryk, siostrę Paraszkę, która gdzieś w mieście trudniła się nierządem i starego psa Basa, mieszańca („Był on jedyną i prawdziwą miłością tragarza Piotra Niewiadomskiego”). Marzył mu się bogaty ożenek, wtedy „Kupiłby na jarmarku zegar z kukułką, pułapkę na myszy, rondle, na oknie stałyby fuksje w doniczkach /.../”. Niezmienną od lat egzystencję niemłodego tragarza przerwała wojna („/.../ stanęła przed Piotrem Niewiadomskim w postaci kaprała żandarmerii Jana Durka /.../”), który odczytał zło-wieszczco brzmiące pismo. Piotr miał się stawić „/.../w stanie trzeźwym, umyty/.../” do przeglądu w Śniatyniu.

Ponure myśli nie opuściły odtąd Piotra, dostrzegał coraz więcej znaków, zwiastujących nieuchronny koniec świata, w którym żył (a to Magda miała koszmarne sny, a to koguty jakoś dziwnie piał, jak się okazało na śmierć papieża, a to nadeszło zaćmienie słońca). Uznano Piotra za zdolnego do służby, chociaż „Miał krzywe nogi, tradycyjną huculską kitę (nieszkodliwą zresztą) tudzież lekką rozedmę płuc /.../” – a i serce zdrowe nie było. Wcielony do pospolitego ruszenia dotarł na Węgry, gdzie żołnierza miał z niego zrobić (jak czynił to już od lat szesnastu z kolejnymi rocznikami) feldfel Rudolf Bachmatiuk, „żelazny zupak kadry”, fanatyk wojskowej subordynacji, szczęśliwy wówczas, gdy „Wąchał słodki odór posłuchu i lęku”.

Bohatera (symbol nieznanego żołnierza), który w zakończeniu sagi poleciał w mundurze włoskiego żołnierza, wspominał zawsze Józef z wielką wdzięcznością. „Dziecko mej duszy /.../ Posługuję się nim, gdy pragnę, żeby moja dusza mówiła”. Przyniosła „Sól ziemi” Wittlinowi uznanie (częste wznawienia, nagrody, tłumaczenia na wiele języków), nawet nominację do Nagrody Nobla, czekano tylko na zapowiadany przez autora ciąg dalszy.

„Powieść o cierpliwym piechurze” nie była jedynym niedokończonym dziełem Józefa. Podobny los spotkał biograficzną opowieść o św. Franciszku z Asyżu, który (potwierdził to konwertyta Józef, przyjmując imię Franciszek) fascynował go całe życie („/.../ tę książkę piszę przez zazdrość. Zazdroszczę Wiekom Średnim, że miały takiego bohatera /.../”). Bywał często w Asyżu, urzekała go panująca tam atmosfera, szukał śladów tego, który „/.../ ślepo, posłusznie, jota w jotę usiłował powtórzyć przykład Tamtego /.../”.

Tymczasem spełniło się kolejne marzenie Józefa – został ojcem.

„/.../Zanim cię ze snu obudzi
Skarga bolesna białych jak ty – ludzi, /.../
Nim poznasz gorycz wszelkiej słodyczy –
Śpij i o niczym nie wiedz”.

kołysał ukochaną jedynaczkę, która imię Elżbieta odziedziczyła po zmarłej babce, a świetlistą urodę po pięknej matce Halinie. Rozpieszczał ją i ojciec, i jego przyjaciele. Tuwim dedykował małej Elżuni zabawny wierszyk.

„W Śpiewowicach, pięknym mieście,
Na ulicy Wesolińskiej
Mieszkał sobie słynny śpiewak,
Pan Traliśław Tralaliński /.../”.

A w kraju narastały nastroje antysemityczne. Wittlin (ale i Tuwim, Słonimski) stał się obiektem drwin, a nawet pogródki publicystów (Jerzy Pietrkiewicz w serii napastliwych artykułów żądał szubienic dla skamandrytów) związanych z obozem narodowym i literatów, jak choćby Gałczyński, który dogryzał:

„/.../Wittlin we włosienicy
przyszedł na pieszo z Nizy,
w drodze karmił się wodą sodową
z sokiem /.../”.

Atmosfera jawnej wrogości niezwykle ciążyła Józefowi.

„Gwoździami, gwoździami złych oczu,
wzgardliwych spojrzeń torturą,
Przybijasz mnie, o publiczna opinio, jak
afisz do muru.
Oczy mych bliźnich, jak szpicle, wszędzie
mnie węższą i tropią /.../”.

Wyjechał do Francji, do Paryża („Tyle tutaj wdzięku, smaku, kultury i szlachetności.”), jak czynił to kilka razy wcześniej, (zabiegała też o to Halina, która chciała oszczędzić mężowi cierpienia). Nieopodal Paryża, w starym gotyckim opactwie cystersów (lubił panującą tam atmosferę spokoju) pracował nad kolejnym tomem „Powieści o cierpliwym piechurze” i tam dopadła go

ny malaise /.../”. Z tęsknoty za młodością, przeszłością, którą nieustannie przywoływał, zrodził się „Mój Lwów”, piękna nostalgiczna gawęda. „Nie urodziłem się we Lwowie, lecz przez dłuższy czas umizgałem się do myśli, że spędzę tam ostatnią, polską jesień mego życia i cichutko sobie tam kiwnę”. Przywoływał ducha dawnego Lwowa. Pamięć ciągle podsuwała wszelkie lwowskie wonie („/.../ a te zapachy są rozkoszne, choć pobudzają do łez /.../”), egzotyką pachniały tam nawet nazwiska, (Stec, Mryc, Kipa, Tępa, Ohly, Kadernożka czy Dokupil), a i zdrobniące imiona (Biziu, Filu, Miku, Dziuniu, Poldziu, no i Józiu oczywiście), miały „egzotyczny kształt”. Przywoływał poeta i ludzi, dzięki którym był Lwów „Różnolity, wzorzysty, olśniewający jak wschodni kobierzec” i miejsca, w których bywał w młodości, ot, choćby lokale późniejszego gatunku, „/.../ szynki z hałaśliwymi orkiestronami, piwiarnie, gdzie spotykali się dorożkarze i nożownicy, i gdzie, z obawy przed gośćmi, co kradną – metalowe kubki były trzymane na łańcuchu, jak psy /.../”.

Czas płynął, umierali starzy przyjaciele, przeżył Józef niemal wszystkich, jemu przyszło pisać piękne wspomnienia o Lechoni, Wierzyńskim, Tuwimie, Grydzewskim. Czuł, że i jego kres nadchodzi. Coraz trudniej było, co konstatował z gorzkim humorem, spoglądać w lustro.

„Już krew znużona w mych żyłach ostyga i własne ciało jest mi obcym ciałem. O, jak mi obrzydł ten stary dziadyga, którym się stałem. Czego ode mnie chce ta pała łysa, którą oglądać przy goleniu muszę?/.../ Trupem za życia sam sobie już cuchnę, więc jak nie tęsknić do wonności raj, gdy sztuczne zęby ze strachu szczękają - nimiz to będę gryzł ziemię – matuchnę?”.

Pozostał czynny i głodny wiedzy, dużo czytał, znał i cenił utwory Gombrowicza, Hłaski, Herlinga-Grudzińskiego, do końca nie zamilkł jako poeta, poeta emigracyjny.

„Dziwaczne gusła czyni,
świat wokół niego robi się coraz bardziej
pusty,
a on na tej pustyni
wolnymi głosi usta
pochwałę wolnych ust”.

Odpływało na zawsze wszystko, co kochał, kończyło się trudne, jak uważał, życie. Zmarł w nowojorskim szpitalu. Może spełniło się i to jeszcze jedno marzenie Józefa.

„/.../ Lecz Ty, o którym chcę wierzyć,
że jesteś,
Poślij tam, gdzie – jeśli ją mam – będzie
moja dusza,
Pocieszyciela Twego – Wolfganga
Amadeusza”.

Małgorzata Nowakowska-Karczevska

Jan Łączewski

ULICE CZĘSTOCHOWY

Ulica Nowowiejskiego – patron tej ulicy pochodził z Warmii. Był muzykiem i kompozytorem. Sławę zapewniła mu muzyka do „Roty” (tekst napisała Maria Konopnicka). Zmarł 20 stycznia 1946 r. Ulica Nowowiejskiego należy do najładniejszych w Częstochowie, znajduje się przy niej kilka restauracji oraz znana i lubiana piwiarnia „Szach”. Część strony nieparzystej to płotek parku, zza którego widać Urząd Miasta znajdujący się przy ulicy Śląskiej. Przy ulicy Nowowiejskiego mieści się również siedziba Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Także my, redaktorzy „Galerii” spotykaliśmy się kilkakrotnie w restauracji „Viking” na spotkaniach roboczych. Ulica kończy się w tym punkcie miasta, gdzie stoi gmach byłego urzędu wojewódzkiego, pamięć dawnych i – jak niektórzy uważają – lepszych czasów naszego miasta. Jako urodzony poznaniak (choć od ponad 50 lat w Częstochowie), wspomnę też, że jedna z cukierni przy tej ulicy zrobiła mi w roku 2013 miłą niespodziankę, sprzedając na uprzednie zamówienia sławne „rogale świętomarcińskie”, którymi zjadają się poznaniacy w dniu świętego Marcina 11 listopada. Zjadłem je po półwiekowej przerwie, chociaż smakowały mi umiarkowanie.

Ulica Księżycowa (krzyżuje się m.in. z Gwiazdą) należy do względnie nowych ulic naszego miasta. Dominującym budynkiem przy Księżycowej jest przychodnia lekarska wyposażona we wszystkie (no, może prawie wszystkie) potrzebne w leczeniu urządzenia i przedmioty. Natomiast żywność i inne produkty codziennego życia ludzi zdrowych kupuje się w prowizorycznych budkach czy ex-samochodach. Ulica Księżycowa robi miejscami wrażenie kurortu. Do-

stęp tramwajem (przystanek „Hala Polonia”) lub autobusami.

Ulica Artyleryjska – sama już nazwa kieruje przechodnia na Stradom, gdzie dawniej były koszary, a większość ulic przypominała o ich istnieniu. Artyleryjska nie jest długa, domy stoją w pewnej odległości jeden od drugiego. Czeka na dobrą przyszłość.

Na Rakowie. Ulice na Rakowie noszą nazwy wybitnych polskich pisarzy (Konopnickiej, Prusa, Sieroszewskiego), rewolucjonistów (Okrzei, Próchnika) i różnych zasłużonych twórców lub działaczy (Zamenhofs, Mochnackiego) itd., ale także m. in. Orłąt Lwowskich. Przez kilkanaście miesięcy raz w tygodniu odwiedzałem na Rakowie jednego z moich przyjaciół. Dzielnica w ostatnich i przedostatnich latach bardzo się rozbudowała, wybudowano wiele bloków z wszystkimi wygodami, ale wielu ludzi narzeka na ciasnotę i hałas, na przykład, gdy sąsiedzi robią jakiś większy remont co powoduje duży hałas. W takich sytuacjach przestałem zazdrościć mieszkańcom bloków – że wszystko mają gotowe, podczas gdy ja, mając swój dom, muszę sam dbać o wszystko. Przed laty byłem też uczestnikiem pogrzebu na rakowskim cmentarzu, gdy zmarł jeden z moich uczniów, którego musiałem uczyć, przychodząc do jego domu, bo chłopak ze względu na kalectwo nie mógł uczęszczać do szkoły. Takich uczniów miałem wówczas czterech. Nie chcę o tym pisać, bo do dziś odczuwam żal.

Ulica Mireckiego – ulica jak kilka na Rakowie. Ta jednak różni się od innych, ponieważ na Mireckiego mieszka człowiek, który był twórcą i organizatorem Literackiego Towarzystwa Wzajemnej Adoracji „Li-TWA” i „Galerii”. Władysław Edward Piekarski był duszą i sercem naszego Towarzystwa. Niech wraca do pełnego zdrowia, a duchowo jest ciągle z nami.

Ulica Jana Henryka Dąbrowskiego – mieści się tu częstochowska siedziba ZUS, także mały skwerek przy kościele św. Jakuba, duża księgarnia w wieżowcu graniczącym z III Aleją NMP. W tym samym budynku ma swoją siedzibę Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater”, z którego gościnności korzysta również Li-TWA. Na parterze kawiarnia. Mijając ulicę Jana Pawła II, biegnie aż do ulicy Dekabrystów. Należy do najstarszych ulic śródmieścia naszego miasta. Dobry widok na Plac Biegańskiego.

Ulica Katedralna – niezbyt długa ulica łączy ulicę Piłsudskiego i dworzec kolejowy z placem przed katedrą. Znajduje się tu kilka różnych sklepów oraz jedna z wystaw stałych częstochowskiego muzeum, zwłaszcza ciekawa stała ekspozycja Dudy Gracza, a obok mała poczta. Od niedawna przez Katedralną jeżdżą miejskie autobusy. Natomiast katedra pod wezwaniem Świętej Rodziny znajduje się na placu obok ulicy Katedralnej.

Ulica Śląska jest równoległa do Nowowiejskiego. Znajduje się na Śląskiej poczta wybudowana w okresie II Rzeczypospolitej prawdopodobnie przez Włochów, a także restauracja „U Sytego” i – co najważniej-

sze – Urząd Miasta Częstochowy, a także kościół ewangelicki pod wezwaniem Wniebowstąpienia Pańskiego. Po drugiej stronie dobra restauracja-kawiarnia. Problemem ulicy Śląskiej jest dziwny niby-cmentarz, niby-nagrobek, niby-hołd dla kilku „zasłużonych” działaczy PPR z pierwszych lat PRL. Prawdopodobnie władze miasta nie bardzo wiedzą, co z tym zrobić, a przecież w tym miejscu mógłby stanąć jakiś piękny postument czy pomnik.

Ulica Jagiellońska – prosta, długa, pełna różnych niespodzianek. Prowadzi od pętli tramwajowej do Szkoły Straży Pożarnej przy ul. Sabinowskiej. Przy Jagiellońskiej mieści się Muzeum Monet i Medali im. Jana Pawła II, którego eksponaty zwiedza się jedynie w grupach i stanowi ono jedno z najbardziej znanych miejsc Częstochowy, ale jest również targ z niemal każdym nadającym się do kupna-sprzedaży artykułem. Natomiast bliżej Stradomia znajduje się wiadukt z niezbyt pięknym widokiem na kolejowe zaplecza. Najczęściej odwiedzanym przez częstochowian miejscem jest zespół handlowy „Jagiellończycy”.

Jan Łączewski

Magdalena Syguda

LEGIONY

Sto lat temu, 19 grudnia 1914 roku, powołano do życia I Brygadę Legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego.

Już przed wybuchem I wojny światowej na terenie Galicji funkcjonowały polskie organizacje paramilitarne (Związek Strzelecki „Strzelec”, Drużyny Strzeleckie), 2 sierpnia 1914 roku Józef Piłsudski otrzymał od władz austriackich zgodę na przeprowadzenie mobilizacji właśnie wśród oddziałów strzel-

kich i już 6 sierpnia złożona z nich Kompania Kadrowa, początkowo pod dowództwem por. Tadeusza Kasprzyckiego, później Józefa Piłsudskiego, skierowała się ku granicy z Królestwem.

16 sierpnia powołano do życia Naczelny Komitet Narodowy, ten z kolei, jeszcze tego samego dnia, utworzył Legiony, których komendantem został gen. Rajmund Baczyński, po nim funkcję tę objął gen. Karol Trzaska-

-Durski. Stale wzrastająca liczba ochotników sprawiła, że rozkazem z 19 grudnia Pierwszy Pułk Piechoty został rozwinięty w I Brygadę Legionów Polskich, którego dowódcą został Józef Piłsudski (od października 1916 roku Kazimierz Sosnkowski). II Brygada Legionów utworzona została na przełomie kwietnia i maja 1915 roku (dowódcy: Ferdynand Küttner oraz Józef Haller), III Brygada 8 maja 1915 roku (dowodzili nią kolejno: Wiktor Grzesicki, Stanisław Szeptycki, Zygmunt Zieliński, Bolesław Roja).

WYZWOLENIE AUSCHWITZ

70 lat temu, 27 stycznia 1945 roku, żołnierze 60. Armii Pierwszego Frontu Ukraińskiego Armii Czerwonej wyzwolili 7 tys. więźniów niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Z racji tej rocznicy należy przypomnieć kilka najważniejszych dat i faktów z działalności obozu.

Po zakończeniu działań militarnych w 1939 roku Oświęcim został włączony do III Rzeszy pod nazwą Auschwitz. Jeszcze w tym samym roku powstał pomysł utworzenia tam, na terenie byłych polskich koszar, obozu koncentracyjnego. Miejsce wydawało się dogodne, gdyż w tamtejszych budynkach można było od razu umieścić więźniów. 27 kwietnia 1940 roku Heinrich Himmler wydał rozkaz utworzenia w Oświęcimiu obozu mającego pomieścić około 10 tys. ludzi. Komendantem obozu mianowany został Rudolf Höss, który dotarł do Oświęcimia pod koniec kwietnia 1940 roku, wraz z pięcioma SS-manami, by poczynić konieczne przygotowania do otwarcia obozu. Pierwszymi więźniami Auschwitz byli niemieccy kryminaliści sprowadzeni z KL Sachsenhausen

20 maja 1940 roku. Osadzono ich w bloku nr 1 obozu oświęcimskiego i przydzielono im numery od 1 do 30. Więźniowie ci otrzymali stanowiska funkcyjnych, sprawowali bezpośredni nadzór nad pozostałymi więźniami. Dnia 29 maja 1940 roku odkomenderowano do Oświęcimia z obozu koncentracyjnego w Dachau grupę 39 więźniów – Polaków, tzw. komando zewnętrzne (Aussenkommando), którego zadaniem było zbudowanie pierwszego prowizorycznego ogrodzenia obozu. Za początek funkcjonowania obozu uznawana jest data 14 czerwca 1940 roku, kiedy to z więzienia w Tarnowie przybył pierwszy transport polskich więźniów politycznych w liczbie 728 mężczyzn. Więźniowie zostali oznaczeni numerami od 31 do 758 i umieszczeni na okres kwarantanny w budynku dawnego Polskiego Monopolu Tytoniowego. 1 marca 1941 roku Himmler odwiedził obóz w Oświęcimiu, po obejrzeniu całego obszaru wydał rozkaz rozbudowy obozu do takich rozmiarów, aby można w nim było pomieścić 30 tys. więźniów, podjął również decyzję o utworzeniu nowego obozu we wsi Brzezinka dla 100 tys. radzieckich jeńców wojennych. Już w lipcu tego roku przybył do Oświęcimia pierwszy transport liczący kilkuset radzieckich jeńców wojennych. W ciągu kilku dni większość z nich została zamordowana.

W marcu 1942 roku zaczęły napływać do KL Auschwitz transporty Żydów ze Słowacji i Francji, później także z Holandii, Belgii, Niemiec, Norwegii, północnej Polski i Litwy. KL Auschwitz stanowiło miejsce izolacji oraz stopniowej i masowej eksterminacji więźniów, ze względu na złe warunki żywieniowe oraz mieszkaniowe, a także pracę ponad siły duży odsetek więźniów stanowili ludzie chorzy i niezdolni do pracy. W obozie przeprowadzane były selekcje mające na celu pozostawienie przy życiu tylko tych więźniów, którzy mogli nadal pracować. Dzieci, kobiety ciężarne, położnice oraz ludzie starych zabijano jako nieprzydatnych.

Osoby wybrane podczas selekcji były zabijane dosercowym zastrzykiem fenolu bądź też gazem trującym.

Około 20 marca 1942 roku uruchomione zostały w Brzezince komory gazowe w specjalnie w tym celu przerobionym wiejskim domu, tzw. bunkrze nr 1. Zwłoki zabitych grzebano w masowych grobach, a po każdej takiej akcji osoby zajmujące się pochówkiem również zabijano zastrzykami fenolu, chcąc zatrzeć wszelkie ślady zbrodni. Po pewnym czasie utworzona została specjalna drużyna składająca się z więźniów-Żydów (Sonderkommando), która zajmowała się przenoszeniem zwłok oraz późniejszym ich grzebaniem. Komory gazowe w bunkrze nr 2 uruchomione zostały 30 czerwca 1942 roku.

26 marca 1942 roku przybyły do obozu macierzystego pierwsze więźniarki w liczbie 999. Transport ten pochodził z KL Ravensbrück. Tego samego dnia przybył również transport 999 Żydówek ze Słowacji. W związku z tymi wydarzeniami datę tę można uznać za datę powstania oddziału kobiecego w KL Auschwitz. Pierwszych więźniów osadzono na terenie Brzezinki 1 marca 1942 roku, natomiast pierwsze więźniarki, przebywające do tej pory w obozie męskim w Oświęcimiu, przeniesione zostały do Birkenau około 6 sierpnia 1942 roku.

W lutym 1943 roku zorganizowano obóz rodzinny dla Cyganów, w lipcu utworzono obóz męski, a także obóz szpitalny dla więźniów. We wrześniu tego samego roku zorganizowany został tzw. obóz rodzinny – Theresienstadt – dla Żydów z Teresina (Czechosłowacja). Wiosną 1944 położono tory kolejowe, które ciągnęły się z dworca towarowego w Oświęcimiu do zbudowanych już wcześniej komór gazowych i krematoriów.

Likwidacja KL Auschwitz przebiegała stopniowo. Wyzwolenie Majdanka rozpoczęło w historii obozu oświęcimskiego okres zacierania śladów zbrodni – akta obozowe były sukcesywnie niszczone, a więźniowie,

jako naoczni świadkowie, mordowani. Na początku listopada 1944 roku na wyraźne polecenie Himmlera zrezygnowano z trucia ofiar gazem. Władze obozowe starały się przekonywać, że w obozie nigdy nie przebywały kobiety oraz jeńcy radzieccy. Krematoria II i III zostały wyłączone oraz zdemontowane, 20 stycznia pozostałości po krematoriach wysadzono w powietrze. Przed ewakuacją spalono 5 – 6 tys. chorych więźniów. W ostatniej chwili, bo 18 stycznia 1945 roku, ok. 58 tys. więźniów ewakuowano w głąb Niemiec, wielu z nich zginęło w drodze.

Warto przy tej okazji wspomnieć o wyzwoleniu Żydów przebywających w czasie wojny w częstochowskich obozach Hasagu, które miało miejsce w nocy z 16 na 17 stycznia 1945 roku, a więc dziesięć dni wcześniej niż wyzwolenie KL Auschwitz. Z zatrudnionych w obozach pracy więźniów oswobodzenia doczekało 5200 osób. Wcześniej około 15 – 16 stycznia Niemcy przeprowadzili ewakuację około 3 tys. więźniów z Częstochowy do obozów koncentracyjnych w Rzeszy.

Literatura:

1. D. Czech, *Kalendarz najważniejszych wydarzeń z dziejów KL Auschwitz*, [w:] *Auschwitz 1940-1945. Węzłowe zagadnienia z dziejów obozu*, red. W. Długoborski i F. Piper, t. V, Oświęcim-Brzezinka 1995.
2. I. Strzelecka, *Pierwsi Polacy w KL Auschwitz*, „Zeszyty Oświęcimskie”, 1983 nr 18, s. 5-144.
3. J. Kosiński *Niemieckie obozy koncentracyjne i ich filie*, Stephanskirchen b. Rosenheim [1999].
4. *Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945. Informator encyklopedyczny*, red. C. Pilichowski, Warszawa 1979.
5. C. Madajczyk, *Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce*, t. II, Warszawa 1970.

Magdalena Syguda

Maciej Skalik

35 LAT TIE BREAK – FOTORELACJA

[28 grudnia 2014 r.]





Elżbieta Jolanta Gola

ZA NAMI

Nie ma już zielonej bramy i mojej kamienicy przy ulicy Jasnogórskiej. Nie ma już wtorków z "Małą prozą i siedmioma fotografiami". W naszej pamięci pozostanie klimat tamtych spotkań. Spotkań miłośników dobrej literatury oraz niezwyklej zdjęć z różnych miejsc ziemskiego globu.

Ostatnie wieczory wypełniła twórczość Witolda Gombrowicza, Ernesta Hemingwaya i Trumana Capota. Do niezapomnianych zaliczyć można spotkanie muzyczno-literackie poświęcone Bułatowi Okudźawie. Z czarnych płyt popłynęły piosenki śpiewane charakterystycznym głosem Bułata, a słuchacze, zerkając w przygotowane teksty, nucili: „Wybaczcie piechocie”, „Modlitwę – Francois Villon”, „A jednak żal”, „Balonik”. Darek Gawroński zaśpiewał niebywale melodyjną, ukraińską pieśń, akompaniując sobie na gitarze, a wspomniane przez niego tamtejsze toasty zapadły nam na długo w pamięć: „Niech jak najdłużej rosną drzewa na nasze trumny”, choć nieco złowieszczo brzmi, to jednak niesie nutę optymizmu...

Zachęcony tematem spotkania przybył do kawiarni mężczyzna z gitarą, by zaśpiewać zebranych kilka mniej znanych piosenek Okudźawy i podzielić się swoją pasją.

Fani, a właściwie Przyjaciele, niezawodnie zapęfniali krzesła i fotele „słodko-gorzkiej” kawiarni przy ulicy Kilińskiego 5. Przychodzili, by posłuchać świetnych interpretacji tekstów czytanych po mistrzowsku przez Olę Wiewiórę – redaktor naczelną „Galerii”, Bogdana Knopa – Prezesa Literackiego Towarzystwa „Li-TWA” oraz pomysłodawcę i reżysera spotkań – Janusza Mielczarka, który jak Czarodziej z Oz władał słuchaczami, tworząc magię chwili.

Zanurzaliśmy się w biografie i twórczość

mistrzów, w czym wspierała znaczne grono Małgorzata Nowakowska-Karczewska. Delektując się barwnymi życiorysami pisarzy, ponownie mogliśmy stwierdzić, iż każdego człowieka kształtuje dzieciństwo, dom rodzinny i doświadczenia młodości.

Wielu z nas właśnie podczas tych wieczorów poznało prozę Babla, barwny życiorys Hłaski, ciekawostki z życia E. Hemingwaya, T. Capota. Odnalazło w pamięci piosenki Bułata Okudźawy.

Każdy wieczór dostarczał prócz uczy dła ucha doznań wzrokowych za sprawą kapitalnych zdjęć doświadczonych i nagradzanych fotografików począwszy od fotografa i pisarza – Janusza Mielczarka, fotograficzne reportaże z całego świata – lekarza i podróżnika – Krzysztofa Muskalskiego, fantastyczne portrety Marcina Szpondrowskiego po interesujące fotografie poety – Macieja Skalka reprezentującego najmłodsze pokolenie. W naszej pamięci pozostaną portrety Małgorzaty Kozakowskiej i dokumentacja z podróży na Syberię Dariusza Gawrońskiego, której towarzyszyła barwna opowieść; wnikliwość Jacentego Dędko – reportera National Geographic, który zawsze przygotowuje się do zdjęciowej sesji. Będziemy wspominać opowieści Jacka Koniecznego z uwiecznionych okiem aparatu różnych stron świata.

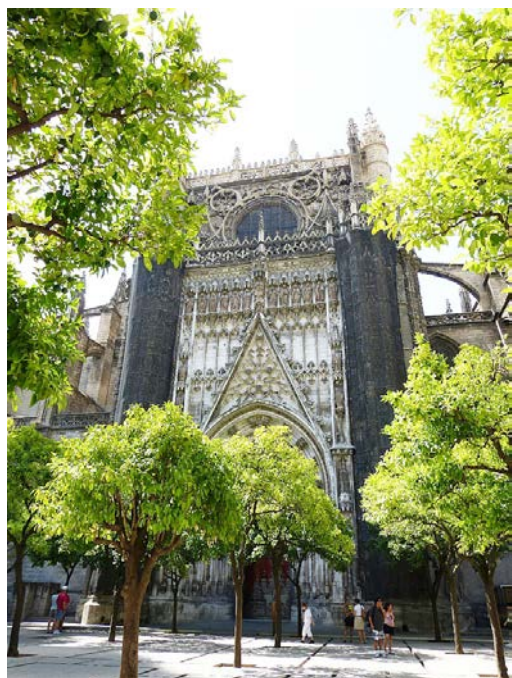
Perfekcyjna realizacja i znajomość fotograficznego środowiska Janusza Mielczarka zaowocowały cyklem spotkań i stworzyły zaulek szczęśliwych godzin. Jaka szkoda, że to już za nami... i „niech jak najdłużej rosną drzewa...”.

Elżbieta Jolanta Gola

Agnieszka Jarzębowska

SEVILLA – STOLICA ANDALUZJI

Sevilla – stolica Andaluzji - miasto słynnych oper, wspaniałych parków oraz kolebka wypraw morskich Hiszpanii na przełomie XV i XVI wieku. Zwiedzamy Park Marii Luisy, miejsce słynnej Wystawy Iberoamerykańskiej z 1929 roku - zachwycający Plac Hiszpański, katedrę Najświętszej Marii Panny. Gorąco, ale cóż to dla zwiedzaczy. Kiedy wyjeżdżamy, jest 42°C...



To, że Katedra Najświętszej Marii Panny jest jednym z najwspanialszych gotyckich kościołów na świecie, że powstała na miejscu meczetu z XII wieku, że pozostawiony minaret, Giralda o wysokości blisko 100 m, wkomponowano w bryłę kościoła, uzupełniając o dzwonnice a we wnętrzu znajdują się kaplice – Capilla Mayor i Capilla Real, chór i grobowiec Kolumba, da się wyczytać



tu i ówdzie. Ale że Kolumba jest w grobowcu jakieś 15% , bo więcej się napodróżował po śmierci niż za życia, to już nie wszędzie podają. Skąd wiadomo, że 15%? Ano zrobiono badania..., a materiał genetyczny był, gdyż w Katedrze pochowany jest syn Kolumba (wcale nie dlatego, że syn Kolumba, tylko dlatego, że dobroczyńca świątyni i filantrop). No a Kolumb nie bardzo chciał być pochowany w Hiszpanii, to i ma grobów parę na świecie i one ponoć także zawierają autentyczne szczątki (choć badań podobno nie czyniono)... (podają za panem przewodnikiem po Hiszpanii).

Minaret Giralda pozostawiony w Seville doczekał się sporej awantury, której echa nie dotarły do Polski a związane były z tym miejscem i naszym papieżem.

Otóż w wielu miejscach na świecie daje się wejść na wieżę w celu podziwiania widoków. Tu także. Z tym, że zwykle wchodzimy po schodach a tu schodów nie ma, w przeszłości wchodził na wieżę nawet osiołek, który wwoził muezina na szczyt – trzydzieści parę poziomów.

Papież wszedł na poziom 2, (tam znajduje się balkon widoczny na jednym ze zdjęć) i Jan Paweł II przemówił do zgromadzonych na placu. Muzułmanie, których jest w Hiszpanii całkiem sporo, podnieśli larum, co zostało odnotowane szeroko w hiszpańskich gazetach i w opowieści naszego przewodnika jako ciekawostka.

Nie mniej interesujące jest wnętrze katedry z największym na świecie ołtarzem. Piszczalki organów mają od kilku centymetrów do długości wagonu kolejowego.



A oto parę kadrów z pobytu w tym pięknym mieście, obrazów zatrzymanych na chwilę. Chwilę, która była. Niech piękne chwile zamieniają się w małe wieczności... Do kolejnych wakacji.

Aha, w języku hiszpańskim podwójne „l” czyta się jak „j”... (czyli Sevija).

Agnieszka Jarzębowska





NOTY O KSIĄŻKACH



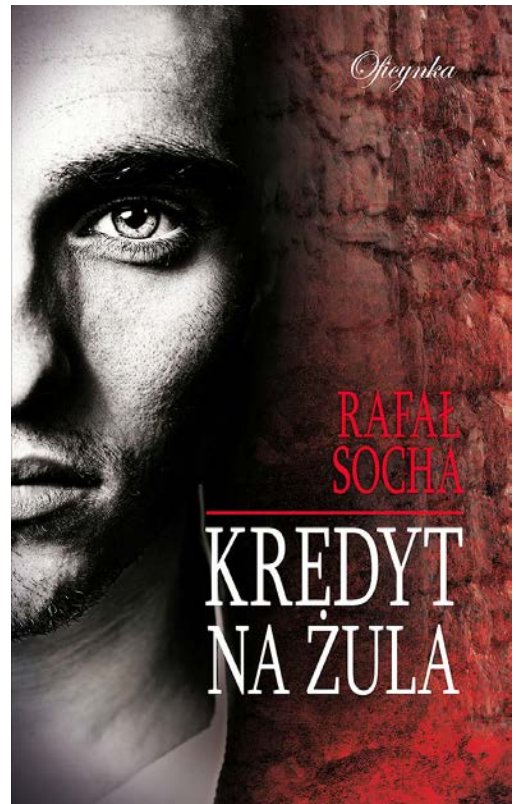
Barbara Strzelbicka, *Czułość*, wyd. Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego, Częstochowa 2015, ss. 116.

[Ze wstępu prof. dr hab. Elżbiety Hurnikowej]: [...] „Czułość” [...] to tytuł ze wszech miar trafny; potrzeba czułości, także potrzeba jej ciągłego definiowania, stanowi spoiwo zbioru, motyw powracający w wielu utworach. [...] W wierszach, tak jak w życiu, nic nie jest oczywiste i dane raz na zawsze; dzięki tej świadomości Autorka, pisząc o czułości, unika czulostkowości. Wiersze wyrastają z trudnych doświadczeń, które prowadzą do podejmowania wciąż prób ustalenia relacji między dwojgiem ludzi, określenia łączących ich kiedyś więzi i istniejącej pomiędzy nimi

przepaści.

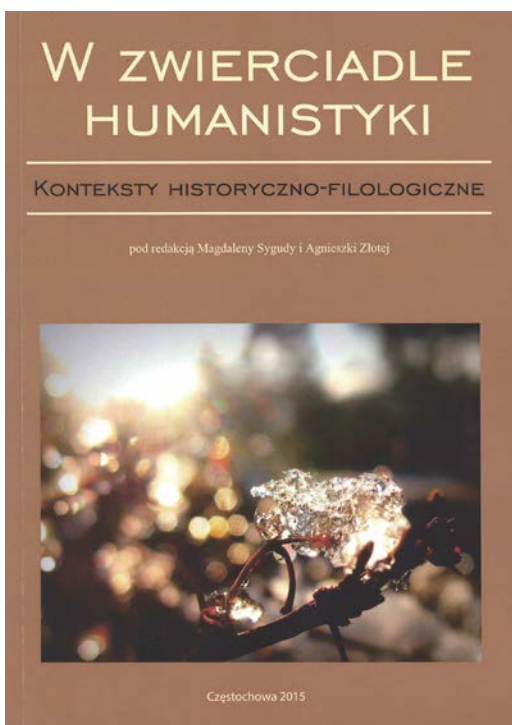
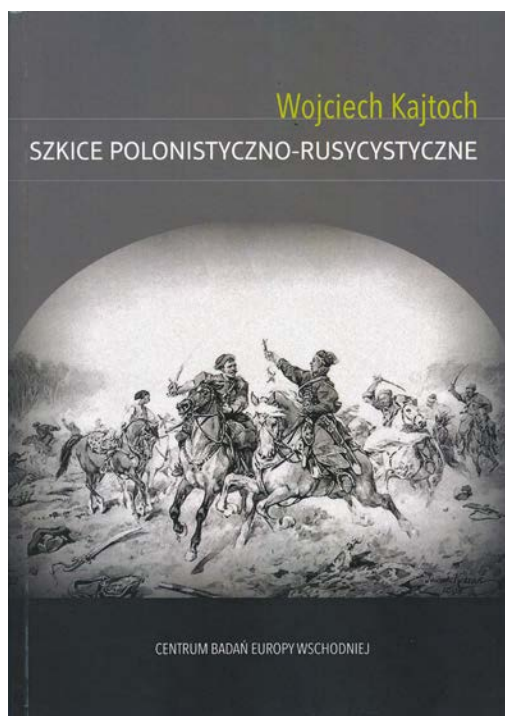
Rafał Socha, *Kredyt na żula*, wyd. Oficynka, Gdańsk 2014, ss. 452.

[Z noty katalogowej]: „Kredyt na żula” to antologia prozatorskich miniatur, w których realia przeplatają się z groteską, a ponure konstatacje ze śmiechem. Narrator o specyficznym podejściu do życia w krótkich migawkach przybliży czytelnikom zmagania bohaterów tekstu z samymi sobą i otaczającą ich rzeczywistością, w której najmniejszy szczegół może urosnąć do rangi literatury. Błyskotliwe, zaskakujące i celne – oto najważniejsze cechy opowiadań Rafała Sochy.



Wojciech Kajtoch, *Szkice polonistyczno-rusycystyczne*, wyd. Centrum Badań Europy Wschodniej UWM w Olsztynie, Olsztyn 2015, ss. 186 + 2.

[Z noty wydawniczej]: Książka Wojciecha Kajtocha pomyślana jest jako omówienie utworów literackich i filmów, których fabuła obrazuje ważne epizody z dziejów stosunków Polski i Rosji lub też prezentujących polskie i rosyjskie sposoby myślenia, ważne dla tych stosunków. Czy więc siedemnastowieczni Rosjanie i Polacy mogli z sobą walczyć i równocześnie wzajemnie się szanować? Czy Ochrana potrafiła manipulować sprawniej od współczesnych tajnych służb? Czy sowieckie łagry gorsze były od niemieckich łagrów? Czy na pewno socrealizm kłamał? Czy współczesny Rosjanin jest militarystą? Czy Polacy i Rosjanie są w stanie uzgodnić wspólną wizję drugiej wojny światowej...



W zwierciadle humanistyki. Konteksty historyczno-filologiczne, pod red. **Magdaleny Sygudy i Agnieszki Złotej**, wyd. nakład własny autorów, Częstochowa 2015, ss. 190 + 2.

[Z wprowadzenia dr hab. Agnieszki Czajkowskiej]: Tom studiów został przygotowany przez doktorantów historii i literaturoznawstwa Wydziału Filologiczno-Historycznego AJD w Częstochowie. Centralnym zagadnieniem książki staje się [...] problem reprezentacji: czymże bowiem jest zwierciadło, jeśli nie odbiciem rzeczywistości? [...] Publikowane prace są efektem samodzielnych badań młodych adeptów nauki i dokumentują nie tylko ich duże zaangażowanie poznawcze, ale także niemałe umiejętności analityczne, syntetyczne i pisarskie. Zróżnicowany zbiór studiów pokazuje bogactwo badań doktorantów [...]. Staje się on dowodem, że humanistyka wciąż pozostaje aktualnym terenem dyskusji na temat społecznej przeszłości i dzisiejszej kondycji człowieka w świecie.

Rafał Socha

DZIEWIĘTNASTA GODZINA

Szanowni Państwo!

W związku z kolejną nagonką na nauczycieli, jaka rozpełtała się w mediach tuż przed Bożym Narodzeniem, chciałbym i ja zabrać głos. Po pierwsze jako skromny nauczyciel kontraktowy mam do tego prawo, a po drugie u nas w Nigerii obowiązywały inne standardy i nikt nikogo błotem bezkarnie nie obrzucał, na co także pragnąłbym zwrócić uwagę szanownych Czytelników. Dodatkowo ośmiela mnie pozytywny odzew, z jakim spotkała się moja poprzednia korespondencja, skądinąd dotycząca zaniedbań w publicznym sektorze zatrudnienia, toteż pozwalam sobie powtórnie chwycić za pióro i napisać do Państwa drugi list.

A więc do rzeczy. Moja przygoda z polską szkołą średnią zaczęła się od praktyk studenckich i sięga jesieni roku 2009. O ile wiem, wtedy to właśnie weszła w życie nowelizacja słynnego artykułu czterdziestego drugiego w „Karcie nauczyciela” i zaczęła obowiązywać tak zwana dziewiętnasta godzina. Głupota jakich mało. To znaczy założenie może i nie najgorsze, ale wykonanie fatalne. Osobom niewtajemniczonym pragnę wyjaśnić, że chodzi tutaj o bezpłatną godzinę w tygodniu (lub dwie godziny – zależnie od typu szkoły), jaką każdy nauczyciel jest zobowiązany odpracować z uczniem tak zwanym zdolnym lub tak zwanym słabym, lub z oboma naraz, lub w ogóle z całą hordą podopiecznych o rozmaitym poziomie intelektualno-poznawczym. Odpracować, raz jeszcze podkreślmy, bezpłatnie. Idea szczytna, popularna, słuszna, sympatyczna, modna, w dobrym tonie, może nawet i politycznie poprawna, bo przecież nie ma

to jak dowalić nierobowi-nauczycielowi, w powszechnym rozumieniu mającemu na karku zaledwie osiemnaście godzin pracy tygodniowo, tyle że jednocześnie koszmarne poroniona. Tak, powtórzmy raz jeszcze: koncepcja totalnie poroniona. Dlaczego? A proszę bardzo, już wyjaśniam.

Primo. Nauczyciel nie pracuje osiemnaście godzin tygodniowo. To mit, który nie ma najmniejszego przełożenia na rzeczywistość. Nawet wuefściści muszą od czasu do czasu coś tam przygotować, jak choćby przedmuchać gwizdek, rozwiesić w bramce siatkę czy napompować piłki, a zatem wykonują pracę w swoim tak zwanym wolnym czasie.

Secundo. Obowiązki okołopedagogiczne. A mianowicie konferencje klasyfikacyjne, plenarne, rozmaite rady, prace zespołów przedmiotowych, wywiadówki, telefony do rodziców bądź prawnych opiekunów wychowanków, listowne powiadomienia o zagrożeniach ocenami niedostatecznymi, rozmowy z kuratorami sądowymi itp., itd. Jeżeli ktoś nigdy w życiu nie miał do czynienia ze szkołą od strony innej niż uczniowska, nie skuma raczej, ile się tego uzbiera.

Tertio. Nadgodziny, obowiązkowe „okienka”, przymusowe zostawanie po zajęciach. Oczywiście niepłatne – i jedno, i drugie, i trzecie. Najpierw ci perfidnie i dla zasady powstawią w rozkład zajęć od groma okienek, na których kwitniesz jak bajoro kwitnie od planktonu, a potem ni stąd, ni zowąd dostajesz w ramach tychże okienek jakieś przypadkowe klasy – i siedz z nimi do bólu, bracie, bo „takie są potrzeby szkoły”, a ty przecież jesteś do dyspozycji, no bo kiśniesz na tym przymusowym okienku i nic innego nie masz akurat do roboty. Pieńiążków nie uświadczysz, wszak placówka biedna jak mysz kościelna. Nie ma z czego płacić, to i nikt nikomu za dodatkową fatygę nie płaci. Ku chwale ojczyzny.

Quarto. Zajęcia indywidualne, przy czym trzeba na nie jakoś dojechać, niekiedy i po kilkadziesiąt kilometrów. Nikt niko-

go o zdanie nie pyta, pasuje ci to czy nie. Masz do delikwenta zadzwonić, umówić się, a potem dojechać. We własnym zakresie, rzecz jasna, bo za połączenie telefoniczne, za bilet czy za benzynę nikt ci nie zwróci. Nie ma z czego. Tutaj tak zwanych delegacji nie wypłaca się, w ogóle nie istnieje pojęcie typu „delegacja”, nie ma o czym marzyć. Ale wyboru nie posiadasz, odmówić nie odmówisz, bo nie możesz, bo to by nie leżało „w interesie szkoły”. Innymi słowy: zostajesz uszczęśliwiony na siłę.

Quinto. Rozmaite kartkówki, sprawdziany, egzaminy... Począwszy od głupich testów, które trzeba przecież sensownie przygotować, a nie jest to wcale kwestia paru minut, jakoś je potem posprawdzać i ocenić, poprzez semestralne prace klasowe, na maturach i egzaminach zawodowych kończąc. Też się z tych ostatnich wymigać nie da, bo ktoś musi ślęczeć w komisji, żeby zaliczyć mógł ktoś.

Sexto. Potworna biurokracja. Dzienniki, arkusze ocen, protokoły, plany wynikowe, konspekty, sprawozdania z realizacji godzin, kryteria oceniania, plany rozwoju zawodowego etc. Tony papieru. Zamiast naprawdę się doskonalić, zamiast autentycznie rozwijać belferski warsztat czy rzetelnie przygotowywać się do zajęć – piszesz jakieś kwity, które nikomu do niczego nie są potrzebne. No chyba że psu na budę.

Septimo. Codzienne drukowanie materiałów dydaktycznych na własnym papierze, przy użyciu własnego sprzętu, zużywając własny prąd i własny toner. Fundowanie z własnej kiesy nagród i dyplomów w organizowanych przez siebie konkursach wewnątrzszkolnych. Zabieranie uczniów na konkursy międzyszkolne, że już o żmudnych przygotowaniach do tego typu imprez nie wspomnę. „Dobrowolny” udział w tak zwanej promocji szkoły (np. w okolicznych gimnazjach czy na jakichś targach edukacyjnych), „dobrowolne” składki na rzecz szkoły, „dobrowolne” udziały w mitingach,

akademiach, apelach, uroczystościach, festiwalach i najróżniejszych happeningach... Dobra, dość, wystarczy. O innych zwyrodnieniach chorego systemu nie wspominam. Jeden mój kolega po fachu pracuje zresztą nad obszerną publikacją, w której zamierza większość patologii współczesnego szkolnictwa ambitnie zdemaskować i wyłożyć jak krowie na granicy, dla lepszego efektu komercyjnego całość nasycając jeszcze wątkiem sensacyjno-fabularnym, więc nie będę psuł mu efektu i nie będę odbierał chleba. Tym bardziej że ogłoszenie drukiem książki prawdopodobnie oznaczać będzie wilczy bilet i definitywne pożegnanie się z zawodem. No ale chłopak jest dość solidnie zdeterminowany, prometeicznego pomysłu raczej nie porzuci, więc jedyne, co mi pozostaje, to zagorzale kibicować zuchowi, a przy tym zbytnio nie wchodzić mu w paradę.

I teraz proszę sobie wyobrazić tę nieszczęsną dziesiętnastą godzinę... Na cholere! to komu? Co ona niby daje? Miałem przyjemność być niedawno z uczniami zawodówki na trzytygodniowej praktyce w Niemczech (w charakterze tłumacza i opiekuna jednocześnie) i zobaczyłem z bliska, jak to tam na Zachodzie wygląda. To znaczy przyjrzałem się, jak u naszych sąsiadów zza Odry wygląda szkolenie zawodowe. Chłopaczki z Polski aż otwierali gęby z podziwu, że tak doskonale wyposażone mogą być pracownie, stanowiska, warsztaty. Do tego stypendia, program stażów, ścisła i owocna współpraca z prężnymi firmami... Aż chce się uczyć, aż chce się nauczać. A w pięknym kraju nad Wisłą? Zamiast inwestować w młodzież, zamiast rozbudowywać zaplecze i stwarzać warunki do jako takiego rozwoju – zwała się wszystko na łeb nauczyciela, bo tak jest najprościej, bo to nic nie kosztuje. Z całym szacunkiem dla poprawiaczy ustawy, ale ani dziesiętnasta, ani dwudziesta, ani dwudziesta pierwsza, ani nawet dwudziesta druga, trzecia czy czwarta godzina nic tu nie pomoże. Nie tędy droga.

Póki nie ma infrastruktury, wyników nie będzie. W pustej pracowni i Salomon do zawodu nie przyuczy. Można sobie siedzieć przy gołym blacie i po czterdzieści czy pięćdziesiąt godzin na tydzień, można zużywać do cna całe pudełko kredy przy tablicy, tylko co to niby ma dać? Zapewne ładnie wypełnione dzienniczki, bo już się przecież dorobiono specjalnej dokumentacji na „karciane” godziny (przynajmniej drukarnia zarobi), ale jak uczeń kielni, młotka czy packi w dłoni nie trzymał, tak dalej nie trzyma. Mamy za to kolejną profesjonalnie przygotowaną dokumentację, co ją naczałstwo może w skupieniu kontrolować, a w razie potrzeby używać w charakterze dodatkowego bata na upodłonego podwładnego.

Inna sprawa, że wszystko to, co niby ma dawać uczniowi dziewiętnasta godzina, nauczyciele i tak robili wcześniej, robią obecnie i robić będą dalej – czy ustawodawca chce, czy nie – bo działanie takie wynika przecież z sensu pracy nauczycielskiej, a nie z pustego zapisu w ustawie. A bo to nie było wcześniej kółek zainteresowań, konkursów, wycieczek dydaktycznych, wyjść do kina, do teatru, na zawody czy zajęć uzupełniająco-wyrównawczych? Nie zostawano po godzinach w pracy? Nie przychodzono do niej wcześniej o godzinę lub dwie? Oczywiście za darmo, bezpłatnie, dokładnie tak, jak sobie wyobraża nawiedzony modyfikator czterdziestego drugiego artykułu „KN”. Zupełnie jakby nauczyciele niczego takiego nigdy wcześniej nie robili! Formalizowanie tego typu praktyk to dla belfra z powołania zjawisko cokolwiek upokarzające. No chyba że faktycznie chodzi tylko i wyłącznie o zgrabne dzienniczki i o tę dodatkową biurokrację do kontrolowania, bo papier, jak wiadomo, wszystko przyjmie, toteż od kilku lat cierpliwie przyjmuje i tę poronioną dziewiętnastą godzinę. Cóż ma zrobić? Nie ma to jak dokumentacja – im obszerniejsza, tym lepsza.

Tyle że ja, prawdę powiedziawszy, z ręką na sercu oświadczam, że wolałbym, aby

mi włączono w pensum dodatkową lekcję – a nawet i dwie – i tyle. Nie muszę za nią dostawać dodatkowych pieniędzy, pal sześć. Niech będzie prościej, uczciwiej, przejrzysiej. Niech będzie honorowo, stać mnie na to, nie jestem żebrakiem. Włączcie po prostu w plan zajęć tę przeklętą godzinę, przestańcie mydlić oczy pozorowanymi działaniami i dajcie młodzież, a nie zawracajcie mi gitary obmyślaniami kolejnego planu i werbowaniem uczniów z łapanki, którzy i tak – o ile ze szkolnych murów nie zwieją – niczego w tak zwanej klasopracowni nie są w stanie się nauczyć.

Tyle moich obserwacji, o reszcie w książce – jak wspominałem – lecz już piórem zaprzyjaźnionego kumpla. Natomiast aby jakoś spuentować ten list, tę do pewnego stopnia chaotyczną (bo w sumie dosyć emocjonalną) wypowiedź, pozwolę sobie zastosować prosty trick narracyjny, a mianowicie klamrę, i powrócę do początku niniejszego słowotoku. Że minister edukacji narodowej szczerze obywateli na swoich podwładnych? Że zachęca do donosicielstwa? Że podburza lud przeciwko tym, którymi zarządza i którymi ma się de facto opiekować? Drodzy Państwo, nie pozwólmy sobą manipulować i nie dajmy się zwariować. Jak piszą związkowcy na plakatach: dziś kopalnie, jutro szkoły. Można się śmiać, można kpić, można drwić, ale jeśli coś w tym jest? Pojutrze pewnie szpitale, a popojutrze kto? Spokojnie, na każdego przyjdzie pora. Lepiej rządzić skłóconymi, stara to prawda, tyle że nawet u mnie w Abudży aż tak perfidnych metod poróżniania ludzi nie uskutecznianno.

Więc kiedy psiozcycie, głośno czy pod nosem, na osiemnaście nauczycielskich godzin, na jakoby wolne święta, na ferie zimowe tudzież kłujące w oczy dwa miesiące wakacji, które w istocie wcale nie są dwoma miesiącami urlopu, to pomyślcie sobie czasem, że to nie do końca jest tak, jak wam się zdaje i jak Wam populistyczne media szepczą do ucha. Ja wiem, niejeden nerwus pod-

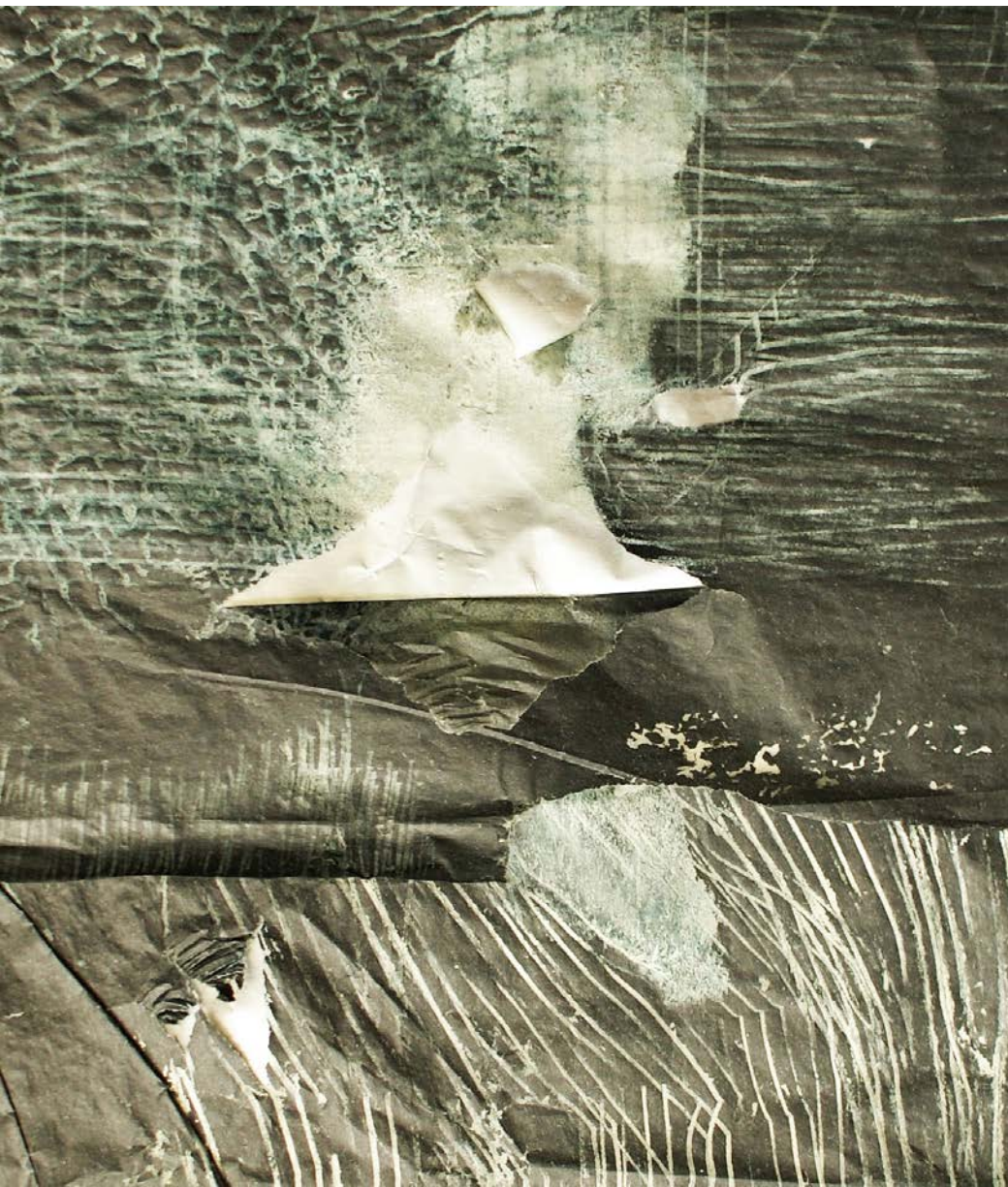
OBYWATEL FAKE

skoczy, zapieni się i mimo wszystko poradzi z przekąsem, abym zmienił zawód, skoro mi tak źle. Jasne, nie wykluczam, rozważam i to. W gruncie rzeczy dopiero wkraczam w belferskie środowisko, więc zawsze mogę się z niego wycofać, nikt mnie do wyświechtanego stołka w pokoju nauczycielskim nie przyspawał, ja jeszcze nie mam nawet umowy na czas nieokreślony. Zawsze mogę dać nura i z filologicznym wykształceniem zaszyć się w jakiejś gminnej bibliotece, w powiatowej gazecie czy chociażby w regionalnej telewizji, tyle że ja lubię tę pracę z młodzieżą i już. Zabroni mi ktoś? A wszelkim „hejte-

rom”, nie wyłączając tutaj dowcipnej pani minister, poradzić mogę jedno: zapiszcie się na studia – czy choćby na jakiś uzupełniający kurs pedagogiczny – i po prostu zostańcie nauczycielami, skoro to taki łatwy i przyjemny kawałek chleba.

Z poważaniem,
mgr Emmanuel Fake

Korespondencję odebrał: *Rafał Socha*



Aleksandra Jakubczak, *Przebyłsk*, technika własna, 10,5 x 9 cm, 2012

Andrzej Niewinny Dobrowolski

WERSAL W REALU

Po tygodniu spędzonym w rodzinnym mieście powrót do domu zawsze jest wydarzeniem. Połączonym z wysiłkiem, jakiego trzeba do uporządkowania starych wrażeń i zastąpienia ich aktualnymi; do uszeregowania ważności faktów zaistniałych w nowych warunkach czy do znalezienia siebie na powrót takiego samego, a innego przecież. Jakże odmienne bywa życie tu i tam, w ojczyźnie i poza nią, w Polsce i w Szwecji.



A przecież wedle starego żartu mogło być inaczej. Oto on: Alejami podąża pielgrzymka do klasztoru. Za głosem z megafonu jej uczestnicy skandują: „Powiesić Kor-de-ckiego, powiesić Kor-de-ckiego...” Stojący z boku częstochowianin zrównuje krok z pątnikami i pyta pierwszego z brzegu: „Cóż wy tam wykrzykujecie?! Chłop od ponad trzystu lat nie żyje!” „Ale należało go powiesić!” – odpowiada zapytany. „A czemuż to?!” „Bo gdyby się tak nie bronił, dzisiaj mielibyśmy tutaj Szwecję”.

Szwecję, nie Szwecję, bronił, nie bronił, różne źródła różnie na ten temat mówią. Nie najmniej o historycznie dziewięcioletniej armii złożonej z 1600 słabo uzbrojonych żołnierzy, głównie Niemców i najemników polskich. Szwedów najprawdopodobniej nie było w ogóle, zaś sam przeor Kordecki w dość oryginalnie sformułowanym liście skierowanym do dowódcy napastników, niemieckiego generała Burcharda Muellera, pisał:

„Ponieważ całe królestwo polskie postuszne jest Najjaśniejszemu Królowi Szwecji i uznano Go za swego Pana, przeto i my wraz ze świętym miejscem, które dotąd królowie polscy mieli we czci i poszanowaniu, pokornie poddajemy się Jego Królewskiej Mości Panu Szwecji (...). Zanosimy ustawiczne modły do Boga i Najświętszej Bogarodzicy, czczonej w tym miejscu, o zdrowie i pomyślność Najjaśniejszego Pana, Króla Szwecji, Pana i Protektora naszego Królestwa”.

Źródło: Praca urodzonego w 1850 r. dr Johana Theodora Westrina, szwedzkiego archiwisty Królewskiej Akademii Historii (Kungliga Vitterhets Historie och Antikvitets Akademien).

W tym kontekście oskarżanie przeora Kordeckiego o złą wolę jest nieporozumieniem, o czym skandująca pielgrzymka powinna była wiedzieć.

Ale nie o tym, a o powrocie do domu po tygodniu spędzonym w rodzinnym mieście, z którego niechcący wyjechałem ponad czterdzieści lat temu i jakoś nie udaje mi się do niego wrócić. Te sondażowe wizyty mają prawdopodobnie na celu upewnienie się, że ze szwedzką emeryturą w Polsce można przez jakiś jeszcze czas żyć w miarę przyzwyczajenie. Wśród swoich, mówiących nie obcym mi językiem, podobnie widzących świat i w nim siebie. Życie nie umierać, można by sobie życzyć.

Są jednak pewne różnice, których mimo przymyknięcia oczu zauważyć się nie da, a które zdecydowanie wpływają na podjęcie decyzji o powrocie. Ot, choćby lotniska. W odróżnieniu od Balic na lotnisku w Göteborgu nie nakazano mi rozłączenia spodni od szelek, usunięcia złotej koronki z lewej górnej szóstki i natychmiastowego wyrzucenia małej plastikowej butelki z wodą mineralną. (Jako ciekawostkę można podać, że pięć kroków od odprawy, w kiosku, wciąż na terenie lotniska, taką samą wodę kupiłem bez kłopotu).



Zgoda: osobistą kontrolę można sobie wytłumaczyć. Zgoda: terroryści, bandyci, pilota można napaść i na moich szelkach powiesić. Albo koronką z szóstki zakłuć. Jest, jak jest, przepisy są, jakie są, wprowadzający je w życie cel widać jakiś mieli, chociaż niekoniecznie dający się zrozumieć. W jaki sposób moje rozciągliwe szelki zagrażają bezpieczeństwu i porządkowi świata, dociec niełatwo, to i nie próbuję.

Próbowałem natomiast zrozumieć przyczynę ponizania mnie przy okazji dokonywania zakupów. Pomijam skradających się między sklepowymi półkami przebranych za strachy na wróble udających agentów CIA osobników ze słuchawkami w uchu prześwietlających każdego napotkanego wwiercającym się pod skórę fizycznie odczuwal-

nym niemal wzrokiem. To można skwitować pobłażliwym uśmiechem. Dla żartu próbowałem nawet przepytac jednego, o co chodzi, ale zdaje się, że nie wiedział, a na pewno nie miał pojęcia, w jakiej sprawie go tu postawiono. Niewykluczone, powiedziano mu, że pilnuje porządku.

Rekord braku empatii ustanowiła jednak bez wątplenia pani przy kasie w sklepie Real. Kupiłem elektryczny czajnik, by uniezależnić się od obsługi hotelu. Pudełko solidne, taśmą straszliwie mocną przez jakąś

potężną zapewne maszyną obwiązane i ja, nie zabezpieczona niczym ofiara nietaktownej bezmyślności pani kasjerki. Kiedy mój czajnik podjechał do niej na taśmie, wzięła opakowanie, oburącz się w nie wgryzła, szczękami potężnych nożyc zabezpieczającą przed włamaniem się do pudełka taśmę przecięła, likwidując tym zakaz wstępu do miejsca przebywania czajnika.

Spojrzała na mnie z niechęcią, jakby sprawdzając, kto naraża ją na niewygodę walki z opakowaniem i rozpoczęła czynności śledcze, zaczynając od starannego poszukiwania dowodów popełnionego przeze mnie ewentualnego przestępstwa. W pierwszym odruchu infantylnej naiwności sądziłem, że chodzi o kontrolę urzędnika. „O!” - pochwaliłem - „sprawdza pani, czy wszystko w porządku, tak?” „Nie, sprawdzam, czy pan nie włożył czegoś do pudełka.”

Pechowo dla mnie, bardzo źle znoszę sytuacje, kiedy otwarcie, bez ogródek i bezczelnie ktoś powątpiewa w moją uczciwość. Jedni mają awersję do truskawkowych lodów, inni niechęć do głaskania kotów, ja – choć to bzdurne i mało logiczne – boczę



się na podejrzewanie mnie o fałsz, gwałt, nieuczciwość i złodziejstwo. Cóż – taki już jestem i nie zamierzam się pod koniec życia zmieniać. Jeśli nie z innych powodów to w obawie, żeby święty Piotr nie pomylił mnie z kim innym i niechcący skazał na dożywocie.

Nie bez trudu, ale jakoś tam udało mi się przelknąć urazę. Przelknąłem jeszcze raz, by upewnić się, że nie stanęła w gardle, coś tam powiedziałem, co pani czekająca za mną na prześwietlenie swojego opakowania pasty do zębów karcącym tonem zechciała skomentować: „Nie ma pan racji, proszę pana, bo ja w Katowicach, po prostu, też właśnie w Realu... nie, nie w Media Markt... po prostu... to widziałam właśnie, że ktoś włożył po prostu coś, i pan nie powinien się po prostu dziwić”.

Ponizeniu, jakiego doznałem, nie przyniosła ulgi konstatacja, że oto znów harcujący niegdyś pod Jasną Górą obcokrajowcy, tym razem okopawszy się na kilku frontach m.in. koło Promenady, poniżają nas, każąc

usługowym niewolnikom traktować siebie nawzajem jak złodziei. Biorąc pod uwagę fakt, że wedle wielu badań 80% popełnianych w sklepach kradzieży obciąża konto personelu, trudno się dziwić gorliwości pani od czajnika poszukującej w jego środku kontrabandy.

No cóż: wiem, rozumiem, znam życie, ono mnie, niekiedy rzeczywiście trzeba, jak trzeba, bo inaczej się nie da, ale nie umniejsza to wstydu, jaki boleśnie wgryza mi się w sumienie, kiedy przybyś z innych krajów każą moim ziomkom traktować mnie jak złodzieja. Przy wyraźnej aprobacie pań czekających na inspekcję opakowania z tubką pasty do zębów. Wyprodukowaną oczywiście w kraju, skąd pochodzi.

I to by było z grubsza i mniej więcej tyle, jeśli chodzi o nowiny spod klasztoru. Całkiem niedawne i nieco dawniejsze, ale na ten sam temat.

Andrzej Niewinny Dobrowolski

Copyright © **LITERACKIE TOWARZYSTWO WZAJEMNEJ ADORACJI**
„Li-TWA” w Częstochowie

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Agnieszka Złota (zastępca redaktora naczelnego), Olga Wiewióra (redaktor naczelnia), Rafał Socha (e-redaktor), Maciej Skalik (oprawa fotograficzna).

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczevska, Olga M. Bąkowska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Ida Jadwiga Łubińska, Wojciech Grabałowski, Bogdan Knop, Kazimierz Kowalczyk, Wojciech Kajtoch, Władysław E. Piekarski, Jan Łączewski, Ireneusz K. Korpyś, Jacek Gierasiński, Michał Wilk, Marian Panek, Piotr Głowacki, Tadeusz Chabrowski, Andrzej Kalinin.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

Jarosław Leszczuk (redaktor techniczny)

Druk:

Drukarnia Usługowa „Gryf”
ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl



Printed in Poland.

Wydawca:

Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji „Li - TWA” w Częstochowie
ul. Wilsona 8
42-200 Częstochowa

Adres dla korespondencji:

ul. Rakowska 10 m. 15
42-200 Częstochowa

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

alekeller@interia.pl
galeria.litwa@gmail.com

www.litwa.czyst.pl

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000308140 Regon: 240938341 NIP: 9492090225
Konto: BANK MILLENNIUM 19 1160 2202 0000 0001 1690 1952

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Aleksandra Jakubczak, z cyklu Początek świat(ł)a, lightbox, 19x10, 2014

FOTOgaleria



„Janina na wallu” (foto: Maciej Skalik)